

nr obozowy: 22074

JANINA JAKIMIUK z domu Orczyk

urodzona: 12 stycznia 1926 roku w Ćmielowie

obozy i podobozy koncentracyjne: Auschwitz-Birkenau,  
Dresden



Ślub Janiny Jakimiuk (fragment zdjęcia). Fot. Archiwum rodzinne

*Pamiętam, że transport odbywał się w nieludzkich warunkach.  
Głusnota, duchota i smród.*

## JANINA JAKIMIUK

### Niewinna jak wszystkie inne

Do obozu trafiła sama, bez rodziny. Osądzona jako więzień polityczny, choć naprawdę nie miała nic do ukrycia. Najdłużej pracowała w saunie, gdzie zajmowała się m.in. strzyżeniem nowo przybyłych więźniów i odkażaniem ich ubrań. Dzięki temu opowiedziała swoją historię z tej drugiej strony...

## W złym miejscu, o złej godzinie

Wczesnym wrześnieowym rankiem gestapowcy zapukali do naszych drzwi. Zabrali mnie i moją mamę Bronisławę do Ostrowca. W domu zostało młodzieństwo: młodszy brat Józef i siostra Krystia. Do dziś nie wiem, kto opiekował się nimi pod nieobecność mamy.

Ona nie rozumiała, dlaczego nas aresztowano, przecież nie udzielaliśmy się w konspiracji. Bała się o mnie. Wychowywała trójkę dzieci sama, bo tata Jan zmarł 13 sierpnia 1939 roku na atak serca. Byłam wtedy na kolonii i nie mogłam się nawet z nim pożegnać. Dlatego posłuszna jej prośbie nie angażowałam się w działania organizacji konspiracyjnych. Miałam jednak kuzyna, Heńka Sikorskiego, który był powiązany z konspiracją. Był już studentem. Studiował na Akademii Sztuk Pięknych. Ja natomiast miałam dopiero szesnaście lat. Pamiętam, jak pewnego dnia odprowadzałam go do domu. Za nami jechało niemieckie auto, a z okna bacznie przyglądała się nam jakaś kobieta. Gestapowcy musieli wiedzieć o działaniach Heńka, śledzić go. Możliwe, że chcieli złapać go na gorącym uczynku? A ja przebywałam z nim, więc z góry założyli, że jestem współniczką. Znalazłam się po prostu w złym miejscu o złej godzinie.

Podjeżdżali mnie o „sabotowanie III Rzeszy”. Heniek natomiast, chociaż złapany, z uwagi na bogatego ojca został zwolniony z aresztu. Po dwóch tygodniach pobytu na Gestapo<sup>37</sup> moją mamę również wypuszczono do domu. Mnie zaś z wieloma innymi kobietami wywieziono do Kielc do więzienia. Spędziłam tam tylko jedną noc.

W czasie przesłuchaniaypytywali mnie o powiązania z nielegalnymi organizacjami. Nie mogłam się do niczego przyznać, bo naprawdę z nikim nie współpracowałam. Nie wierzyli. Uznali mnie za wroga III Rzeszy. Byłam więźniem politycznym. Podczas przesłuchania bili mnie pejciami. Po plecach, po nogach, gdzie popadło.

## Chłopcy to czy dziewczęta?

Do KL Auschwitz wywieźli nas następnego dnia. Transport odbywał się w nieludzkich warunkach. Ciasnota, duchota, smród. Pociąg nie zatrzymywał się na stacjach, a nawet jeśli był postój, to nie wypuszczano nas na

<sup>37</sup> Budynki Gestapo w Ostrowcu znajdowały się przy ul. Sienkiewicza 61–63.

Wciąż ani do toalety. Za potrzebą musieliśmy chodzić do kąpielnicy w rogu obozu.

Nazwa „Oświęcim” nic mi nie mówiła. W 1942 roku nic nie mówiła przede większością ludzi. Choć nie wiedziałam, jaka przyszłość mnie tu czekała, z przerażeniem spoglądałam w stronę więźniów za drutami. Ubrani w pasiaki, wychudzeni, ogoleni praktycznie na tyso. Byłam przekonana, że to chłopcy. Za chwilę okazało się, że patrzyłam na kobiety – wyniszczone, zagiłodzone i chore. Nie minęło wiele czasu, jak dołączyłam do nich w szarej, chłozowej sukience z ogoloną głową.

Byłam zła, że ścięli mi włosy. Dlatego kiedy esesman mnie fotografował, robiłam zeza! Na złość. Zorientował się, ale nie uderzył mnie. Musiał jednak powtórzyć zdjęcie. Potem Niemcy na nogi kazali mi założyć ciężkie, drewniane tropy. Kim wtedy się stałam? Kim byłam? Nikim. Nadali nam numery, traktowali nas jak bydło.

Nie można wyobrazić sobie przerażenia dziecka w obozie. Trafiały do niego dzieci znacznie młodsze niż ja, niektóre oddzielone od rodziców, inne samotne, bo rodzice zostali zabici. Jedne zabierano do eksperymentów, inne do gazu i krematorium. Niektóre, przeważnie żydowskie, wrzucano do dołów i palono przed krematorium. Słysząc było krzyki, piski! Do dziś słyszę je we wspomnieniach! Jak żywe. Pamiętam, jak jeden Niemiec wyrwał Żydówce małą dziecko i rzucił nim do swojego kolegi, a ten „podał” do kolejnego. Trzeci esesman skierował małeństwo do gazu!

Auschwitz to zbrodnia, za którą nie ma wystarczającej kary. Nic nie jest w stanie naprawić krzywd wyrządzonych tym wszystkim ludziom. Zarówno tym, którzy przeżyli, lecz stracili całe rodziny, jak i tym, którzy już nie mogą opowiedzieć swoich historii, bo zostali brutalnie zabici lub zmarli, wykończeni głodem i ciężką pracą.

Porcje jedzenia były tak niewielkie, że już po kilku dniach zaczęło brakować mi siły, by wstać z koł. A przecież musiałam stawiać się na apel i iść do roboty w polu. To była moja pierwsza praca. Potem z innymi więźniarkami uczestniczyłam w stawianiu budynków dla esesmanów, kopałam rowy.

Najdłużej jednak pracowałam w saunie. Kiedy przyjeżdżały transporty do obozu, obcinałam nowo przybyłym włosy. Długość włosów nie mogła przekraczać czterech centymetrów, ale nauczyłam się ciąć ładnie. Nie chciałam szpecić ludzi. Byli wystarczająco pokrzywdzeni. Nie mniej niż ja. Inne fryzjerki obozowe obcinały włosy niechlujnie, tworząc na głowie brzydkie „schodki”. Tak właśnie mnie obcięto na początku, gdy przyjechałam do Brzezinki.

Zajmowałam się też wyparzaniem ubrań więźniów. Wrzucałam je do kabin, w których było bardzo gorąco. Pewnego razu ubrania wewnątrz kabiny się zapaliły! Być może w którymś z nich były schowane zapalniczki, a może temperatura w kabinie była za wysoka. Do gaszenia pożaru przyjechał Niemcy.

Jednego dnia przyszła do mnie znajoma, Stefania Wnuk. Skarżyła się, że jest jej zimno. Dałam jej wtedy sweter, który znalazłam. Zawołałam ją do kabiny i powiedziała, aby się w niego ubrała. Założyła go pod sukienkę obozową, tak aby nikt się nie zorientował. Chętnie pomagałam ludziom, jeśli mogłam, ale musiałam uważać. Gdyby na mnie ktoś naskarżył, mogłabym trafić do komanda karnego, gdzie pracowało się ciężiej, a esesmani byli wyjątkowo surowi i brutalni.

Po latach spotkałam Stefanię przypadkowo na jednej z uroczystości rocznicowych. Przybiegła do mnie radosna, mówiąc:

– Jasienka, ten sweter, który mi dałaś, po wyjściu z obozu wyprałam i oddałam swojemu synowi. I okazało się, że był w nim wszyty złoty zegarek!

## Na każdym kroku nienawiść

O tym, jak Niemcy byli okrutni, świadczy wiele faktów historycznych i osobistych opowieści byłych więźniów. Ja pamiętam szczególnie dwie takie historie.

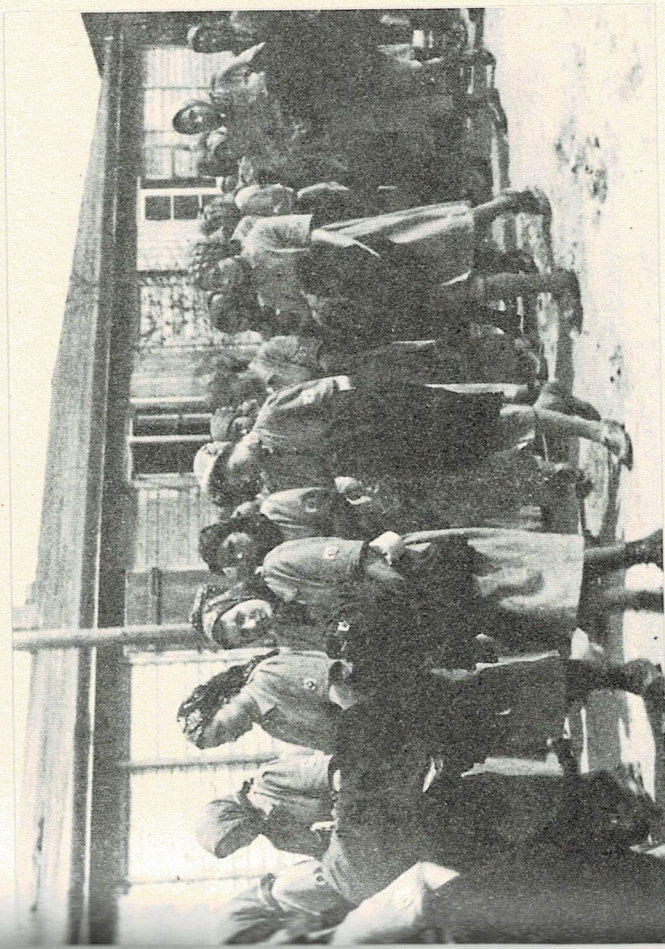
Pewnego dnia, gdy pracowałyśmy w polu, w *Aussenkommando*, wielki wilczur poszczuty przez Niemca pogryzł więźniarkę. Nie mogłyśmy przetrwać pracy. Dopiero wieczorem esesman kazał kobietom z komanda, do którego należała pogryziona więźniarka, zawlec ją do obozu. Ja byłam w innym komandzie, szłam więc za nimi i widziałam, jak ciągną nieżywą kobietę. Uderzała głową o kamienie, których nie brakowało na drodze, bo ciągle trwała budowa. Idąc w drewnianych trepach, patrzyłam pod nogi, aby nie zdeptać kawałków jej mózgu, który wypływał z rozbitej czaszki. Płakałam. Chciałam krzyknąć. Wykrzyknąć Niemcom, jak bardzo nie mogę znieść tego, co robią z ludźmi! Ale musiałam milczeć.

O niewyobrażalnym okrucieństwie wroga świadczy też zdarzenie, które miało miejsce zaraz po moim przyjeździe do Brzezinki. Niemiecka więźniarka funkcyjna pobiła inną Niemkę. Nie wiem, z jakiego powodu, widziałam jednak, jak kopała kobietę z całej siły. W końcu ją zabiła. Jej wyraz twarzy był pełen nienawiści. Nie mieściło mi się to w głowie. Uznałam wtedy, że jeśli Niemka Niemce bez skrupułów odebrała życie, to strach

## Anioł Stróż

Od dziecka byłam nauczona pokory. Staralam się być grzeczna i uczynna. Za wszystko dziękowałam. I szczerze wierzyłam, że mimo nienawiści, jaką Niemcy do nas żywili, muszę pozostać dobrym człowiekiem. Może dzięki temu udało mi się przeżyć? Przez całą wojnę miałam wrażenie, że czuwał nadę mną mój Anioł Stróż. Potwierdzenie znalazłam w obozie.

Kiedy w 1942 roku zachorowałam na tyfus, wyłądownałam na rewirze. Któregoś dnia późnym wieczorem przyszedł na blok szpitalny Mengele z drugim lekarzem, który był Polakiem. Gdy Mengele wyszedł, Polak przytrzymał mi się i kazał mnie przenieść do baraku, w którym mieszkałam, zanim zachorowałam. Było już po dwudziestej drugiej, gdy pielęgniarka obozowa wprowadziła mnie na moją койę.



Kobiety z transportu w 1944 roku. Żydówki idą piątkami na pierwszy apel. Widac szare sukienki i chustki na głowach. Fot. Album Lili Jacob, nr neg. 24457-154=181

Dnia następnego wszystkie kobiety z bloku, w którym przebywałam na rewirze, zostały skierowane do komory gazowej i krematorium. Cudem uniknęłam śmierci.

Powtarzałam sobie zawsze: „Boże, daj mi siłę, abym to przeżyła...”. Do tej pory Bóg mnie wysłuchiwał.

## Być Polakiem do końca

Poznałam w obozie dwie kobiety, które pokazały mi wiersze obozowe. Była to poezja smutna, ale prawdziwa. Nie mogłam uwierzyć, że w Auschwitz-Birkenau zostały napisane tak piękne, przejmujące wiersze. Nauczyłam się ich na pamięć. Każdego wieczoru szeptem wypowiadałam ich słowa... Cicho, cicho więźniowie musieli się podporządkować niemieckim rozkazom, wewnątrz, w sercu, większość z nas starała się pozostać sobą. Jako Polka starałam się nią pozostać do końca.

Sama nie wiem, jak to się stało, że udało mi się przetrwać. Jak wszystkie inne kobiety umierałam z głodu, byłam zmęczona, przemarznięta. Mimo to dotrwałam do momentu, gdy Niemcy rozpoczęli wywózkę więźniów z Auschwitz.

Pamiętam, że przed samą wywózką rozkazali nam się rozebrać do naga i iść jedna za drugą. Na końcu kolejki obnażonych więźniarek stali dwaj Niemcy z drewnianymi laskami i przyglądali się wszystkim uważnie. Do tknięciem laski wskazywali kobiety, które miały wystąpić z szeregu. Te wskazane stawały na boku. Nie umiem oddać słowami, jak bardzo bałam się, gdy zbliżałam się do tych Niemców! Obawiałam się, czy przejdę selekcję pozytywnie, czy odeślą mnie do gazu. Staralam się spuszczać wzrok, aby nawet na nich nie patrzeć. By nie ściągnąć na siebie ich spojrzeń! Udało mi się.

Na początku 1945 roku trafiłam do Drezna. Pracowałam tam w fabryce broni.

Pamiętam to słynne bombardowanie miasta. Razem z innymi pracownikami przebywałam wtedy na piątym piętrze fabryki. Nikomu na szczęście nic się nie stało. Jednak wszystkie szyby w budynku wyleciały w powietrze. Naprzeciwko zawalił się kościół.

Widziałam ludzi opuszczających okoliczne domy. Na wózkach ciągnęli swoje rzeczy. Uciekali na wozach zaprzęgniętych w konie. Wspominałam wtedy Polaków wygnanych ze swoich domów. Wierzyłam w sprawiedliwość, która właśnie miała się ziścić. Historia zmieniła swój bieg, choć jeszcze kilka miesięcy temu nic na to nie wskazywało.



Selekcja Żydów na rampie w Brzezince. Esesmani rozdzielają kobiety do obozu lub do głodu, wskazując na kobiety laską. Fot. Album Lili Jacob, nr neg. 24457-27=38

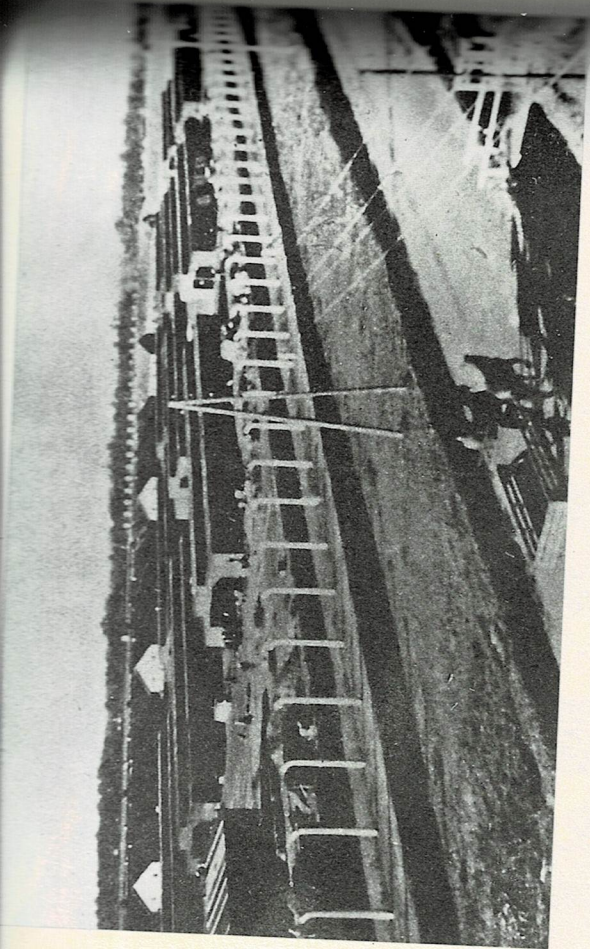
Niemcy nie wiedzieli, co z nami zrobić. Krążyliśmy przez wiele dni po okolicznych lasach. Wiedziałam, że ta droga donikąd może w każdej chwili zmienić się w drogę ku śmierci.

Kiedy na noc zatrzymaliśmy się w stodole i Polacy przynieśli nam jedzenie, Niemcy przegonili ich, strzelając. Wiedziałam, że wreszcie będą musieli się i nas pozbyć. Zapropnowałam więc swoim koleżankom, które szły w mojej piątce, aby uciec do lasu. I tak zrobiliśmy!

Czy to z Niemcami, czy bez nich, skazane byliśmy na głodowanie. Nie miałyśmy ani wody, ani jedzenia i musieliśmy się ukrywać, by nie wpaść znów w ręce wroga.

Trafiłyśmy jednak na dobrego człowieka. Pracował w lesie przy drzewie. Przejął się naszym losem, bo zobaczył, że jesteście więźniarkami. Był Ukraińcem. Dał nam cywilne ubrania i nakarmił. W zamian ofiarowaliśmy mu puszkę z zupą, które dostaliśmy w Dreźnie od Niemców, a których nie mogliśmy otworzyć.

To dodało nam siły do dalszej, choć nie lżejszej drogi.



Obóz w Brzezince. Fot. Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau

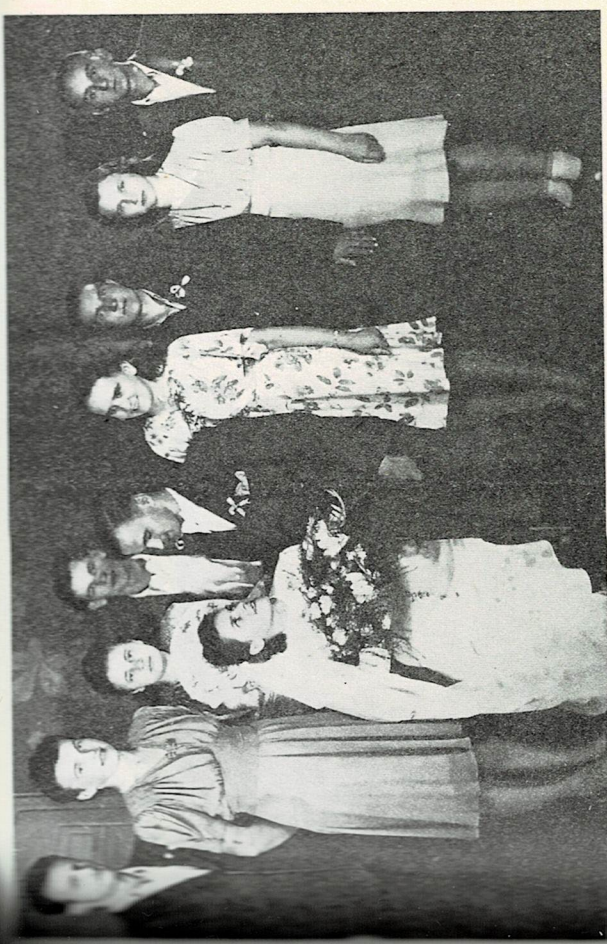
Z Niemiec wracaliśmy do domu pieszo. Raz podrzucił nas mężczyzna wiozący zboże do browaru w Namysłowie. Pamiętam, że jechaliśmy przez zombardowany Wrocław. Jeszcze paliły się budynki. Ze stacji w Namysłowie ruszyliśmy we cztery do Częstochowy. Jedna z koleżanek miała w Częstochowie znajomą, która ugościła nas obiadem! To był pierwszy ciepły posiłek od bardzo dawna.

## Niespodzianka

Pociąg, którym wracałam do domu, zatrzymał się na stacji Ćmielów Miasto, naprzeciwko mojego domu. Kolejna stacja: Ćmielów, gdzie mieszkała moja ciocia z wujkiem. Specjalnie pojechałam najpierw do cioci, bo bałam się iść od razu do mamy. Martwiłam się, że jak mama mnie zobaczy, będzie w szoku i coś jej się stanie! Niemal natychmiast wujek pojechał do mamy, przywiózł ją do domu, gdzie czekałam z cicią. Schowana w innym pomieszczeniu słyszałam, jak powiedział do niej:

– Chodź, coś ci pokażę!

Mama nie podejrzywała, jaka czeka ją niespodzianka. Gdy mnie zobaczyła, popłynęły łzy radości!



Club Janiny Jakimiuk. Fot. Archiwum rodzinne

Po powrocie do domu dowiedziałam się, że mój kuzyn Heniek zginął w partyzance w 1945 roku.

Po wojnie dostałam dobrą pracę, zostałam kierownikiem sklepu, poznałam ludzką dobroć. Ludzie byli dla mnie życzliwi.

Wyszłam za mąż w 1946 roku. A później urodziłam dwóch synów: Tadeusza i Zdzisława. Dziś nie martwię się już o przyszłość, staram się cieszyć każdym dniem. Uważam, że nie można się ciągle przejmować, należy chwycić całe dobro, jakie daje nam świat.

№ obozowy: 45712

SABINA NAWARA z domu Leska

Urodzona: 16 czerwca 1923 roku w Sulejowie

Była wywózki do **Auschwitz**: 2 czerwca 1943 roku

Obozy i podobozy koncentracyjne: Auschwitz-Birkenau, Ravensbrück, Neustadt-Glewe, Buchenwald, Altenburg

*O czym marzyliśmy w Auschwitz?  
O tym, aby coś zjeść i umrzeć.*

## SABINA NAWARA

### Odważna więźniarka

Zanim trafiła do Auschwitz, była więźniona w Piotrkowie Trybunalskim. Przetrwiała niewyobrażalne tortury, nie zdradzając swoim oprawcom żadnych informacji. Zawsze starała się pomagać innym więźniom. W lutym praca w lodowatej wodzie przy oczyszczaniu stawu spowodowała ciężką chorobę. Nie po raz pierwszy cudem uniknęła śmierci.



Sabina Nawara, zdjęcie wykonane tuż przed aresztowaniem (fragment).  
Fot. Archiwum rodzinne

## Poranek inny niż wszystkie

45712 – numer dla kobiety, która być może resztę życia spędzi w obozie zagłady. Mężczyzna, również więzień, który tatuował ciąg cyfr na moim przedramieniu, patrzył spojrzaniem pełnym współczucia. Wyglądał, jakby zdał się na los, który trzyma go w Oświęcimiu pewnie już od kilku lat. A ja dopiero mam poznać, czym jest prawdziwy głód, dopiero zajrzę śmieciem prosto w oczy. On już to widział. Wiedział, co stało się z blisko czterysta stoma pięcioma tysiącami kobiet. Jestem kolejna. Mnie spotka to samo.

Kiedy rano dotarliśmy do Auschwitz, czekał na nas „orszak powitalny”. Esemmani i esesmanki z psami wypatrywali swoich kolejnych ofiar. „Jab zbrodniarzy” – pomyślałam.

Po ciężkiej podróży zaprowadzono nas do Brzezinki. To był spory kawałek drogi! A my byliśmy tacy głodni, niewyspani, pobici. Później wszystko działo się automatycznie. Tak szybko, że nawet nie jestem w stanie wspominać szczegółów. Pamiętam jednak doskonale, jak bałam się mordercy w selekcji.



Sabina Nawara (po prawej) z młodszą siostrą Tereską. Zdjęcie wykonane tuż przed aresztowaniem, 1942 rok. Fot. Archiwum rodzinne

Później zaprowadzili nas przed saunę i kazali nam się rozbrać. Wówczas było małe. Wilgotne ściany wyglądały obskurnie. Zaraz przy nich znajdowały się schodki, na których można było usiąść, co zresztą uczyniły słabsze kobiety. Gorąca para buchała na nas z rozgrzanej podłogi. Czarna kobieta wyglądająca na taką, co tu rządzi, polewała posadzkę wiadrem gorącej wody. Temperatura sięgała czterdziestu stopni Celsjusza. I nie wiem, czy było gorzej – czy ten upał, w którym ledwo łapałam oddech, czy lodowate przyznanie, pod który zaprowadzili nas chwilę później.

Zupełnie nagie stałyśmy na dworze do momentu, aż mężczyźni pełniący w obozie funkcję fryzjerów przyszl nas ogolić. A robili to tępymi narzędziami, niejednokrotnie raniąc nas. Najgorsze dla mnie było to, że musiałyśmy być naga, niejednokrotnie raniąc nas. Najgorsze dla mnie było to, że musiałyśmy stać naga okrzykiem tuż przed mężczyzną, który golił moje miejsca intymne. Ta sytuacja była symboliczna, typowa dla Niemców, którzy mieli na celu nie tylko zabijać, ale także upokorzyć człowieka. To dla kobiet, szczególnie dla młodych dziewczyn, było bardzo wstydlive! Wiele z nas nie udziało nigdy wcześniej nagiej osoby. Zawstydzona, odarta z godności, na koniec zostałam posmarowana za pomocą pędzla jakąś zieloną ciecżą. Jak



Rodzice Sabiny  
Nawary, Marcjanna  
i Jan Lescy, oraz  
dwie siostry,  
Leokadia (stoi  
po prawej) i Teresa.  
Na kolanaach mamy  
siedzi mały  
Jureczek, synek  
siostry Sabiny,  
Sulejów 1943 rok.  
Fot. Archiwum  
rodzinne



*Brat pani Sabiny, Mieczysław Leski w szkole lotniczej. Fot. Archiwum rodzinne*



*Mieczysław Leski zginął w wypadku na lotnisku w Poznaniu 2 czerwca 1938 roku. Zdjęcie wykonano w 1936 roku. Fot. Archiwum rodzinne*

się domyślałam, służyło to dezynfekcji. Niektóre dziewczyny płakały rzewnie, bo podczas strzyżenia straciły długie warkocze, pukle loków. Ja nie ubolewałam nad fryzurą. Wyczuwałam poważniejsze zagrożenia i straty, przy których ścięcie włosów było niczym.

Po całej serii „zabiegów higienicznych” zaprowadzono nas do baraku, w którym rozdano nam ubrania. Pamiętam, że dostałam wtedy pasiak, kozulę, majtki do kolan, drewniane trepy zamiast butów i chustkę na głowę. Miałam wielkie szczęście, że trafiła mi się bielizna. Większość kobiet pozostawała w samych, często za dużych, pasiakach.

Tak spędziłam swój pierwszy dzień w obozie. 2 czerwca 1943 roku.

Na blok skierowano mnie przed wieczornym apelem. Kiedy przyszła po nas blokowa, od razu zaznaczyła, jakie tutaj panują warunki. Mamy się do nich dostosować, inaczej zginiemy. Dobitnie dała do zrozumienia, że nie mamy żadnych praw i jesteśmy nikim. Nie mogłam zasnąć przez całą noc. Targały mną strach i tęsknota za domem, którego – miałam wrażenie – więc nie zobaczę.

## Nowy dom

już wspominałam, do zasad panujących w obozie trzeba było się dostosować. To była walka o życie i przetrwanie. Zarówno z Niemcami, jak i pomiędzy samymi więźniami.

Kobiety potrafiły walczyć o wszystko. O kawałek chleba, dodatkową porcję zupy, lepszą pracę – o ile miały na to wpływy, choć najczęściej nie miały. Prace przydzielane były przez sztabowe albo blokowe. Niekiedy zdarzało się jednak, że znajomy więzień wciągnął przyjaciela z koi do dobrej roboty. Najlepsze były prace wykonywane w barakach, pod dachem.

Powodem do walki stawały się koje, a raczej miejsca na nich. W baraku 14, w którym spędziłam dwutygodniową kwarantannę, koje były mrowane i dość szerokie. Najwyższa znajdowała się tuż pod dachem. Było to dobre miejsce, choć gdy padało, woda kapiała na głowę. Środkowe legowisko było zdecydowanie najbezpieczniejsze.

Na kojach wykładaliśmy skoszoną trawę, która musiała nam zastąpić poduszkę. Trawa jednak szybko się kruszyła i często spałyśmy na gołym betonie. Niekiedy trafił się koc do okrycia – dopóki ktoś w nocy go nie ukradł. Koc był luksusem, przynajmniej do momentu, gdy nie obsiadły go wazy. A te zagnieżdżały się w nim szybko. Człowiek nie jest w stanie wyobrazzić sobie takiej ilości wszy, z jaką nam przychodziło żyć na co dzień.

Pamiętam, że na samym początku otrzymaliśmy pościel wypełnioną slaniem. Szybko jednak zaczęła śmierdzieć uryną i potem. Nie wietrzyło się jej ani nie prało. Nawet jeśli by ktoś chciał i mógł ją przepłukać, to nie było gdzie.

Najniższy poziom na kojach był najgorszy. Najmniejszy. Gdy padało, często zalany był wodą. Ale to nie wszystko. Tam najczęściej łążyły szczury. Miałam się ich okropnie. One wręcz przeciwnie, w ogóle ludzi się nie bały. Były wielkie i spasione. Żywiły się resztkami z kuchennych baraków, a gdy nastąpił zmierzch, atakowały śpiących ludzi. Najczęściej ogryzały martwe ciała więźniarek. Trupy leżące przed barakiem miały ponadgryzane policzki, nosy, brody. Dziury pojawiały się na całym ciele.

Pamiętam, jak w nocy kobieta obok mnie zmarła. Musiałam leżeć przy niej do rana. Gdy się obudziłam, miała obgryzioną brodę.

Na początku i ja spałam na niższej koi. Dusiłam się w przenośni i dosłownie. Było bardzo ciasno, więc musieliśmy się układać w poprzek, tak że nasze głowy dotykały bocznej ścianki.

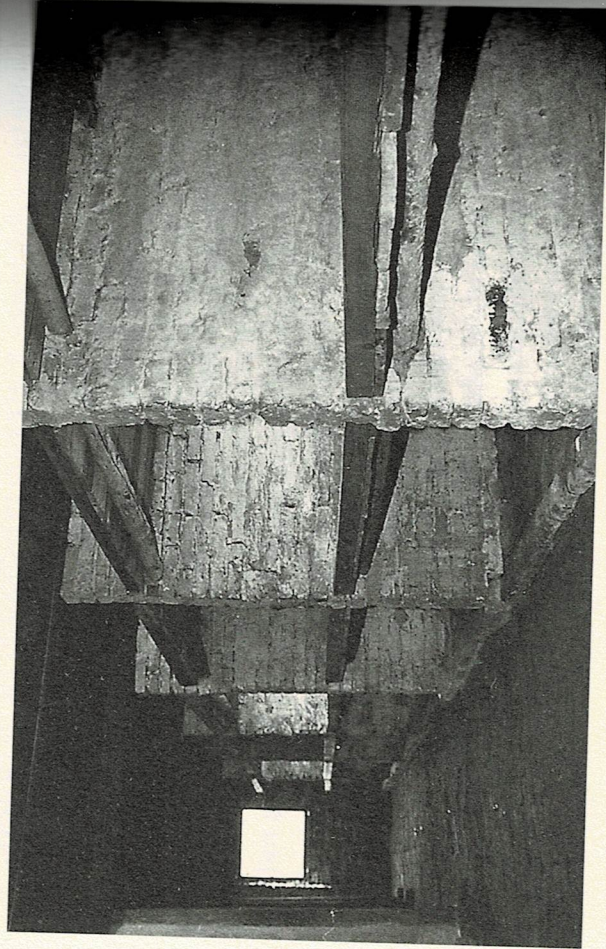
Z wysiłkiem przywoływałam wspomnienia. Przypominałam sobie mój dom, który także wiele wycierpiał. W 1939 roku został częściowo zburzony



przez naloty niemieckie, które nasilały się każdego dnia. Po nalotach mieliśmy całą rodziną na wschód, do brata mojego ojca. Zatrzymaliśmy się tam do czasu, gdy mogliśmy wrócić do siebie, czyli – o ile mnie pamięć nie myli – do listopada 1939 roku. W rodzinnym domu miałam swoje łóżko i ciepłą kołdrę. Nie wiem dziś, co było dla mnie ważniejsze, gdy przebywałam w domu, śpiąc wyziębnięta. Że poduszka i kołdra w domu były ciepłe czy że był czyste? A może to, że pachniały świeżością, smagane wiatrem? Mama nosiła je na dwór, gdzie na słońcu nabierały zapachu lata. Widziałam przed oczami ojca, który działał w konspiracji i nauczył mnie patriotyzmu, oraz mamę, troskliwą kobietę. I ją później złapali. We wrześniu 1943 roku została wywieziona do Ravensbrück.

Tymczasem spałyśmy, więźniarki, w tej ciasnocie w osiem, czasami więcej, jedna obok drugiej, aby zmieścić się na koi. Osoba, która musiała spać miejsce przy samej ścianie, odcięta była od świeżego powietrza czy delikatnego smugi światła, rzucanej przez niewielką żarówkę, gaszoną w nocy przez bluzkę. Każdy unikał tego miejsca, ale któraś z nas musiała w końcu się tam położyć.

Gdy pojawiała się możliwość, by spać na środkowej koi, dziękowałyśmy Bogu. Zwykle te miejsca zajmowały starsze stażem więźniarki. Jeśli któraś



Koje w barakach, zdjęcie współczesne. Fot. Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau

dotychczas, dochodziło do kłótni, a nawet bójek, które kończyły się szybko, niż się zaczęły. Bat sztabowej szybko radził sobie w takich sytuacjach. Zrozumiał, że więzień na środkowej koi nie oddawał swojego miejsca „po przywróceniu” nikomu innemu. Walczysz o siebie – żyjesz, poddajesz się – przetrwasz i umieras. Oto Auschwitz.

Choć był jedną wielką próbą człowieczeństwa. W tak trudnych warunkach nikt nie traktuje drugiej osoby jak ludzkiej istoty. Istoty czującej. Pojawia się złośliwość, zasada „kto silniejszy, ten ma lepiej” powodowała, że nikt nie było zapomnieć, iż jest się człowiekiem.

Po dwóch tygodniach kwarantanny przeniesiono nas do bloku numer 7, gdzie blokową była Stenia z Tarnowa. Piękna, ale okrutna kobieta.

Prześląkłyśmy zapachem baraków. Był to zapach fekaliiów i stęchliny. Nie miałyśmy dostępu do wody, więc o kąpeli nie było nawet mowy. Na początku w Brzezince nie miałyśmy nawet umywalni. Dopiero później na zewnętrz zostały zbudowane waszrauny<sup>38</sup> – umywalnie, z których czasami pozwalano nam korzystać. Jeśli nie było to możliwe, po deszczu wypatrywałam większych kałuż, w których mogłam umyć twarz, ręce lub się podmyć. Nie było również ubikacji. Za barakami kazano nam wykopać rowy, które, jak miało się wkrótce okazać, służyły nam za latryny. Aby się zająć, musiałymy kucnąć i uważać, aby nie wpaść w dół przepelniony fekaliami. Wiele kobiet potopiło się w tym kale i brudzie. Dookoła było ślisko i niebezpiecznym było o nieszczęście. A wycieńczone z głodu i przepracowane kobiety, kiedy zemdlały lub przewróciły się i wpadły do środka, nie miały siły, by wyjść.

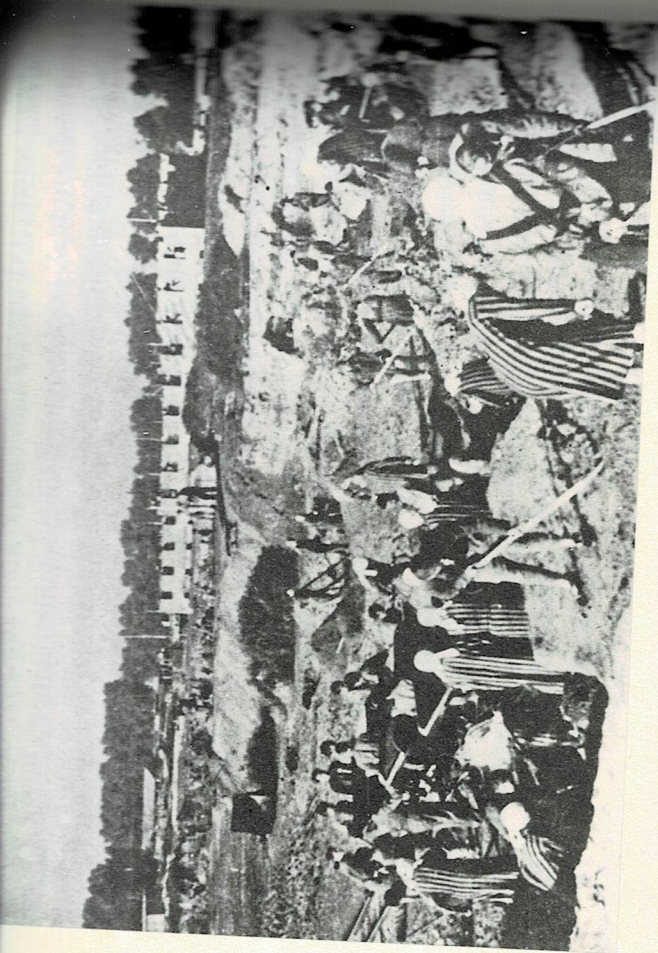
Nad nami, trzy metry nad ziemią, siedzieli postowie<sup>39</sup> w swoich budach i patrzyli na to wszystko. Można było się krępować, płakać. Czy miałyśmy jednak inne wyjście?

Towarem deficytowym, nie wiedzieć czemu, były miski. Kiedy po przybyciu do obozu przeszliśmy na blok, każda z nas dostała taką czerwoną, obrzydliwą, metalową. Wykorzystywałyśmy ją do jedzenia, a czasami jako nocnik – kiedy nie wolno było po zmroku opuszczać baraku. Miskę wszędzie się ze sobą zabierało, nawet poza obóz, jeśli pracowało się w polu czy przy rozbiórce budynków.

Obiady dowożono na miejsce pracy. Najczęściej była to jakaś zupa. Nie mam tu na myśli oczywiście takich zup, jakie jadamy dzisiaj. Woda

<sup>38</sup> Z niem. *Waschraum* – umywalnia.

<sup>39</sup> Post – esesman z oddziałów wartowniczych, który miał za zadanie pilnować więźniów przy pracy lub pełnił wartę na wieży strażniczej.



Praca przy kopaniu rowów. Fot. Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau

zgotowana z brukwią albo z pokrzywami, liśćmi brzozy, rzadko z ziemniakami. Bez smaku i wartości odżywczych. Czasami dostawaliśmy na cztery bochenek chleba, tak zwaną *zulagę*<sup>40</sup>, dodatek.

Rano dawali nam do picia wodę albo czarną ciecz, jakiejś ziola, również do miski. Na kolację najczęściej dostawaliśmy pajdę chleba i czarną wodę. Podejrzewałyśmy, że ten czarny płyn to coś, czym faszerują kobiety, aby wstrzymać im okres. Wiele dziewczyn zauważyło, że menstruacje zanikły. Ja sama po przyjeździe do Auschwitz-Birkenau tylko raz miałam miesięczkę. Jednak nie u wszystkich kobiet miesięczkowanie się zatrzymało. Takie dziewczyny miały poważny problem higieniczny, ponieważ, tak jak wspominałam, w obozie w Brzezince nie było wody ani toalety, nie mówiąc już o jakichś wkładkach. Kobiety musiały ratować się szmatkami, podartymi ubraniami, które przepłukiwały w brudnych kałużach.

Czerwone miski były rozkradane. Wystarczyło tylko na chwilę spuścić je z oczu! Ja ze swoją ohydłą miską nawet spałam. Nie tylko zresztą ja,

<sup>40</sup> Z niem. *Zulage*, w żargonie obozowym również *culaga*, oznacza dodatek żywnościowy dla pracujących.

Woda pilnowała swojego naczynia. Kradłyśmy je sobie wzajemnie, jeśli było blisko. Ja też kradłam, nie miałam innego wyjścia. Czasami, gdy nadchodził przydział zupy, a naczynie zniknęło, pożyczaliśmy je sobie. Trzeba było jednak pilnować, aby miska wróciła.

Kradziono także jedzenie. Należało gospodarować pożywieniem z rozmysłem, ponieważ na śniadanie chleba nie dawano. Dlatego każda z nas, a szczególnie te bardziej rozważne, zostawiała sobie resztę z kolacji na rano. Czasami był jakiś kawałek pasztetówki czy margaryna. Ale te głodowe porcje albo podsycaly nieustanny głód. Pewnej nocy włożyłam kawałek chleba do swojej miski. Podłożyłam ją pod głowę, pod siennik, na którym spałam. Nagle czuję przez sen, że ktoś rusza miską. I rzeczywiście! Złapałam koleżankę Baśkę za rękę. Nie chciała się przyznać, ale wiedziałam, że zamierzała ukraść mi jedzenie.

Cóż mogę powiedzieć... O czym marzyliśmy w Auschwitz? O tym, aby od zjeść i umrzeć.

## Jedna chwila radości

Z całego pobytu w obozie pamiętam tylko jedną chwilę radości, podczas której całkowicie zapomniałam o tym, gdzie się znajduję. Gdy pracowałyśmy w upalny dzień, grabiąc nad Wisłą skoszoną trawę, znalazłyśmy spory kłob, w którym znajdowała się woda. Być może deszczówka. Dla spoconych, rozgrzanych, zakurzonych kobiet wskoczenie do tego stawiku było marzeniem. W normalnych warunkach żadna z nas nawet minuty by się nie zlanawiała. W tym przypadku jednak podobną decyzję mogłyśmy przyjąć z łatwością. Może nie byłam rozsądna, ale podjęłam ryzyko. Podeszłam do kłapo i zapytałam, czy pozwoli nam wejść do wody.

– A macie stroje kąpielowe? – zażartował.

– Będziemy kąpać się nago. Proszę, ten jeden raz.

Zgodził się. Kazał jednak się spieszyć, bo sam miałby problemy, gdyby ktoś zauważył.

Jaka to była radość! Chłodna woda zmyła z nas pot i brud. Była kojąca. Najpierw zachłannie staraliśmy się umyć, w końcu od tygodni nie pozwalamo nam się wykąpać. A później, gdy już wiedzieliśmy, że wykorzystaliśmy wodę najlepiej, jak potrafiliśmy, staliśmy w niej szczęśliwie, sycąc się błogością chwili. W tamtym momencie naprawdę zapomniałam o wszystkim dookoła.

Dzień zaczynał się często już o trzeciej nad ranem. Wtedy blokowe budowały nas na apel. Wyprowadzano nas przed barak, ustawiano piątkami i stałyśmy tak godzinami, a aufsejkerki<sup>41</sup> liczyły. Liczba musiała zgadzać się z ewidencją, jednak po każdej nocy była inna. Często nie mogły doliczyć się wszystkich, bo nocą kobiety umierały. To na kojach, to utopiły się w dole z fekaliów. Inne odchodziły z głodu i wycieńczenia. A czasami apele trwały tak długo, że i podczas nich dziewczyny umierały.

Bywało też, że kobiety same decydowały się skończyć z życiem. Niemcy nie musieli przykładać do tego ręki. W nocy, gdy w obozie zapadała nieprzejaskniona cisza, „rozrzedzana” syczeniem drutów elektrycznych, więźniarki wymykały się z baraków, przeskakowały doł, do którego się załatwiały i wrzucały się na druty. Odbierały sobie życie, bo nie chciały dłużej patrzeć na taki świat.

Tak czy inaczej, ewidencja musiała się zgadzać. Trzeba było przed końcem apelu znaleźć każde zwłoki, każdą zagubioną.

Nienawidziłam tego, co mnie spotkało. Ale nie mogłam nawet głownie się pożalić. Bo do kogo? W jakim celu?

## Żadnej pracy się nie bałam

Każda kobieta w obozie musiała pracować. Mnie od razu udało się dostać do komanda roboczego numer 17, wychodzącego poza obóz. Tam najczęściej pracowałam. Prowadzili nas esesmani z nabitymi karabinami, bagnetami i psami.

Choć wiele osób narzekało na pracę w polu, ja lubiłam ją najbardziej. Miałam namiastkę świata poza drutami.

Najpierw wraz z innymi dziewczynkami wychodziłyśmy na wały wiślańskie i zbierałyśmy pokrzywy. Nie miałyśmy oczywiście żadnych rękawic, dla tego starałyśmy się zrywać je przez ubranie. Wtedy mniej parzyły. Pokrzywy zanosiliśmy do obozowej kuchni w lagrze kobiecym, potem dawano nam je do zjedzenia. Zdarzało się czasami, że niosłyśmy je do Oświęcimia, do głownego męskiego obozu.

Pewnego dnia, kiedy tam byliśmy, podszedł do mnie mężczyzna.

<sup>41</sup> Z niem. *Aufseherin* – SS, nadzorczyni. W obozie funkcjonowały też formy *aufseherka*, *aufsejterka*, *aufsejterka*.

He masz lat? – zapytał.

Dziwienność – odpowiedziałam. Nie znałam go. Obiecał, że gdy przejdę następnym razem, da mi kawalek mydła. Nie wiedziałam, dlaczego akurat akurat mnie. Byłam mu wdzięczna, choć miałam świadomość, że bez mydła nie wytrzymał i tak nie będę mogła wykorzystać mydła.

Następnego dnia, kiedy przyszedłam, wrzucił podarunek do mojego koszyka, a ja owinęłam go chrzanowym liściem, aby nikt się nie zorientował. Żona mogłaby być straszna, zarówno dla mnie, jak i dla tego mężczyzny, którego imienia nie poznałam. Podziękowałam mu serdecznie i schowałam zawiniątko do czerwonej miski, którą jak zwykle miałam przy sobie. Będąc w głównym obozie, przyglądałam się napisowi „*Arbeit macht frei*”. Do dziś przechodzą mnie ciarki.

Inną pracą, którą wykonywałam, była rozbiórka budynków mieszkalnych po wysiedleńcach, którzy rozpoczęli budowę obozu w Brzezince. Domy były przeważnie drewniane, a praca ciężka i niebezpieczna. Robota nie dla kobiet, ale nikt na to nie patrzył. Musiałyśmy zrobić swoje i nie było dyskusji. W innym razie groziły kary bicia, a nawet śmierci. Nasz szef widział, że dobrze pracuję. Byłam energiczna i wykonywałam swoje obowiązki najlepiej, jak umiałam. Dlatego pozwolił mi „w nagrodę” wkładać łaski dynamitu we wcześniej zrobione otwory i rozwalać mury. Najwięcej domów rozebrałyśmy w okolicy wsi Harmęże. Oczywiście podczas rozbiórek budynków po wystrzelonych zdarzały się wypadki. Musiałyśmy wtedy zanościć ranne dziewczyny do rewirów, czyli „szpitali”, które mieściły się w drewnianych barakach w obozie.

Wiem, że niektóre kobiety sadziły lasy w Rajsku i okolicy, inne pracowały na roli. Ja pewnego razu zostałam wysłana do sadzenia buraków, zdarzało mi się też prowadzić konia, chociaż nie miałam w tym żadnego doświadczenia. Niestety ta praca była dla mnie bardzo ciężka i któregoś razu wywróciłam wóz. Kapo bardzo się zdenerwowała, okładała mnie kijem. Strasznie mnie wtedy potłukła.

Kiedy nadeszła zima i nie było zbyt wielu robót, komanda były kierowane do kopania rowów. Do tej pracy szliśmy daleko za obóz, nad Wisłę. Kiedy kilka lat temu pojechałam do Auschwitz, specjalnie udałam się w tamto miejsce, aby sprawdzić, jak usypiane przez nas wały wyglądają. Okazało się, że istnieją do dziś. To nasza praca!

Przez cały pobyt w obozie pracowałam w wielu miejscach. Łapałam się każdej roboty i starałam się wykonywać ją poprawnie. To dawało mi szansę na przeżycie. Pewnego razu jednak przez pracę omal nie umarłam. Zostałam wtedy wysłana do czyszczenia stawu rybnego. Szef z tego komanda



Praca komando. Fot. Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau

był okrutnym człowiekiem. Kazał wchodzić nam do lodowatej wody i wyćniać sitowie. Jedna z Żydówek bała się zanurzyć, więc przewrócił ją na ziemię, do szyi przystawił jej szpadeł i bez zastanowienia stanął na nim całym ciężarem swojego ciała. Kobieta drgnęła tylko i już nie żyła. Każda z nas bała się, że spotka ją ten sam los. Nie wiadomo, czego obawialiśmy się bardziej – życia w obozie czy śmierci. Wykonywałyśmy jednak rozkazy, wchodziłyśmy do zimnej wody, a pijawki przyczepiały się do naszych ciał. To była jesień 1943 roku. Wyczerpana, przemarznięta, zachorowałam na tyfus i znalazłam się w rewirze w bloku 26.

Nie pamiętam zupełnie nikogo z rewiru. Wiem tylko, że pielęgniarki były dla mnie dobre. Paliły w piecyku, było ciepło i dawały mi do jedzenia chleb. Myślałam, że nie przeżyję. Strasznie gorączkowałam. Ale dzięki pomocy pielęgniarek się udało.

Zaraz po chorobie przeniesiono mnie na blok piętnasty na odcinku B1b. Wróciłam do pracy. Dla mnie robota na *Aussen* była ważna, wolałam być na świeżym powietrzu. Inne kobiety uważały, że lepiej pracować pod dachem.



Paul Sabina (po lewej) z Zofią Górną, koleżanką z klasy. Zofia Górna zginęła w obozie. Zdjęcie wykonane tuż przed aresztowaniem. Fot. Archiwum rodzinne

Powiedzmy sobie jednak szczerze, żadne zajęcie w tym obozie nie dawało gwarancji życia.

Kiedyś spotkałam koleżankę z Sulejowa, Zosię Górną. Zachęcałam ją do pracy poza obozem, jednak ona zarzekała się, że nie da rady. Chciała dostać pracę w szpitalu i rzeczywiście ją dostała. Nie popracowała jednak w rewirze długo, bo zaraziła się wstrętną chorobą, pęcherzycą, i wkrótce zmarła.

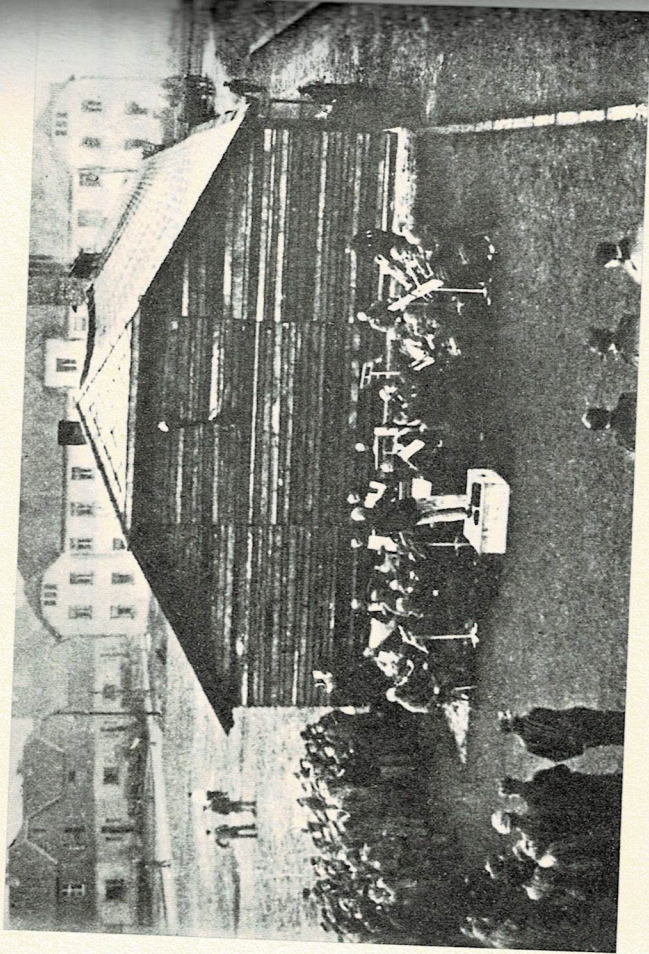
Będąc w Auschwitz, nie mogliśmy wiele zrobić dla innych. Jedynie pa-trzeć, jak nasi znajomi, rodzina, nowo poznani i obcy ludzie powoli umiera-ją – zamordowani albo z wycieńczenia. Oni też patrzyli na nas. I tylko te spojżenia nam pozostały – wolne i nasze. Mimo to zawsze znajdowałam wokół siebie grupę solidarnych ludzi, którzy nawet w tak tragicznych warunkach zwracali uwagę na drugiego człowieka i nie przechodzili obojętnie obok potrzebujących. Staraliśmy się również postępować w ten sposób. Nie mogłam nikomu wiele dać, bo sama nic nie miałam. Mogłam jedynie odmówić sobie kawałka chleba i ofiarować go choremu czy też skrawkiem szmatki z ko-szuli, którą ukradłam, zawiązać komuś ranę. Z perspektywy czasu te gesty ukazały mi, że nawet w takim piekle, jakim było Auschwitz-Birkenau,

zachowały się okrucy ludzkości. A dopóki mieliśmy je w sobie, wciąż byliśmy ludźmi. Gdybym była oschła wobec innych i przeżyła, dziś nie potrafiłabym spojrzeć sobie w oczy.

## O krok od krematorium

Praca w lodowatej wodzie przy oczyszczaniu stawu, kolejny raz w lutym 1944 roku, dała o sobie znać. Zachorowałam ponownie, tym razem na zapalenie stawów kolanowych, i znów znalazłam się na rewirze. W szpitalu często robili selekcję, a ja nie mogłam chodzić. Każdy z więźniów doskonale wiedział (nie była to tylko plotka), że osoby niechodzące prosto z rewiru kieruje się do krematorium. Bałam się, że mimo mojej walki i zmagania z losem przegram.

Stało się wreszcie to, przed czym drżałam. Któregoś popołudnia lekarz obozowy wszedł z esesmanami do rewiru i kazał nam wstać z łóżek. To było dnia nie wstałam. Mój numer został zapisany przez blokową na kartce. To ja i kilka innych kobiet zabrano do bloku 25. Leżałyśmy tam bez jedzenia, całkiem nagie. Byłam pewna, że to koniec. Zapisali mnie... No trudno



Orkiestra obozowa, fotografia wykonana przez esesmana w Auschwitz, 1941 rok.  
Fot. Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau

Zadym tylko nie cierpiała pod krematorium, czekając na zagazowanie. Już samo mnie nie będzie – myślałam.

Przed spaleniem ludzie trafiali do pomieszczeń, w których więźniów palano. Palenie żywcem nie wchodziło w grę, bo wśród szokowanych ludzi prawdopodobnie wybuchłaby panika. Zresztą jaką pracę mieliby wtedy ludzie, którzy wkładali ciała do pieców?

Nie wyobrażam sobie, aby żywcem spalić człowieka. Byłam świadkiem wielu egzekucji, ale odwracałam wzrok. Nie chciałam patrzeć na dodatkowe cierpienia, bo na co dzień ich nie brakowało.

Kiedy przyszła blokowa i wyczytała mój numer, nie odezwałam się. Dobrze wiedziałam, że chodzi o mnie. Ponownie zawołała. Znów się nie zgłosiłam. Wreszcie kobieta leżąca obok mnie powiedziała:

– Powiedz, że to ty! To przecież ciebie wołają.

– Wiem – odpowiedziałam jej. – Lepiej siedzieć cicho i się nie odzywać.

Wtedy blokowa podeszła i sama zweryfikowała mój numer. Wywołała jeszcze pięć, może sześć innych dziewczyn, same Polki, i powiedziała, że wracamy na rewir. Nie mogłam w to uwierzyć, byłam przekonana, że zaraz podjadą samochody i wywiozą nas do krematorium.

– Myślicie, że nie wiemy, dokąd nas zabieracie? – pytałam, kiedy podeszła do mnie. Wciąż byłam przekonana, że idziemy do gazu.

– Dziś Aryjczyków nie palą – odparła.

## Zastrzyk życia

Będąc na rewirze, nadal bardzo źle się czułam. Co prawda udało mi się czmychnąć śmierci sprzed samego jej nosa, ale na jak długo? Nie mogłam chodzić, gorączkowałam. W każdej chwili ponownie mogli mnie skierować na Blok Śmierci. Pomagało mi tylko to, że dostawałam od ojca paczki.

Zdarzyło się jednak, że równocześnie ze mną zachorowała blokowa z rewiru i przyszedł do niej doktor z męskiego szpitala.

Wtedy odważyłam się na rozmowę. Może to gorączka mnie oszołomiła, a może w akcie desperacji podjęłam ryzyko. Tak czy inaczej zapytałam lekarza, czy zna doktora Kwapińskiego, znajomego mojego taty. Spotykali się u nas w domu i prowadzili tajne rozmowy. Miało to miejsce jakiś czas przed moim aresztowaniem, gdy wraz z rodzeństwem zorientowaliśmy się w konspiracyjnych działaniach taty.

Podaliśmy lekarzowi swoje imię i nazwisko oraz powód pobytu w szpitalu. Pojawił się jeszcze następnego dnia w naszym rewirze, ale nie odezwał

się do mnie ani słowem. Było mi przykro, czułam żal, sądząc, że na nikogo nie ma sprawy. Brałam jednak pod uwagę to, że może zwyyczajnie się bał obaw mi zainteresowanie, aby nikt nie doniósł.

Jednak pewnego dnia blokowa, która wreszcie wyzdrowiała, podchodzi do mnie i powiedziała, że dostanę zastrzyk.

– Czy to zastrzyk śmierci? – zażartowałam. Tak, żartowałam. Co innego mi pozostawało.

– Nie, to zastrzyk życia. Masz szczęście, bo wymknęłaś się śmierci – odpowiedziała.

Okazało się później, że lekarz odwiedzający blokową, chociaż nie odzwalał się do mnie słowem, odnalazł doktora Kwapińskiego i przyniósł przekazane przez niego zastrzyki dla mnie. Byłam zaskoczona postawą blokowej i bardzo nią ucieszona, bo wcale nie musiała się przyznawać, że posiadała leki. Mogła uratować życie komuś innemu, wymienić je na towar „luksusowy”, na przykład papierosy. A jednak dotrzymała słowa i przyczyniła się do tego, że żyję. Gdyby nie zastrzyki od doktora Kwapińskiego, z pewnością zmarłabym na szpitalnej przyczce.

## Idzie dziewczę po lesie...

Gdy wreszcie wyzdrowiała, musiałam wrócić do pracy.

Do roboty wychodziłyśmy przez bramę na odcinku Bła. W tym miejscu stała orkiestra. Później, kiedy kobiety zostały przeniesione na B1b, muzyków umieszczono pomiędzy odcinkami A i B. Rola orkiestry obozowej była niezmienne istotna. Grali, gdy wychodziłyśmy do pracy poza obóz. Kiedy znałam się w Auschwitz, zespół nie był jeszcze całkowicie zorganizowany. Granie było nierówne, dyrygentka sobie nie radziła. Przez to maszerowałyśmy nierówno i dostawałyśmy po głowie od naszych postów. Później jednak dyrygentką została słynna Alma Rosé<sup>42</sup>, która grała też na skrzypcach. To było piękne! Lubiłyśmy słuchać tej muzyki.

Gdy szłyśmy rano do pracy do lasu po gałęzie do krematorium, obok nas szli: uzbrojony esesman, kapo, auzjerki. Krzyczeli do nas: „maszerin!”.

Bywało, że esesman, który szedł obok, kazał nam śpiewać. Ale śpiewaliśmy tylko wtedy, gdy miałyśmy ochotę. Często sama rozpoczynałam *Idzie dziewczę po lesie*... Myślałam sobie: „A dlaczego mamy nie śpiewać?! Myślicie,

<sup>42</sup> Alma Rosé – ur. 1906 r. w Wiedniu, zm. 1944 r. w Oświęcimiu, w obozie Auschwitz-Birkenau. Austriacka Żydówka, wybitna skrzypaczka, była siostrzenicą kompozytora Gustava Mahlera.

chcieliśmy całkiem ulomne? My wszystko umiemy, tylko przestańcie nam zabierać!”. Tyle radości potrafiłyśmy z siebie jeszcze wydusić! Tyle chociaż. Tyle ażefowie lubili rygor, więc ja, śpiewając, maszerowałam i krzyczałam:

– Lewa! Lewa! – Wtedy nasze komando miało troszkę lżej, bo kapo esesman widzieli, że się staramy w pracy i maszerujemy tak, jak należy. Kiedy maszerowałam obok starszej osoby, która sobie nie radziła, zachęcałam ją, aby szła równo ze mną, patrzyła mi na nogi i powtarzała moje kroki. Dzięki temu miałam w swoim komando dużo koleżanek, wszystkie mnie lubiły. Gdy tylko wychodziłyśmy do pracy, słyszałam:

– Sabinka, jaką piosenkę śpiewamy?

Nasza rozśpiewana grupa była lubiana przez postów i kapo. Wiedzieli, idąc z nami na zewnątrz, będą zadowoleni z pracy.

## Niemy krzyk dzieci

Mawiając jeszcze do kwestii noszenia pod krematoria gałęzi, które zebraliśmy w zagajnikach. Nieopodal krematoriów znajdowały się głębokie doły, ale nikt nie wiedział, do czego miały służyć. Pewnego słonecznego dnia usłyszałyśmy przerażający krzyk i głośny wybuch. Zaczęłam się rozglądać, skąd dochodzi potworny hałas. Spojrzałam w stronę dołów, zauważyłam wysoki na kilka metrów ogień i ciemny dym. To było straszne! Krzyki się nasilały i przesywały serce. Nigdy ich nie zapomnę. Po obozie zaczęły chodzić pogłoski, że tego dnia w dołach spalono żywcem dzieci. Nie widziałam tego na własne oczy, wiem, że nosiłam tam z innymi dziewczynami gałęzie. Ale po co? Po Auschwitz przecież można się było spodziewać wszystkiego.

## Ukryta wiadomość

W obozowym piekle spotkałam się też z ludzką dobrocią. To było rzadkie zjawisko. Jednak myśl, że w tak trudnych czasach istnieją ludzie wrażliwi na krzywdę drugiego człowieka, była bardzo krzepiąca. Doświadczyłam tego w niezwykle trudnej dla mnie i moich współwięźniarek chwili. Zmagaliśmy się z okropnym świerzbem. Byłyśmy mocno poranione, a żeby ulżyć uporczywemu świądowi, smarowałyśmy się własnym moczem. Innego sposobu nie było, przynajmniej nie w obozie zagłady.

Kiedy kopałyśmy rowy przy drodze w kierunku Trzebini, miałyśmy domy z pięknymi ganeczkami. Sliczne, wiejskie domki, okolone zielenią

kwiatami, a w nich rodziny – przynajmniej pozornie szczęśliwe. Władcy było, że w tamtych czasach każdy był zastraszony. Pomaganie więźniom było wielkim ryzykiem dla mieszkańców pobliskich wsi. Ryzykiem, które mogło zakończyć się aresztowaniem lub rozstrzelaniem.

Mimo to pewnego dnia dostrzegłam na ganku jednego z domów starszą kobietę. Patrzyła z bólem w oczach w naszą stronę i z wyraźnym żalem kiwała głową. Plakała. Pomyślałam, że nie powinna ronić łez, bo ciągle żyjemy ostrożnie, jak tylko potrafię, zwrócić się do niej o pomoc. Napisać karteczkę i poproszę o masę na świerzb. Dużo ryzykowałam. Gdyby kapo dostrzegła co zamierzam zrobić, na pewno dostałabym kulkę.

Przy szosie naprzeciwko tego domu stał niewielki płot, a pod nim rosła wysoka trawa. „Akurat taka, aby coś w niej schować” – pomyślałam. Starosta pani nie pojawiała się przez dwa kolejne dni. Dopiero trzeciego dnia zauważyłam, że stoi na ganku i na nas patrzy. Ostrożnie odłączyłam się od zwartej kolumny więźniarek, prosząc koleżanki, aby mnie kryły. Wskazałam kobiecie karteczkę i wrzuciłam ją w trawę przy płocie. Zrozumiała.

Po kilku dniach ukradkiem dała znać, że w trawie czeka na mnie odpowiedź. Znalazłam za płotem mały pakunek. Szybko schowałam go pod pasiak pracowała w magazynie, w Kanadzie, aby wyszukała ładną bluzeczkę, którą joma znalazła śliczny sweter w morskim kolorze i przy najbliższej okazji wrzuciłam go za płotek życzliwej kobiety. W kolejnym dniu dostrzegłam, że miała go na sobie. Jeszcze kilkakrotnie zostawiała nam w trawie coś do jedzenia, kolejną masę na świerzb, a ja rozdzielałam wszystko po równo pomiędzy piątkę koleżanek, z którymi szłam do pracy.

Dzięki nieznamomej wyleczyliśmy się ze świerzbu. W tej sytuacji od dodatkowych porcji jedzenia i maści ważniejszy był jednak fakt, że komus na nas wreszcie zależało. Spędziłam w Auschwitz-Birkenau blisko trzy lata i wiele widziałam, sporo przeżyłam. W tym czasie zdążyłam zapamiętać, czym jest ludzka dobroć i jak to jest, kiedy komus na mnie zależy. Domek ze ślicznym gankiem przy szosie w kierunku Trzebini zawsze już będzie dla mnie symbolem nadziei.

## Transport w nieznane

Nastąpiła jesień. Rok 1944. Nie mogę powiedzieć, że dzień obozowy miał być taki, jak zawsze – w Auschwitz-Birkenau nigdy nie można było przewidzieć,

co wydarzy się. Nic jednak nie wskazywało na tak poważne zmiany. Rankiem nas wywołano i wyprowadzono na lager A. Rozglądaliśmy się zdziwione, przestraszone – co z nami zamierzają zrobić? Oczekiwanie przeciągało się do popołudnia. Przez cały czas stałyśmy, bo nie padł rozkaz, aby się ruszyć. Pierwsza plotka, która wdarła się między nas wieczorem – nie będąc pewną, że wyczekiwana – mówiła o tym, iż czekamy na transport. Tak się okazało. W tym czasie nie chodziliśmy do pracy. Na noc prowadzono nas do bloków. Po tygodniu blokowa Stenia przybiegła z nowiną, że jesteśmy do Niemiec. Do pracy.

Przetransportowano wtedy około tysiąca osób. Do wagonów wsadzali nas samotnie. Można sobie wyobrazić, jak było ciasno.

W przeciwnieństwie do transportu z Warszawy do Oświęcimia tym razem było związane nam rąk. Droga jednak nie była bezpieczna ani łatwa. Pamiętam, że z powodu nalotu musieliśmy się zatrzymać w Berlinie. Esemmani wybiegli z wagonów, zamykając nas wewnątrz. Sami się gdzieś pochowali, a my razem z wagonami podskakiwaliśmy na torach przy każdym wybuchu. Niektóre pociski padały naprawdę blisko! Myśleliśmy, że nie wyjdziemy z tego cało.

## Mama

Kiedy rano dotarliśmy na miejsce, ktoś zawołał, że jesteśmy na dworcu Ravensbrück. „Przecież ja się tutaj z moją mamą zobaczę!” – pomyślałam. „Jeśli jeszcze żyje, na pewno ją znajdę. Przebywa tutaj długo, więc ktoś na pewno ją zna. A może mama dowie się, skąd przybył ten transport, i sama będzie mnie szukać?”. Zrodziła się nadzieja na to, że spotka mnie coś dobrego.

W obozie dostaliśmy nowe numery. Ja 46331. Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam, ale nie pomyliłam się w kwestii mamy. Wkrótce się okazało, że żyje. Słyszając, że przybył transport z Oświęcimia – o czym dowiedziała się od znajomej w kancelarii – postanowiła mnie odszukać. Tego dnia, kiedy przyjechałam do Ravensbrück, poprosiła blokową o skierowanie do lekarza, dzięki czemu mogła opuścić miejsce pracy. Gdyby nie wymówka z lekarzem, trudno byłoby nam się znaleźć.

Obserwowała, szukała mnie w tłumie i pytała innych kobiet, czy jest wśród nich Sabinka Leska. Odpowiedziały jej, że jestem.

Tymczasem z dziewczynami z Oświęcimia szliśmy do sauny, ponieważ musieliśmy się przebrać. Cały czas się rozglądałam. Bardzo pragnęłam

urzęd mamę, choć nie miałam żadnej gwarancji, że dała radę przetrwać w obozie. Nagle znajoma twarz mignęła mi przed oczami. Spojrzałam jeszcze raz w stronę betonowego słupa i ją zobaczyłam.

- Mama! - krzyknęłam.

Ona również mnie dostrzegła i zaczęła do mnie biec. Rzuciłam się jej na brakowało. Człowiek może tęsknić dniami, latami za ulotnym wspomnieniem. Kiedy jednak ścisła się w ramionach bliską osobę, której nie widział się przez tak długi czas, osobę, o której losach nie miało się pojęcia, tęsknota zmieszana ze strachem uderza ze zdwojoną siłą.

- Moja kochana córka - mówiła. - To moja kochana córka!

Jakaś sztubowa nas zobaczyła, podbiegła i zaczęła okładać mamę kija którego nas zaprowadzą.

Zimna kąpiel szybko zmyła ze mnie wzruszenie i radość, którą jeszcze przed chwilą czułam, wpatrując się w mamę. Dostałam nowe i czyste ubranie: jasną, lnianą sukienkę, bieliznę, a nawet biustonosz. Niestety szybko mi go skradziono. Ktoś, już nie pamiętam kto, zlitował się nade mną i dał mi pantofle. Więcej jednak było w tym geście egoizmu niż ofiarowania. Drewniane trepy z Oświęcimia bardzo hałasowały. Pantofle były więc dobrym rozwiązaniem nie tylko dla mnie, ale też dla wielu osób w baraku.

## Rajskie życie

Byłam bardzo zdziwiona - pozytywnie - warunkami, jakie panowały w Ravensbrück. To było coś zupełnie innego niż Auschwitz. Siennik, na którym spałam, a dostałam miejsce na samej górze, był czysty i suchy. Z górnej kolidziałam cały barak, był ogromny. Miescił chyba z pięćset osób. To była jedna wielka hala. Każda z kobiet spała osobno - czy to możliwe? Dostałam koc powleczonej poszewką i poduszkę, choć wypelnioną słomą. Było też przescieradło. W blokach znajdowały się beczki do mycia, okrągłe kadzie i krany. Myliśmy się codziennie. W Auschwitz nie kąpałam się chyba przez cały rok. Tu dostaliśmy nawet ręczniki. Nie mogłam uwierzyć w własnym oczom. Rajskie życie! Rano zaprowadzili nas do stołówki, gdzie mieliśmy jeść śniadanie, więc żyć nie umierać. Jedzenie nadal nie było smaczne, ale przynajmniej każda dostała pajdę chleba.

W trakcie mojego pobytu w Ravensbrück z mamą spotkałam się wiele razy. Dwa dni po moim przyjeździe do obozu z samego rana usłyszałam

dziewczyny, gdy jak głośny głuchy telefon krzyczały po kolei każda w moim kierunku:

- Wolaj Sabinkę!

- Wolaj Sabinkę, jej mama w oknie jest, czeka na nią!

Pobiegłam z radością. Martwiłam się za każdym razem, że ktoś może odbrać mamę za takie wyjścia. Przez długi czas przebywałam z nowo przybyłymi na kwarantannie. Byliśmy oddzielone od pozostałych. Więżniom takim jak mama wolno było się poruszać po terenie obozu, więc nasze spotkania były „teoretycznie” bezpieczne. Należało jednak uważać, aby nikomu nie zejść za skórę, nie wyróżniać się w tłumie.

W Ravensbrück przebywałam około półtora miesiąca. Następnie przeniesiono nas do Buchenwaldu. Transport odbywał się w znacznie lepszych warunkach niż te poprzednie.

## Jak zostałam kontrolerem

Trafiłam do Altenburga, do fabryki amunicji. Była potężna, zajmowała ogromny teren i nie miała ogrodzenia. Ogródzony był tylko budynek pofabryczny, w którym spałyśmy. Otaczały go druty kolczaste pod napięciem elektrycznym. Podczas wykonywania pracy pilnowali nas postowie.

Robota w fabryce amunicji była wyczerpująca, jednak w porównaniu z katownią w Auschwitz naprawdę nie było tak źle. Pracowałam po dwanaście godzin dziennie z krótką przerwą obiadową, na zmianę dzienną i nocną. Nikt nas tam nie żałował. Ale Niemki, choć były surowe, dbały o nas, przynosiły jedzenie i picie. Kiedy miałam nocki, mogłam spać w dzień.

W fabryce amunicji byłam odpowiedzialna za kontrolę kul karabinowych. Pracowałam przy gilzach<sup>43</sup>. Udało mi się dostać do tej pracy, bo znałam niemiecki. Byłam solidna, zgłaszałam każdą usterkę i jakościowo złą sztukę. Miałam do tego odpowiednie narzędzia i wszyscy na mnie polegali. Nawet inżynierowie pytali mnie o proces produkcji, o jakość materiałów. Jeden z nich podziękował mi za zaangażowanie. Moja dobra praca była niejednokrotnie zauważana. Za wszystko dziękowałam, okazywałam pokorę i za to mnie cenili. Zaszłam już tak daleko, więc chciałam iść dalej, ku wolności. Nie myślałam o tym, że wojna się skończy, nie robiłam sobie aż tak wielkich nadziei, niemniej marzyłam, by znów być wolną.

<sup>43</sup> Gilza - łuska naboju.



W fabryce pracowały tylko więźniarki. Mężczyźni w cywilu zajmowali się mechaniką, reperowali maszyny. Był wśród nich pewien Włoch, mający dobry człowiek. Kiedy dostawał przydział jedzenia albo piwo, dzielił się z nami. Na Wielkanoc otrzymałam od niego paczkę z różnymi słodyczkami a wszystkim podzieliłam się z innymi więźniarkami. Władze obozowe oczywiście o tym nie wiedziały. Gdyby podarunki wyszły na jaw, ukarano by nas wszystkich. Na stanowisku, jakie zajmowałam, byłam poniekąd chroniona. Nie wolno było mnie bić. Byłam kontrolerką.

Niektórzy Niemcy również byli mili, współczuli nam i dobrze nas traktowali. W noc sylwestrową z 1944 na 1945 rok zabrali mnie do kancelarii dyrektora oddziału, postawili butelkę wina i chcieli mnie poczęstować. Byłam nieśmiała, obawiałam się skorzystać z poczęstunku. Ale to było miłe z ich strony.

W Altenburgu mogłam korzystać z waszraumów, kąpać się, prać sukienkę, tę samą zresztą, którą dostałam w Ravensbrück. Dopiero później dali mi normalny, cywilny strój. Wszystkie je dostałyśmy. Każde z ubrań było jednak naznaczone – na plecach naszyty był albo kawałek łaty, albo sztrafja<sup>44</sup>; byłyśmy więźniarkami, nie mogło być inaczej. Z czasem otrzymaliśmy również całkiem wygodne wojskowe buty.

Na terenie obozu znajdował się basen przeciwpożarowy i pozwolono nam się w nim kąpać. W hali, gdzie spałyśmy, było ciepło. Warunki nie były najgorsze, z pewnością lepsze niż w Oświęcimiu. To był obóz pracy, nie załoga. Spędziłam tu długi okres. Minęło Boże Narodzenie, Wielkanoc i nastąpił kwiecień 1945 roku, zbliżał się front.

## Bombardowanie

Kiedy zbombardowano Lipsk, ucierpiała także fabryka amunicji, w której pracowałam. Wiele więźniarek zostało uwięzionych wewnątrz i uduślo się lub zostało stratowanych przez ludzi uciekających do schronów. Mnie uratowało tylko to, że mocno trzymałam się poręczy i nie dałam się zepchnąć ze schodów. Inaczej skończyłabym jak te nieszczęśliwiczki.

Niedługo potem ustawiono nas piątkami i wypędzono z obozu. Bardzo bałyśmy się, że zostaniemy rozstrzelane. Pod nadzorem esesmanów głodne

<sup>44</sup> Z niem. *Striefen* – tu oznacza pasy szerokości 3–4 cm, wymalowane czerwoną farbą, tworzące krzyże na plecach; oznaczenie umieszczane na cywilnych ubraniach wydawanych więźniom.

Wycieńczone szłyśmy całą noc przez pola i lasy. Dookoła paliły się drzewa. Wyglądało to bardzo złowieszczo. Rano zatrzymaliśmy się na łące, żeby odpocząć. Ale coś mógł dać nam odpoczynek, skoro nie miałyśmy niczego do jedzenia? Tułaczka trwała kilka dni, a podczas ciężkiej podróży towarzyszyły nam niepokój i niepewność. Kobiety, które z wycieńczenia zostawały w tyle, były dobijane. Mimo braku sił, na przekór wszystkim, szłam i modliłam się, żeby przetrwać ten koszmar.

Wreszcie dotarliśmy do jakiejś miejscowości. Dookoła było widać lasy i góry.

Zaprowadzono nas do szkoły. Tam dostałyśmy po kawałku chleba, karbule, kubek mleka. Znów ruszyłyśmy w drogę. Nikt nie baczył na to, że ze zmęczenia kobiety padają jak muchy. To było okropne. Ale komu miało załżeć, jeśli nie nam samym? Z pewnością nie niemieckim esesmanom. Gdybyśmy poumierały, byłoby im to na rękę.

Któregoś dnia znalazłyśmy sterty wykopanych, surowych warzyw: ziemniaków i buraków. Nie przejmując się konsekwencjami, rzuciłyśmy się wygłodniałe na znalezisko. Byłyśmy bardzo szczęśliwe, zabierając ze sobą jedzenie. Garstką więźniarek dotarliśmy w końcu do Zwickau<sup>45</sup>. Dobrze zapamiętałam tę nazwę. Szef razem z postami i resztą władz oddalili się gdzieś, zupełnie się nami nie przejmując. Gdzie mamy spać? Co zjeść? Nikt się nie interesował.

Zebrałyśmy się w pięć dziewczyn, by poszukać noclegu (większą grupą byłoby najbezpieczniej, ale trudniej znaleźć miejsce do spania). Bardzo potrzebowałyśmy snu, żeby kolejnego dnia iść dalej. Kiedy dotarliśmy do jednego z domów, zapukaliśmy, a drzwi otworzył młody chłopiec w mundurku Hitlerjugend. Można się było tego spodziewać – odmówił i krzyczał, że potraży nas psami. Od razu poznał, że jesteście więźniarkami. Podałyśmy się. Usiadłyśmy w przydrożnym rowie, tam postanowiłyśmy spędzić noc. Nagle zobaczyłyśmy jednak samochód jadący w naszą stronę, a w nim więźniarki i komendanta naszego obozu. Zatrzymał się i kazał wsiadać do środka. Wywiózł nas do szkoły wypełnionej niemiecką amunicją. Jedyne, co wtedy przyszło mi do głowy, to myśl, że wysadzą nas w powietrze razem z tą szkołą. Ale czy miałam inne wyjście? Oczywiście, że nie. Jeśli wejście do środka oznaczało śmierć, to ucieczka była dokładnie tym samym. Nie było sensu się przeciwstawiać. Przenocowaliśmy tam wszyscy. Na szczęście nikomu nie się nie stało.

<sup>45</sup> Zwickau – miasto we wschodniej części Niemiec, w Saksonii.

Nad ranem ruszyliśmy dalej, aż dotarliśmy do wielkiej autostrady. Uprzedziliśmy na niej mnóstwo niemieckich samochodów jadących na zachód. Komendant i reszta władz byłego obozu pozrywali wszystkie swoje dystynkcyjne mundurowe i wyrzucili je do rowu. Zastanawiałam się, co się dzieje. Nagle z lasu wylonili się wielkie amerykańskie czołgi i wszystko stało się jasne.

Niemcy rozpoczęli strzelaninę, która trwała pół godziny. Chociaż strzelona uciekałam w konopie, które rosły nieopodal.

Wreszcie widok, o którym wszyscy marzyli od lat! Nie mogłam w to uwierzyć. Białe flagi wystawione przez Niemców. Pamiętam tę sytuację do dzisiaj jakby w spowolnionym tempie. Dookoła pełno krwi, ciała zabitych koleżanek i kolegów, uciekający Niemcy, ogromne czołgi. A pomiędzy tym wszystkim wolności jak świeżego chleba, jak spotkania z rodziną, a kiedy wreszcie do mnie przyszła, byłam w szoku i nie wiedziałam, co z nią zrobić.

Żołnierze podchodzili i pytali, kim jesteście. Kiedy powiedziałyśmy, że idziemy z obozu, dali nam wielkie i ciężkie paczki jedzenia. Tak ciężkie, że sama nie mogłam ich unieść. Musiały mi pomóc inne kobiety. Nagle Niemcy wyszli na szosę z kubkami wody. Teraz, kiedy nadeszła wolność. A jeszcze dzień wcześniej żałowali nam każdego łyka i traktowali jak najgorszych zbrodniarzy.

Na szczęście nic mi się nie stało podczas strzelaniny. Niektóre koleżanki zostały postrzelone, jednej z nich urwało rękę. Żołnierze zabrali nas do szpitali i nakazali się nami zająć.

## Długa droga do domu

Dwa dni przed ogłoszeniem kapitulacji Niemiec przeniesiono nas ze szpitala do teatru. Tam spałyśmy w oczekiwaniu na transport do Polski. Miałyśmy możliwość umycia się, a z magazynów przyniesiono nam świeże ubrania. Właściciel teatru był poruszony naszym losem. Zadał o to, by niczego nam nie brakowało. Po długim okresie niewoli, traktowania nas jak ludzi gorszej kategorii, czyjaś troska była nieoceniona. Szybko jednak wystąpiły kolejne problemy. Okazało się, że władze miasta nie są w stanie zagwarantować nam przejazdu do Polski, w związku z tym komendant miasta kazał nam prze-

Wojciech i synkiem w Sulejowie w ogrodzie. Autor: Janusz Marcianny Leskiej. Fot. Archiwum rodzinne



jechać się do obozów zakładanych na Zachodzie i tam czekać, aż coś zmieni się w tej kwestii. Nie chcieliśmy się zgodzić na przejście do tych obozów. Podjęliśmy z dziewczynkami decyzję, że do Polski wracamy na własną rękę. Wtedy komendant odwiózł nas na najbliższą stację kolejową.

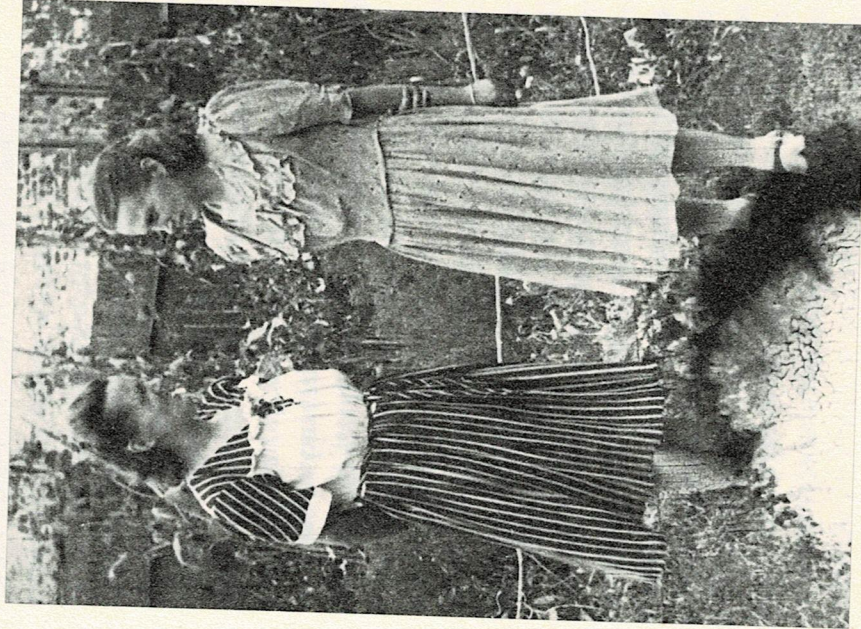
Pociągami towarowym pojechaliśmy w stronę Lipska, gdzie roilo się od niemieckich żołnierzy. Bałyśmy się ich okropnie! Nie mieliśmy ze sobą nic do jedzenia, a transportu do Polski nadal nikt nie przewidywał. Przypadkowo dowiedzieliśmy się od zawiadowcy stacji, miłego człowieka, że za jakiś czas wyrusza pociąg towarowy do Rawicza. Musiałyśmy na niego czekać bardzo długo, a sama podróż była ciężka i niewygodna. Składem przewożono żelazo i metalowe rury. Pociąg często się zatrzymywał i długo stał na stacjach. Wtedy biegaliśmy do okolicznych gospodarstw opuszczonych przez Niemców i szukałyśmy pożywienia. Najczęściej udawało nam się coś znaleźć.

Długa droga do domu w strachu, ale jednak na wolności, przywoływała wspomnienie podróży do obozu. Myślałam o tym, jak w dniu wywózki wyprowadzili wszystkich przed więzienie, spisali, sznurkami zawiązali ręce i ustawili piątkami, prowadząc w stronę dworca, na rampę towarową. Dostrzegłam w tłumie Stefana Krupę, znajomego taty. Był zagubiony, zdezorientowany jak większość więźniów. Dookoła panował chaos, przeczuwałam, że dzieje się coś niedobrego.

Kobiety szły pierwsze, a mężczyźni za nami. Długo czekałyśmy na pociąg. Wiedziałam o tym, bo z więzienia wyszliśmy rankiem, a w godzinach obiadowych ciągle stałyśmy na dworcu.

Kiedy przyjechał skład z Radomia, kazali nam do niego wsiąść. To nie było proste, bo wagony były wysokie, a my ciągle miałyśmy związane ręce z tyłu. Staraliśmy się pomagać sobie wzajemnie. Przewracałam się i podnosiłam, poranione kolana niektórych z kobiet krwawiły. Kiedy wreszcie udało się wejść do środka, okazało się, że w wagonie są mężczyźni i znów trzeba było wysiadać. To było żenujące.

Ciasnota i upał towarzyszyły nam przez całą podróż do Auschwitz. Kobiety stały jedna obok drugiej, bez możliwości spoczynku. Żadna się nie odzywała. Złowrogą ciszę rozpraszał tylko stukot pędzącego po szynach pociągu. Gdzieś poza nim był spokój, była wolność. Ptaki latały po niebie, drzewa kołysały się na wietrze, a my... ku czemu zmierzaliśmy? Kto pomyślałby, że wiele z nas jechało ku śmierci?



Sabina Nawara z siostrą  
Leokadią u swojej mamy  
w Sulejowie, 1950 rok.  
Fot. Archiwum rodzinne

Teraz koleżanki opowiadają, że nie raz, nie dwa do Oświęcimia docierały wagony pełne uduszonych ludzi. Wcale się nie dziwię. Nasz wagon był przepelniony, mogliśmy skończyć dokładnie tak samo. Pilnowało nas dwóch gestapowców z nabitymi karabinami. Nawet im ciężko było wytrzymać w tej duchocie, bo uchylali drzwi, aby wpuścić choć trochę świeżego powietrza. Może tylko dlatego się nie podusiłyśmy!

Miałam wrażenie, że w Częstochowie, gdzie zatrzymaliśmy się na chwilę, kolejni więźniowie wchodzili do pociągu. Nocą staliśmy długo w polu. Prawdopodobnie dlatego, że ktoś uciekł z ostatnich wagonów, gdzie przebywali mężczyźni. Słysząc było strzały, ale nie wiem, czy złapali tę osobę, czy kogoś zabili.

W drodze powrotnej było jednak inaczej. Nikt nie stał nad moją głową z karabinem. Już nie bałam się, że ktoś mnie uderzy, upokorzy. Wracałam do domu.

Kiedy po kilku dniach dotarliśmy do Rawicza, udało się się do siedziby Czerwonego Krzyża. Tam dostałam zaświadczenie, że wracam z obozu. Przyjęto nas godnie, pozwolono przenocować, nakarmiono, a także poinformowano, że najajutrz odjedź za pociąg do Częstochowy. Rozdzieliliśmy się z dziewczynkami. W oczekiwaniu na podróż spałam na dworcu. Nikt się tym nie przejmował, w końcu wtedy było tylu uciekinierów. Wreszcie, gdy nadjechał pociąg, wsiadłam do składu do Kuluszek. Był tak przepelniony, że ludzie siedzieli na dachach, stali na stopniach. Wracałam do domu na schodkach pociągu, trzymając się drzwi. Czy się bałam? Przeżyłam obóz zagłady, więc takie przygody wydawały się niczym.

Gdy ludzie powychodzili na kolejnych stacjach, zrobiło się luźniej, a ja mogłam wejść do wagonu. Do Piotrkowa dojechałam późną nocą. Kiedy wysiadłam, obowiązywała już godzina policyjna. Zostałam zatrzymana przez patrol. Naraz zbiegło się wielu ludzi, którzy wypytywali mnie o obóz, o swoich znajomych, czy ich widziałam, czy żyją. Częstowali mnie tytoniem, a ja pragnęłam czegoś do jedzenia.

Z samego rana milicjant odprowadził mnie do domu. Nie byłam pewna, czy w ogóle zastanę kogoś z rodziny. Czy ktoś tam jeszcze mieszka?

## Dzban z mlekiem

Było zbyt wcześnie. Nie chciałam nikogo budzić, usiadłam więc na schodkach przed domem i czekałam. Nierealne wydawało mi się, że jeszcze kilka dni temu byłam w niemieckiej niewoli. Kilka miesięcy temu walczyłam



Sabina Nawara z synami Mietkiem (po prawej) i Irkiem w parku w Piotrkowie Trybunalskim, 1951 rok. Fot. Archiwum rodzinne

o przetrwanie w obozie zagłady bez szans na przeżycie, a dziś... siedzę na schodach swojego domu. Wolna.

Z zamyślenia wyrwała mnie kobieta, która niosła mleko. Spojrzałam na nią i spytałam, czy tu nadal mieszka rodzina Leskich. Potwierdziła. Mleko, które niosła, było właśnie dla Leskich. Ucieszyłam się ogromnie!

Kobieta zapukała, a drzwi otworzyła moja stryjenka. Nie zauważyła mnie od razu. Wzięła mleko, a później spojrzała w moją stronę. Zdołała powiedzieć tylko „Sabinka!” i razem z mlekiem huknęła na ziemię. Do drzwi

...stryjek, brat ojca. Oniemiał, kiedy mnie zobaczył. Bardzo ucieszył się z mojego widoku.

...stryjenka doszła do siebie, troskliwie się mną zajęła. Wszystkie sprawy od razu wrzuciła do pieca. Bała się, że mam wsty. A na pewno jej matka Kazala mi się umyć, dała jeść. Byłam szczęśliwa.

## „Wzrostek”

...powrót do domu był czymś w rodzaju odrodzenia. Chciałam wymazać z pamięci ostatnie lata życia, zapomnieć o tych okropnościach, które mnie spotkały i które widziałam. Jednak kiedy zajrzy się śmierci w oczy, nie da się tego po prostu zapomnieć.

Nie umiem opisać słowami radości i ulgi, jaką poczułam, gdy wróciłam do rodziców. Mój tata był burmistrzem miasta. Pomagał wielu osobom, znając i przydzielał im mieszkania. Kiedy stryjek zaproponował, że pojedzie z tatą do Sulejowa, ucieszyłam się. Tęskniłam za nim. Udał się więc do dworca, ale już na peronie stryj zauważył ojca idącego w naszą stronę. Wstałam się za wujkiem, chciałam zrobić tacie niespodziankę. Z rozmowy wynikało, że ojciec idzie do starostwa. Stryj oznajmił, że zamierzał do niego pojechać, ale w takim razie zrezygnuje z podróży. Wtedy ja wyszłam zza pleców sstryja. Tata pobladł i się rozpłakał. Winił się za to, że trafiłam do obozu przez jego działania konspiracyjne i że mnie w nie wciągnął. Nie postrzegłam tego w ten sposób. Byłam dumna, że mogłam zrobić coś pożytecznego dla Polski.

Owszem, w działaniu konspiracyjnym ojciec angażował się intensywnie. Wyzalałam przed aresztowaniem, jak rozmawiał z mężczyznami o konieczności pozyskania broni. Nawiązali kontakt z Londynem. To stamtąd mieli oczekiwać przrutu niezbędnych materiałów, pistoletów i amunicji dla partyzantów. Pierwszy przrut nie doszedł do skutku. Dopiero w marcu 1943 roku, na dworze Bratków koło Niewierszyna, wszystko odbyło się po myśli partyzantów. My, młodsi, z polecenia taty mieliśmy oczekiwać w domu na skoczniakach. I rzeczywiście, jeden z nich przyszedł tego dnia wcześniej rano.

– Przychodzę od Zająca – powiedział.

– Od Zbigniewa czy Zygmunta? – odparła moja siostra, uprzedzona wcześniej, jakie hasło pozwoli nam się zorientować, że to nie wróg, a przyjaciel.

– Od Zygmunta – odpowiedział mężczyzna, a my upewniliśmy się, że to człowiek, o którym mówił ojciec. Nie przedstawił się z nazwiska. W tamtych czasach lepiej było nie wiedzieć wiele. Później dotarł drugi skoczek,

## Nie żałuję

czekał mnie taki, a nie inny los. O niektórych rzeczach będę pamiętać do końca życia. Nie da się ich wymazać. Wracają same. Nieproszone.

Przez cały ten czas, będąc najpierw w więzieniu w Piotrkowie, potem w obozie, a także po zakończeniu wojny powtarzałam, że aby móc spojrzeć sobie w oczy, nie mogłam żyć inaczej. Nie żałuję więc, że byłam łączniczką między wojskowymi organizacjami i oddziałami partyzanckimi. Nie żałuję tych dni, kiedy przewoziłam na rowerze pliki tajnych dokumentów. Nie wiem, gdzie, co w nich jest, znałam tylko nazwisko albo pseudonim osoby, do której miałam je dowieźć. Najczęściej jeździłam do Niewierszyna czy Władawowa. Wówczas papiery nosiłam w codziennej torbie, by nie zwrócić na siebie uwagi.

Zdarzyło się jednak, że żandarmeria robiła obławę między Piotrkowem a Sulejowem i złapała jadących na rowerach członków konspiracji, którzy nas znaleźli i współpracowali z ojcem. Dwóch pierwszych wypuścili, aresztowali Antoniego Leśniaka, bo zaczął strzelać do nich z broni, którą miał przy sobie. Ojcu od razu dano znać, że Leśniak został pojmany. Baliśmy się, bo mógł nas wydać.



Sabina Nawara z synkiem Sławomirem u swojej mamy w Sulejowie, 1955 rok.  
Fot. Archiwum rodzinne

którego nazwiska również nie znam, a trzeci, którego nazywali Odrową, zabił się podczas zrzutu. Pochowano go gdzieś we wsi. Amunicję rozprorzono kolejno po oddziałach partyzanckich.

To wszystko było już dla mnie wspomnieniem. Stałam umęczona, ale wolna, trzymając tatę za rękę. Poszliśmy do starostwa, by wszyscy mogli zobaczyć córkę Jana Leskiego, „Dziadka”, bo taki mój ojciec miał pseudonim. Następnie wspólnie wróciliśmy do Sulejowa.

Mamę z Ravensbrück wywieziono do Szwecji na leczenie. Do domu wróciła dopiero pod koniec października 1945 roku.

Siostry także przeżyły wojnę. Ich życia potoczyły się mniej lub bardziej szczęśliwie, ale ostatecznie każda z nich wróciła do domu. Mogę powiedzieć, że wszystko skończyło się dobrze.

Pracowałam w Piotrkowie w starostwie. Szczęśliwie wyszłam za mąż i urodziłam trzech synów. Później podjęłam pracę w Przedsiębiorstwie Robotników Kolejowych.



Siostry Leskie. Od lewej: Sabina, Teresa i Leokadia, Sulejów, około 1975 roku.  
Fot. Archiwum rodzinne

jego domu. Szukali mnie i taty. Ale w domu były tylko moje siostry. Tak znajomy poinformował mnie, że jesteśmy poszukiwani, pobiegłam szybko do tartaku, gdzie pracował ojciec. Nie zdążyłam jednak go ostrzec, bo gestapowców znalazły mnie pierwsze. Kryjówka za płotem mnie nie osłoniła.

- Gdzie twój ojciec? - pytali Niemcy.

- Nie wiem. Jeszcze się z nim nie widziałam. Przyszłam po pieniądze dla szewca. Idę właśnie po buty - odpartam.

Moje kłamstwa nie zdały się na nic. Aresztowali mnie i pana Józefa Kabzińskiego, pracownika tartaku, który skrył się w trocinach. Zawieźli nas do aresztu przy magistracie w Sulejowie. Kabzińskiego tak skatowali, że miał potłuczoną całą twarz. Tak bardzo spuchł, że nic nie widział.



Sabina Nawara z synami, od lewej: Sławomirem, Mieczysławem i Ireneuszem, Wigilia 2014 roku. Fot. Archiwum rodzinne



Pani Sabina w Auschwitz, w rocznicę wyzwolenia obozu, widoczny mur bloku 25, 2010 rok. Fot. Archiwum rodzinne

13 marca przewieźli nas do Piotrkowa. Gestapowcy ciągle nachodzili na dom. Znaleźli broń – wydał nas Leśniak. Ale taty nie znaleźli. Byli mnie grubymi pasami, wieszali nogami do góry, katowali. Trwało to dziesięć dni. Nigdy dotąd nie myślałam nawet, że można tak cierpieć! Musieli wymusić na mnie wydanie innych konspirantów. Pytali o nazwiska, organizacje. Mogłam powiedzieć o Szmidcie, Rajkowskim czy o doktorze Kaspitakim, którzy razem z ojcem działali w konspiracji. Ale nie powiedziałam im niczego. Gdyby trafiło na kogoś innego, może posypałyby się informacje. A ja byłam dzielna, dumna! I nie żałuję tego. Miałam wtedy pięćdziesiąt lat. Brałam przykład z taty, szefa organizacji partyzanckiej. Kiedy mnie aresztowano, posłużono się mamą jako przynętą. Tata jedynak czepał zmieniał kryjówki i nie mogli go znaleźć. Mamę ostatecznie wywieźli do Ravensbrück. Dzięki ostrzeżeniu pewnego Niemca siostry nie trafiły do obozu. Kto wie, jak potoczyłyby się ich losy, gdyby one również wylądowały w Auschwitz.

Nie żałuję swoich decyzji. Żal mi tylko straconych lat życia w niemieckim obozie zagłady, rozłąki z rodziną i śmierci tylu istnień ludzkich.



Sabina Nawara, 2014 rok. Fot. Archiwum rodzinne

Numer obozowy nie został nadany

ZOFIA WARELUK z domu Chyłkiewicz

Urodzona: 13 stycznia 1945 roku w Auschwitz



Zosia w wieku 3,5 roku, Warszawa. Fot. Archiwum rodzinne

*Mama nigdy nie chciała rozmawiać o Auschwitz.  
Wyparła to wydarzenie z pamięci. – Nie ma o czym mówić.  
Było, minęło i trzeba żyć dalej – mawiała.*

## ZOFIA WARELUK

### Urodzona w Auschwitz

Swoją smutną historię opowiada na podstawie wspomnień matki. Przedstawia dokumenty i relacje odnalezioną po latach pielęgniarce, która pomagała przy jej porodzie. Powołuje się na raport Stanisławy Leszczyńskiej, która odbierała poród i uratowała też wiele innych dzieci urodzonych w obozie. Opowiada, jak Auschwitz wpłynęło na jej życie.



Apolonia Dolińska z domu Zawadzka (pielęgniarka dyplomowana), była więźnią polityczny obozu koncentracyjnego KL Auschwitz-Birkenau nr 41. Zaświadcza, że w dniu 13 stycznia 1945 roku w tymże obozie urodziła się córka Jadwiga Chylkiewicz urodziła dziecko. Dziewczynkę.

Fragm. oświadczenia Apolonii Dolińskiej, pielęgniarki dyplomowanej, nr obozowy 83703, Warszawa, 21.05.1960  
Z rodzinnego archiwum pani Zofii Narutowicz

Apolonia Dolińska, pielęgniarka z Auschwitz, która towarzyszyła swoim rodzicom, mówiła, że ważyłam tysiąc gramów. Mama jednak utwierdziła mnie w przekonaniu, że wyglądałam na tysiąc pięćset gramów, ale wagi, na której można by było to sprawdzić, w obozie brakowało.

Mama bardzo pragnęła, abym urodziła się zdrowa. Za życie swojego dziecka oddałaby wszystko, a miała podstawy, by bać się o mój los. Jako ciężarna w obozie zagłady widziała, co Niemcy robią z dziećmi narodzonymi i ich matkami. Zabijanie było tam rzeczą naturalną. Mało tego, na noworodkach przeprowadzane były nieludzkie eksperymenty. Spoglądała w oczy



Rodzice Zofii. Ślub odbył się w kościele św. Jakuba przy pl. Narutowicza w Warszawie.  
Fot. Archiwum rodzinne

...spodziewających się dziecka, oddzielonych od mężów. Pozostawiono ich na pastwę losu. Ją spotkało to samo.

Mamę, Jadwigę, w czwartym miesiącu ciąży, razem z moim tatą, Stanisławem Chylkiewiczem, i pozostałą częścią rodziny Niemcy zniewolili 14 sierpnia 1944 roku podczas Powstania Warszawskiego. Zaprowadzili ich do Żelaziak na Ochocie, a później wagonami bydłocymi wywieźli do Oświęcimia. Z „przystankiem” w Pruszkowie.

– Wolałbym mieć trzynaście córek zamiast jednego syna – mówił tata, smutek w głosie. Sądzę, że mówił w ten sposób, bo zwyczajnie nie chciał się, że spodziewają się z mamą dziecka. Płeć nie była dla niego ważna.

Jak mama zniosła rozłąkę z ojcem? Nie wiem. Nie chciała mi o tym powiadać.

– Nie ma o czym mówić. Było, minęło i trzeba żyć dalej – mawiała. Ale w rzeczywistości ciągle o tym myślała. Ci, którzy byli w obozie, wiedzą, że nie da się zapomnieć. Nie można wymazać z pamięci okropieństw wojny, która dotknęła ludzi, rzucając niewidzialne przekleństwo na całe rodziny.

Gdy dotarliśmy do obozu, mama nie otrzymała numeru, ojcu natomiast nadali obozowy numer. Był w Oświęcimiu tylko trzy tygodnie. Później wyjechali go do Natzweiler-Struthof, a stamtąd do Dachau. Po czym kontakt z nim się urwał. Zdana tylko na siebie, mama musiała dbać o nas dwie. Liczyła na to, że przeżyjemy i że po zakończeniu wojny spotkamy się z tatą. Wiedziała, że spoczywa na niej ogromna odpowiedzialność za złączenie rodziny po wojnie.

## Jedno ciało

Niemcy nie oszczędzali kobiet w ciąży. Oddzielili je od więźniarek pracujących, ale każdego dnia wzywali na poranny apel niezależnie od tego, czy było ciepło, czy wiał mroźny wiatr. Kusa sukienka w pasy nie ogrzewała, nie chroniła przed zimą. Kiedy mama naciągała ją na zmarznięte ramiona, odkrywała kręgosłup. Choroba w takim miejscu mogłaby nas zabić. Byliśmy ciągle jednym ciałem. Myślę czasami, jak niezwykła była miłość w miejscu, gdzie śmierć jest codziennością. Matczyna miłość nie zna granic. Ma siłę i wiarę w życie, o czym przekonałam się dopiero, kiedy sama urodziłam.

Jeśli tylko mama mogła, to oszczędzała się, by jak najmniej obciążać organizm. Głód był w obozie naturalnym zjawiskiem. Znikome racje żywnościowe dostawali zarówno pracujący więźniowie, jak i dzieci oraz kobiety



w ciąży. Zdobyć dodatkowej porcji jedzenia czy wody do picia było nielada wyzwaniem i często stwarzało niebezpieczeństwo. Łamanie zasad obywatelskich mogło skończyć się karą śmierci. Mama, chcąc dbać o mnie, małą córeczkę będącą jeszcze pod jej sercem, wiele ryzykowała, starając się dobrać do odpowiednich osób, które mogły poradzić dodatkową kromkę chleba czy kubkiem mleka.

Dziś nie jest tajemnicą, że warunki sanitarne w obozie były potwornie złe. Brak wody i ubikacji powodował wielkie problemy wśród więźniów. Wywołany chorobą zakaźną i potęgował rozprzestrzenianie się wszy. Pamiętam ją po kryjomu zorganizować, co było niemożliwym wyczynem! Nie dość, że woda była czysta, to jeszcze wrząca! Mama mogła się jej napić, mogła się nią rozgrzać albo obmyć. Spieszyła się, bo zawył alarm. Bała się, że ktoś zauważy. Niestety, idąc w pośpiechu w trepach po błocie, potknęła się i rozlała wodę, przybyła więźniarka, która wyleczyła oparzenia tranem.



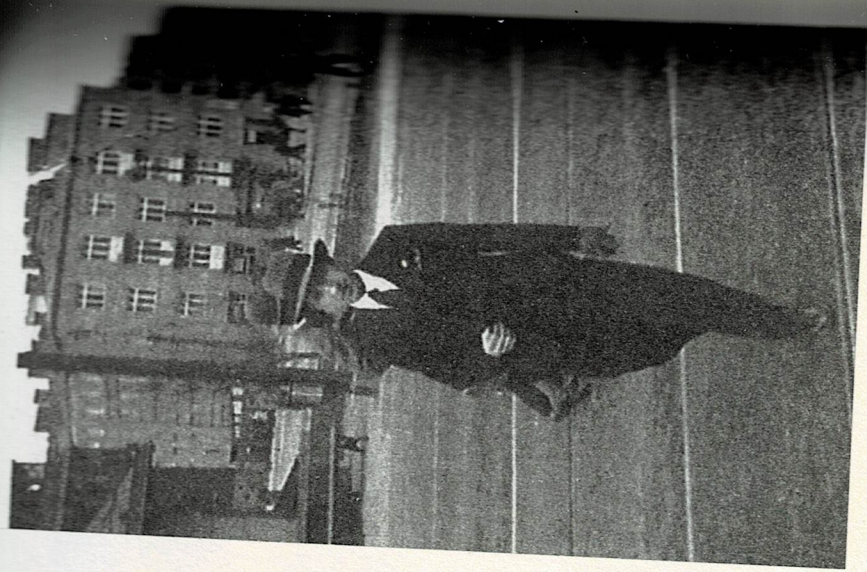
Mama wiedziała, że to wszystko, co dzieje się dookoła – brak podstawowych warunków do życia i ciągły stres – może doprowadzić do najgorszego. Jednak 13 stycznia 1945 roku na lagrze cygańskim przyszedł na świat.

*Urodzone dziecko ważyło (na oko – brak wagi) około 900–1000 gram. Bardzo chude, wyniszczone, wygląd starczy. Cała skóra pomarszczona. Nie była w stanie wydobywać z siebie głosu (krzyk dziecka). Słysząc było tylko kwilenie.*

Fragm. oświadczenia Apolonii Dolińskiej, pielęgniarki dyplomowanej, nr obozowy 83703, Warszawa, 21.05.2007.

Z rodzinnego archiwum pani Zofii Wareluk

Co czuje kobieta po urodzeniu dziecka? Kiedy troskliwie tuli do swego serca małą kruszynę, ciesząc się, że małeństwo przyszło na świat żywe. Mówi się, że nie można słowami opisać tej radości i miłości rozpierającej człowieka, że to trzeba przeżyć. A dziecko? Nie wiedząc, nie rozumiejąc, co dzieje się



## Nie, nigdy! Nie wolno zabijać dzieci”

Wojnę wśród odbierała Stanisława Leszczyńska<sup>46</sup>. Wspaniała, wielka kobieta, która sprzeciwiła się doktorowi Mengele. Gdy ten rozkazał jej uśmiercać noworodki, które nie były pochodzenia niemieckiego, wypowiedziała słynne słowa: „Nie, nigdy! Nie wolno zabijać dzieci”.

Pani Stanisława skutecznie i bez większych komplikacji odebrała ponad trzy tysiące porodów. Byłam jednym z tych dzieci, które przyjęła na świat. Jestem może śmiało stwierdzić, że jej pielęgniarstwa i położnicza służba w obozie była cudem. Wszystko, co robiła, wykonywała z sercem i troską o dobro człowieka. A warunki pracy, jak sama wspominała, były dramatyczne. W baraku, gdzie na nieużywanych piecu odbierane były porody (tak zwana sala położnicza), zimą u sufitu wisiały sople lodu. Nie brakowało szczerów i śniegu<sup>47</sup>. Pisała o tym między innymi Apolonia Dolńska.

*Warunki, w jakich rodzili, trudno dziś sobie wyobrazić. Na koi bród, brak wody, słoma, na której leżała zakrwawiona itp. Druga więźniarka, narażając swoje życie, zorganizowała trochę mleka dla matki. Bałam się, że mogą przyjąć Niemcy i zabrać ją. W obozie byłam świadkiem takiego niejednego porodu. Matkę zabrano od razu do innego bloku. A dziecko zabrali.*

Fragm. oświadczenia Apolonii Dolńskiej, pielęgniarki dyplomowanej, nr obozowy 83703, Warszawa, 21.05.2007.

Z rodzinnego archiwum pani Zofii Wareluk

wokół, szuka jedynie ciepła i bezpieczeństwa w ramionach matki. Ale to był Oświęcim. Tu w żadnym wypadku nie było ciepło ani bezpiecznie. Nawet ramiona matki wydawały się bardzo odległe od choćby załączków spokoju i stabilizacji. W każdej chwili mógł przecieć przyjąć Mengele i wydać wyrok: „Tę, tę, tę też! I tamtą!”.

Później maluch szuka pokarmu. Ale wygłodzone matki najczęściej nie miały go w piersiach. W obozie też nie było mleka. Czasami kobiety, które rodziły dzieci w tak nieludzkich warunkach, dostawały zakazań i z braku leków umierały. Wtedy te, którym udało się wygrać kolejną bitwę, dokarmiały swoim lub zdobytym pokarmem osierocone noworodki. Nieczęsto było to jednak możliwe, bo nawet dla pierwotnych brakowało jedzenia.

Czy kobieta rodząca w Auschwitz może więc czuć radość z narodzin dziecka? Odpowiedź kryje się w tym samym, co poprzednio, stwierdzeniu: aby zrozumieć, co się czuje i myśli w takiej chwili, trzeba to przeżyć.

Stanisława Leszczyńska także wspomina wielkie tragedie matek oddzielonych od dzieci, którym odbierano życie, topiąc je w beczkach. Trwało to do maja 1943 roku. Za procederem stały *Schwester Klara* – położna, która trafiła do obozu za dzieciobójstwo, oraz jej siostra – ulicznica niemiecka, *Schwester Pfani*. Pamiętam, jak mama opowiadała mi później również o Romie. Niektórzy twierdzili, że ta kobieta, opiekująca się dziećmi na bloku dla

<sup>46</sup> Stanisława Leszczyńska (1896–1974) – jako więźniarka nr 41335 była położną w obozie koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau. Funkcję tę pełniła aż do momentu wyswobodzenia obozu przez Armię Czerwoną (27 stycznia 1945 r.). Na tym stanowisku, sprzeciwiając się wyrażnym rozkazom władz obozowych, przyjęła ok. 3 tys. porodów. Swoje przeżycia z obozu opisała w pracy *Raport położnej z Oświęcimia*. Pierwsze wydanie wspomnień miało miejsce w „Przełądzie Lekarskim” w 1965 roku. Uznana za Polską Służebnicę Bożą, wobec której rozpoznał się proces beatyfikacyjny.

<sup>47</sup> Por. *Raport Położnej z Oświęcimia* [w:] *Wspomnienia*, t. 10, Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau, s. 1–3.



ciężarnych i matek z noworodkami, była dobra. Mama jednak zapamiętała ją jako złą, wręcz brutalną więźniarkę, która traktowała innych z okrucieństwem i pogardą. Po wojnie zobaczyłam ją na jednym ze spotkań byłych więźniów Auschwitz<sup>48</sup>.

Organizowanie jedzenia dla kobiet po porodzie i ich dzieci było niezwykle trudne. Jeszcze jako ciężarna mama dostawała porcję mleka rozcieńzonego wodą. Nie najadała się nim i ciągle doskwierał jej głód. W końcu umówiła się ze starszymi kobietami, że będzie oddawała im rozcieńczone mleko, które wolały pić, bo w wielu przypadkach nie miały zębów, a one w zamian dawały jej chleb. Po porodzie część chleba mama musiała wymienić na kawałek prześcieradła, z którego mogła zrobić pieluszkę.

Jako noworodek nie wiedziałam, czym jest smoczek, poduszka, na której miękko można ułożyć dziecko do snu, czy wózek. W Auschwitz liczyło się to, by przeżyć. Wszelkie dogodności, niby podstawowe rzeczy, a w obozie luksusy w ogóle nie miały znaczenia.

<sup>48</sup> Tamże, s. 1–3.

## Przerażający płacz matek

Bydy poproszono Leszczyńską o raport na temat śmiertelności matek i dzieci po porodzie, odpowiedziała, że nie zdarzył się jej ani jeden taki przypadek. *Przebieg*<sup>49</sup> nie mógł w to uwierzyć. Podziw mieszał się z nienawiścią. Przebieg w obozie chodziło o to, by zabijać, nie walczyć o życie. Stanisława Leszczyńska lamala wobec tego niemieckie prawo obozowe i wszelkie zasady obowiązujące w KL Auschwitz. Nie miała jednak żadnego wpływu na narodziny dzieci Żydówek, które nawet po maju 1943 roku nieustannie topiono, a ich matulki zwłoki wyrzucano przed blok. Klara i Pfani pilnowały sumiennie, aby żaden żydowski noworodek nie uszedł ich uwadze. W tekstach o Stanisławie Leszczyńskiej można przeczytać, jak bardzo przerażał ją płacz matek, którym zabierano dzieci. Te, które przypominały wyglądem aryjskie, wysyłano do adopcji do Niemiec. Niektóre kobiety nie mogły się z tym pogodzić, inne znosiły to lepiej, tłumacząc sobie, że przynajmniej dzięki temu ich dzieci przeżyją. Jak przyznawała sama Leszczyńska, w niewidocznym miejscu robila noworodkom niewielki i nierzucający się w oczy tatuaż, który w przyszłości mógł pomóc w odnalezieniu dzieci wywiezionych do adopcji.

## Matka chrzestna z wody

*Ponieważ w obozie był wielki ruch, szykowano nas do ewakuacji. To czym prędzej ochrzciłam to maleństwo z wody. Na drugi dzień dziecko (...) żyło. W parę minut przyszli Niemcy i wyprowadzili nas z tego bloku. Czekałyśmy już na ewakuację. 17 stycznia 1945 roku wyprowadzono nas z obozu. Dalszego losu matki i dziecka nie znałam. Po wojnie w kilkanaście lat później zostałam odszukana przez to właśnie dziecko. Była dobrze poinformowana przez swoją matkę. Przeżyła dzięki wyzwoleniu obozu.*

Fragm. oświadczenia Apolonii Dolinińskiej, pielęgniarki dyplomowanej, nr obozowy 83703, Warszawa, 21.05.2007.  
Z rodzinnego archiwum pani Zofii Wareluk.

Wojska rosyjskie miały lada dzień wyzwolić obóz. Mama wysłała do Niemiec list z nadzieją, że uda jej się skontaktować z ojcem. Napisała, że urodziła córkę Zosię. Martwiła się, bo nie miała żadnych wieści o tacie. Nie otrzymała też odpowiedzi na swoją wiadomość.

<sup>49</sup> Lagerarzt (niem.) – lekarz obozowy.

Imię i nazwisko	Chyćkiewicz
Numer dowodu	571364
Data wydania	10. Juni 1948
Miejsce wydania	Warszawa
Nazwa	Chyćkiewicz
Narodziny	7.4.1916
Miejsce urodzenia	Warschau
Obecny adres	Warschau
Przedmiot	Ważność
Wzrost	170 cm
Waga	60 kg
Barwa włosów	brązowe
Barwa oczu	niebieskie
Barwa skóry	biała
Barwa włosów na głowie	brązowe
Barwa włosów na twarzy	brązowe
Barwa włosów na szyi	brązowe
Barwa włosów na rękach	brązowe
Barwa włosów na nogach	brązowe
Barwa włosów na twarzy	brązowe
Barwa włosów na szyi	brązowe
Barwa włosów na rękach	brązowe
Barwa włosów na nogach	brązowe

Imię i nazwisko	Chyćkiewicz
Numer dowodu	571364
Data wydania	10. Juni 1948
Miejsce wydania	Warszawa
Nazwa	Chyćkiewicz
Narodziny	7.4.1916
Miejsce urodzenia	Warschau
Obecny adres	Warschau
Przedmiot	Ważność
Wzrost	170 cm
Waga	60 kg
Barwa włosów	brązowe
Barwa oczu	niebieskie
Barwa skóry	biała
Barwa włosów na głowie	brązowe
Barwa włosów na twarzy	brązowe
Barwa włosów na szyi	brązowe
Barwa włosów na rękach	brązowe
Barwa włosów na nogach	brązowe

Imię i nazwisko	Chyćkiewicz
Numer dowodu	571364
Data wydania	10. Juni 1948
Miejsce wydania	Warszawa
Nazwa	Chyćkiewicz
Narodziny	7.4.1916
Miejsce urodzenia	Warschau
Obecny adres	Warschau
Przedmiot	Ważność
Wzrost	170 cm
Waga	60 kg
Barwa włosów	brązowe
Barwa oczu	niebieskie
Barwa skóry	biała
Barwa włosów na głowie	brązowe
Barwa włosów na twarzy	brązowe
Barwa włosów na szyi	brązowe
Barwa włosów na rękach	brązowe
Barwa włosów na nogach	brązowe

Kenkarta (dokument tożsamości wydawany obligatoryjnie przez okupacyjne władze niemieckie) ojca Zofii. Fot. Archiwum rodzinne

Przebywając jeszcze w bloku, w którym urodziła, otrzymała wsparcie od pielęgniarki Apolonii Dolińskiej. Ta, martwiąc się o moje życie – a nie myślała o zdrowiu noworodka – ochrzciła mnie „z wody”. Stała się dla mnie matką chrzestną. Z wielką radością odszukałam ją po wojnie, już jako dorosłą dziewczyną. Nasze losy splotyły się w tak drażniący sposób, że aż trudno uwierzyć. Nasze losy splotyły się w tak drażniący sposób, że aż trudno uwierzyć. Nasze losy splotyły się w tak drażniący sposób, że aż trudno uwierzyć.

Tymczasem w obozie, gdzie przybywał mój tata, jedna z grup więźniów już wracała do domu. Namawiali go, aby jechał z nimi. Ci zaś, którzy czekali na drugą turę odjazdów, planowaną na dwa dni później, prosili, aby został. Ojciec – co wiem z opowiadań jego kolegów z obozu – posłuchał tych, którzy zostali. Koledzy zorganizowali wieczorne spotkanie. Mieli dostęp do jedzenia i alkoholu. Opowiadali, że tata był radosny, śpiewał, cieszył się, że wrócił do domu. Miał nadzieję, że jego żona urodziła zdrowe dziecko i że obie żyjemy. Niestety okazało się, że alkohol w części był zatruty. Tata rano się nie obudził. To bardzo przykre. Wolność była już na wyciągnięcie ręki. Wkrótce mógł być w domu i wieść normalne życie. „Trzynastoletni córka zamiast jednego syna” – powtarzał. Pragnął mieć dziecko, ale nie zdążył mnie zobaczyć. Cóż, wiadomo, że tak chciał. Muszę tak myśleć. W innym wypadku serce pęka z poczucia niesprawiedliwości. Ojciec przeżył wojnę, ale nie dotarł do domu.

Wyciąg z metryki urodzonych

Urzędu parafialnego z UŁĘDU PARAFIALNEGO w BRZESZCZACH nad OŚWIĘCIMIEM

W

Matka: *Stawrowa*

Ojciec: *Wojciech*

Chrzestny: *Wojciech*

Chrzestna: *Wojciech*

Chrzest: *13 stycznia 1945*

W oświęcimie

data: *11. 11* 1945r.

Parafia: *Parafia św. Barbary*

Podpis: *[Podpis]*

Podpis: *[Podpis]*

Podpis: *[Podpis]*

Wyciąg z ksiąg z kościoła parafialnego w Brzeszczach, gdzie Zofia była ochrzczona. Fot. Archiwum rodzinne

Do 27 stycznia 1945 roku, dnia wyzwolenia obozu w Oświęcimiu, mama przebywała tam jako więźniarka. Niedługo potem Polski Czerwony Krzyż skierował ją do pewnego małżeństwa w Brzeszczach, które miało się nami zaopiekować i pomóc bezpośrednio po wyjściu z obozu. Kobieta była pielęgniarką, a jej mąż lekarzem.

Mój stan zdrowia nie polepszał się. W obawie, że nie przeżyję drogi do Warszawy, 11 lutego 1945 roku mama ochrzciła mnie w kościele w Brzeszczach. Rodzicami chrzestnymi byli ludzie, u których się zatrzymałyśmy.

## W niepamięci

Kiedy miałam niecałe dziewiętnaście lat, wyszłam za mąż. Podjęłam pracę w aptece, urodziłam dzieci. Spokojnie i szczęśliwie upłynęło kilkadziesiąt lat mojego życia. Dopiero kiedy moje dzieci dorosły, zainteresowałam się



Mała Zosia w wieku 2 lat, Warszawa. Fot. Archiwum rodzinne



tematem obozu w Oświęcimiu. Poznałam wiele pań, które jako małe dziewczynki lub dorosłe kobiety trafiły do Auschwitz i w ten sposób sama, po latach, wybrałam się do miejsca moich narodziń.

Nie powiem, że łatwo mi wracać myślami do wspomnień mojej mamy. Sama jednak nic z tego czasu nie pamiętam. Żyjąc bez obrazów śmierci w głowie, żyje się źle, ale świadomość tego, co miało miejsce tuż obok, zostawia trwały ślad w sercu.

Po wojnie nasza rodzina zubożała. Do domu nie wróciły trzy bardzo bliskie mamie osoby. Trzej mężczyźni, którzy zapewne byłiby bliscy także mnie. Ojciec – zmarł i jest pochowany w Monachium. Wujek – brat mamy, zginął w Dachau. Dziadek – tata mojej mamy, którego także zabrała mi wojna.

Nr obozowy: 13174

WIEŚLAWA GOŁĄBEK z domu **Byczyńska**

Urodzona: 14 lutego 1926 roku w Piotrkowie  
Trybunalskim

Data wywózki do **Auschwitz**: 30 lipca 1942 roku

Obozy koncentracyjne: Auschwitz-Birkenau,  
Haarbrücken, Ravensbrück, Berlin-Köpenick

*Pamiętam stopy trupów.*

## WIEŚLAWA GOŁĄBEK

### Auschwitz pochłonęło moją rodzinę

W obozie przebywała prawie trzy lata. Przez cyniczne żarty esesmana straciła matkę. W tym samym baraku, do którego trafiła Wiesława, znalazła się Seweryna Szmągłowska. Pisarka wspomina szesnastoletnią Wiesię w swojej książce *Dymy nad Birkenau*. Mimo wielu tragicznych sytuacji przetrwała. Była silna psychicznie.



*Wiesia, 1942 rok. Fot. Archiwum rodzinne*

Tortury są niczym w porównaniu z bólem, jaki czuje człowiek po utraceniu kogoś bardzo bliskiego. Kiedy mamy o co walczyć i dla kogo żyć, jesteśmy w stanie znieść o wiele więcej, niż fizyczność na to pozwala. Gdy jednak dopadnie nas rozpacz i tęsknota, przegrywamy. Przekonałam się o tym na własnej skórze.

Po tym, jak gestapowcy nas pojmali, przez pierwszy tydzień siedziałam z mamą Marią i innymi kobietami w więzieniu w Piotrkowie Trybunalskim a dwa ostatnie dni w Radomiu. W tym czasie bili mnie i torturowali. Chcąc wyciągnąć ze mnie jak najwięcej informacji na temat działalności konspiracyjnej. Sama wiele nie wiedziałam. Znałam kilka nazwisk, owszem.

Choćby moja mama. Była konspiratorką. Należała do ZWZ-AK, a w tym czasie mieszkaniu odbywały się tajne zebrania. Byłam z niej dumna. Zostałam prawdziwie priorytetem i przekazywała mi je każdego dnia. Ojczyzna, rodzina – o to należy się troszczyć. Najpierw o ojczyznę, bo bez niej nie ma miejsca dla rodziny. O rodzinę, bo ta jest prawdziwie bliska każdemu z nas. Na rodzinę można liczyć. Pamiętam do dziś, jak bardzo kochali się z tatą. Byli świetnymi partnerami i małżonkami.

Nawet jeśli mama się czegoś bała, nie dawała po sobie tego poznać. Była odważna i dzielna. Jak na prawdziwą kobietę przystało. Do naszego aresztowania doszło dlatego, że naszymi sublokatorami byli w domu cichociemni<sup>50</sup> ze zrzutów z grupy „Michał”. Brakowało nam pieniędzy, aby przeżyć. Za możliwość zatrzymania się u nas mężczyźni zawsze płacili. To bardzo nam pomogło. Mama pozwalała więc mieszkać młodemu chłopakom, konspiratorom podającym się oficjalnie za studentów. Doskonale ich rozumiała. Podzielała ich ideologię i uważała, że o wolność warto walczyć.

Niestety ktoś wydał mężczyzn, którym pomagaliśmy, i tak gestapowcy dotarli do nas. Okazało się, że nasze mieszkanie było pod obserwacją już od dawna. W więzieniu w Piotrkowie Trybunalskim przeprowadzano nam badania i przesłuchiowano nas, egzekwując zeznania w różnorodny, niezwykle bolesny sposób. Byłam tak potłuczona, że nie mogłam usiąść.

Któregoś dnia gestapowcy zabrali mnie z celi, wsadzili do samochodu i wywieźli. Nie wiedziałam, dokąd jadę, nikt nie tłumaczył więźniom, co ich czeka, a oni sami nie mieli prawa zapytać. To zawsze była wielka niewiadoma.

<sup>50</sup> Cichociemni – żołnierze Polskich Sił Zbrojnych desantowani do okupowanej Polski. Ich celem było prowadzenie walki z niemieckim okupantem oraz szkolenie ruchu oporu.

Dokąd zabraliście moją córkę? – Mama starała dowiedzieć się czegoś od jednego ze strażników w więzieniu. Widziała, jak mnie wyprowadzali. Wiedziała, że wtedy naprawdę się bała. Wiedziała, że gestapowcy są zdolni do wszystkiego.

Do domu publicznego! – Niemiec odpowiedział jej z kpina. Matka nie mogła usłyszeć chyba nic gorszego. Podejrzewałam, że śmierć dziecka, choć to niewyobrażalna strata, sprawiłaby jej mniejszy ból niż wieść, że prawdopodobnie do końca życia pozostaną w burdelu. Na łasce i niełasce pokutnych Niemców. Gdzie ich wstrętne łapy mogłyby mnie dotykać. Nie chcę myśleć, co jeszcze!

Nie dziwię się, że wtedy przestała być na chwilę dzielna. Opuściła ją i ogarnęła rozpacz, która czyni człowieka słabym. Byłam jej ukochaną córeczką. Jedynaczką.



Mama Wiesia z mamą,  
1937 rok. Fot. Archiwum  
rodzinne





Tego dnia wywieźli mnie na badania, a zaraz po nich odtransportowali mnie z powrotem do celi. Wtedy się dowiedziałam, że moja mamusia już nie żyje. Powiedzieli mi, że zmarła na zawał serca. Dopiero jakiś czas później, w obozie, Seweryna Szmaglewska<sup>51</sup>, którą znałam z więzienia, opowiedziała mi okrutną prawdę.

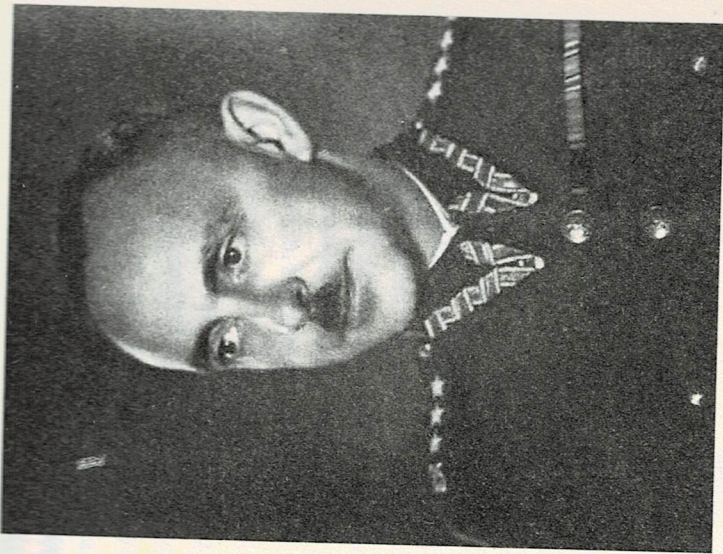
Usłyszawszy, że wywieźli mnie do domu publicznego, mama powiesiła się w celi na biustonoszu. Zmarła 27 lipca 1942 roku.

Za duże pieniądze rodzina wykupiła ciało mamy, aby móc ją godnie pochować. Naprzeciwno więzienia znajdował się kościół Dominikanów. Tam odbyła się msza pogrzebowa.

– Wiesiu, chcesz zobaczyć pogrzeb mamy? – Spytała mnie pewnego dnia strażniczka w więzieniu i zaprowadziła do okienka na poddaszu, z którego mogłam obserwować, jak wprowadzają trumnę do środka. Stałam całą mszę w ciszy. Nie zdążyłam się z mamą nawet pożegnać. Tak nagle zostałyśmy rozdzielone i pozbawione możliwości normalnego życia.

Wspominałam radosne chwile, które wspólnie spędziłyśmy. A było ich wiele, bo mamusia nie pracowała zawodowo. Zajmowała się domem i wy-

<sup>51</sup> Seweryna Szmaglewska (1916–1992) – polska pisarka, prozaiczka i autorka literatury dziecięcej. Napisała m.in. autobiograficzną książkę *Dymy nad Birkenau*, w której opowiedziała o swoich przeżyciach w obozie Auschwitz-Birkenau.



chowowała mnie. Tata, kapitan Miroslaw Byczyński, był wojskowym. Okupację przeżył w oflagu VII A w Murnau<sup>52</sup>. Miałam dobre dzieciństwo.

Czułam złość na myśl o 20 lipca 1942 roku. To była niedziela. Wtedy wszystko się zaczęło.

O pierwszej w nocy ktoś zaczął walić do drzwi. Nagły hałas mnie wystraszył. Spałam z mamą na jednym łóżku. Akurat nocowała u nas siostra mamy, ciocia Jadwiga Kluge. Była nauczycielką muzyki. Lubiłam ją. Spała w pokoju obok. W poniedziałek miała wracać do babci do Łowicza.

– Mamo, otwórz, bo ktoś wali do drzwi – powiedziałam zaspana.  
– To pewnie Gestapo – wyszeptwała mama. Była czujna i w skupieniu nasłuchiwała, co wydarzy się dalej.

„A gdzie tam Gestapo” – pomyślałam. „Do nas? Po co?”

Zmęczenie wzięło górę i zaczęłam powoli zasypiać. A może to był tylko sen? Jako młoda dziewczyna naiwnie sądziłam, że to niemożliwe, aby Niemcy przyszli akurat po nas. Od sąsiadów słyszało się, że gestapowcy

<sup>52</sup> Oflag VII A Murnau – niemiecki obóz jeniecki dla oficerów polskich podczas II wojny światowej, usytuowany w Bawarii w mieście Murnau am Staffelsee.

niespodziewanie napadali na domy Polaków i całymi rodzinami wywozili ich do więzienia lub do obozów pracy. Nie chciało mi się wtedy wierzyć, że nas spotyka to samo.

Niestety. Gdy ponownie zostałam wyrwana ze snu, wokół mnie stało kilku mężczyzn ubranych w mundury SS. Dziesięciu żandarmów i jeden oficer, który doskonale mówił po polsku. Rozkazał naszej trójce wziąć najpotrzebniejsze rzeczy. Musiałyśmy ubierać się w ich obecności. Nie wyszli, aby uszanować naszą prywatność. Wręcz przeciwnie – patrzyli i się śmiali.

Zabrali nas ze sobą do kasyna oficerskiego w Piotrkowie Trybunalskim. Przed wojną mieścił się tam klub oficerski, w 1942 roku został zamieniony na siedzibę Gestapo. Siedziałyśmy w piwnicy przez całe popołudnie. W środku panował mrok. Wątła smuga światła wkradała się do środka przez niewielkie okienko. „Co z nami będzie?” – rozmyślałam. Mama zachowywała kamienną twarz, ale doskonale wiedziałam, jak jest przejęta. Trzymała rękę na pulsie.

Pamiętam, jak młodzi Niemiec chłopcy, dzieci mające od trzech do pięciu lat, rzucali w okno piwnicy kamieniami i krzyczeli „*Polnische Schweine!*”. Bałam się.

Później zostałam przewieziona do więzienia w Piotrkowie Trybunalskim, gdzie miały miejsce pierwsze tragiczne wydarzenia w moim życiu.

## Miejsce, które omijają nawet ptaki

Do obozu trafiłam w jednym z pierwszych transportów. Jechałam w wagonie bydlęcym, gdzie panował straszny zaduch i było ciasno. Ludzi rozpoczęto wywozić w kwietniu, a ja trafiłam do Auschwitz 30 lipca 1942 roku. Miałam szesnaście lat.

Gdy wyszłam z pociągu, od razu zobaczyłam dymiące krematoria i poczułam straszny smród palonych ciał. Dookoła pustkowie, ani żywej duszy, żadnej rośliny czy drzewa. Spojrzałam w niebo. Nawet ptaki omijały to miejsce. W oczy rzucały się tylko dymiące kominy i stopy trupów poukładanych jeden na drugim. Wychudzone ciała powyginane były we wszystkie strony, jakby ktoś po prostu nimi rzucał. Wyglądali jak stopy gałęzi...

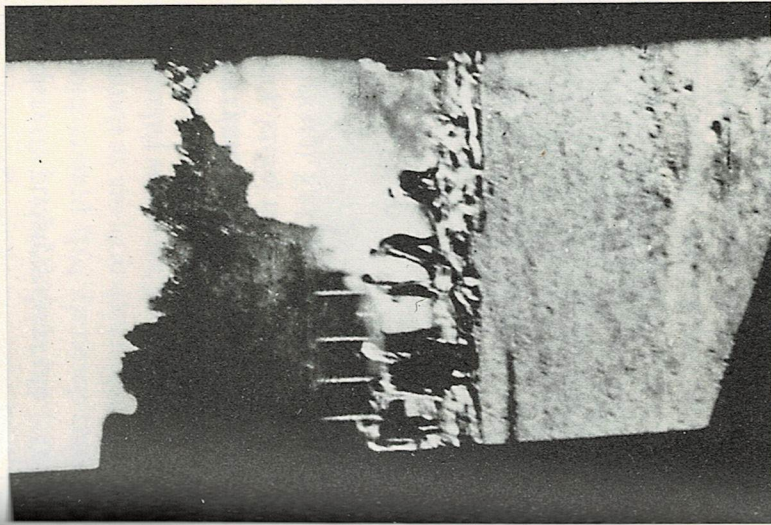
Zamarłam. Nie mogłam uwierzyć, że tak brutalne sceny odbywają się na oczach ludzi. Każdy z nas jest przecież świadkiem. Kto na to pozwala? Nie mogłam zrozumieć. Wtedy jeszcze raz spojrzałam na trupy leżące na tyle blisko, że dostrzegałam ich otwarte, nieruchome oczy. Zrozumiałam, gdzie kończą naoczni świadkowie. Szybko musiałam się otrząsnąć. Tego wy magała ode mnie sytuacja.

Okupanci bili nowo przybyłych kolbami, przeklinali i pluli na nas. Wiedziałam już, do czego są zdolni. W Piotrkowie Trybunalskim obserwowałam stale egzekucji. Widziałam, jak rozstrzelivano niewinnych cywili. W więzieniu słyszeliśmy oczywiście, że okupant może wywieźć nas do obozu pracy. Nikt jednak nie spodziewał się, że nie będzie to obóz pracy, lecz zagłady. A jedynym jego celem będzie unicestwienie podludzi, za których nas uważano.

Od razu zorientowałam się, gdzie jesteście. Auschwitz-Birkenau. Skierowano nas do obozu kobiecego, do którego w późniejszym etapie jego rozwoju i przenoszenia więźniów umieszczano również Cyganów.

Początkowo wysadzono nas w obozie męskim Auschwitz, gdzie przeczytałam bramę, nad którą widniał napis „*Arbeit macht frei!*”. Ironia losu. Ten napis to największe kłamstwo i hipokryzja, z jakimi się spotkałam. Tam spędziłyśmy dwie noce.

Potem kobiety zaprowadzone zostały do budynku z czerwonej cegły. Milcząc, schodziliśmy w dół obdrapanymi schodami. Jedna o drugą potykałyśmy się w przerażeniu, które od momentu przyjazdu nas nie opuszczało.



Palenie zwłok ofiar masowej zagłady. Fotografia wykonana przez członka Sonderkommando, 1944 rok. Fot. Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau

...wa, które naszym oczom ukazał się ogromny basen. Woda w nim wydawała się być gęsta od brudu. Przypominała rosół. Pływały w niej wstrętne, żółte bandaże. Krający dookoła żołnierze z karabinami zmuszali nas, abyśmy gdzie weszły do „kąpeli”. Nie było możliwości odmówić.

Kolejnym krokiem było sfotografowanie nas i wysłanie do sauny, która znajdowała się po drugiej stronie obozu. Musiałyśmy nagie przejść główną ulicę męskiej części. Mężczyźni jednak zachowali się porządnie, odwracając głowy. Byli w końcu w tym samym miejscu, co i my.

Następnie samochodami zostałyśmy przewiezione do Birkenau. Brzezinka, oddalona o pięć kilometrów od macierzystego Auschwitz, była dopiero w budowie. Stały tam stajnie, a w nich bardzo prowizorycznie urządzone baraki. W miejscu, gdzie wcześniej przebywały konie, wstawiono przegrody i zbudowano koje. Najgorsze były oczywiście te na samym dole, gdzie nieproszone gośćmi były szczury, tak duże jak koty.

Birkenau było jeszcze wtedy ogromnym polem pokrytym bagnem. Do piero podczas mojego pobytu wybudowane zostały drogi i ścieżki łączące te sobą baraki. Budowałam je własnymi rękami.

Nie było dopływu wody ani kanalizacji, dlatego też odpady i fekalia zalegały dookoła baraków i w rowach do samego końca istnienia obozu. Tu dziwne i smutne miejsce okalał drut kolczasty podpięty do prądu.

## Ludzie numerki

W Brzezince znalazła się również Seweryna Szmaglewska, którą spotkałam w więzieniu. Była jedyną więźniarką, której nazwisko znałam. Tu nikt nie przedstawiał się imionami czy nazwiskami. Każdy był numerem, niczym więcej. Pobyt w obozie był tak okropny, a warunki do życia tak niehumanitarne, że brakuje słów, by to opisać, opowiedzieć.

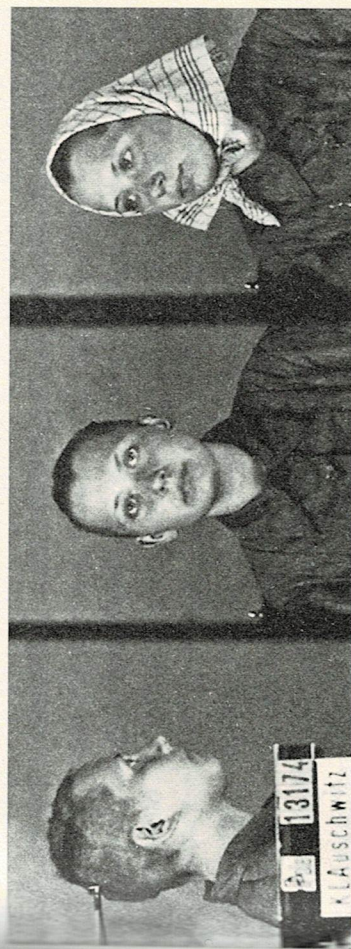
Apele o czwartej nad ranem, na których musieli się stawić wszyscy bez wyjątku. Wszyscy żyjący. Zdarzało się, że w nocy z wycieńczenia kobiety umierały. Wtedy na porannym apelu należało odnaleźć ich ciała – numery musiały się zgadzać.

Po lichym śniadaniu wychodziłam do pracy poza obóz. Była to robota przy ziemniakach, zbożu, sianie. Trwała do dziesiątej, czasami dziesiątej wieczorem. W południe przywozili dla robotników ohydny zupę, której nie dało się zjeść, ale trzeba było nią zapełnić żołądek, jeśli chciało się przeżyć. Zamiast kawy czy herbaty piłyśmy wstrętne ziołka, palące jak piołun. Lali nam płyn do misek, tych samych, do których załatwialiśmy swoje potrzeby

biologiczne. Wielokrotnie więźniarki nie miały swoich misek. Ktoś im oddał albo one zgubiły je, wracając w ulewę do baraku. Nie raz, nie dwa przewróciły się w błocie i może właśnie tam, podnosząc się w pośpiechu, oddały swoje naczynia. Później inna kobieta z radością odnalazła je w bagażniku.

Na kolację dostawaliśmy pajdę chleba i kawałek margaryny o wstrętnej smaku i zapachu. Czasami jakiś powidła, raz w tygodniu plasterki kromki kiełbasy. Jeśli to wszystko zjadło się wieczorem, rano nie było już nic na śniadanie. Każdy dzień wyglądał tak samo. Umęczona wracałam do baraku i bez wody, bez kąpeli kładłam się spać. W jedzeniu było coś, co przetrzymywało kobietom miesiączkę. Byłam w obozie trzy lata i przez cały ten czas nie miałam okresu.

W 1943 roku wolno było przyjmować paczki od rodziny. Miałam to szczęście, że docierały do mnie pakunki od ojca. Można było je pobrać w paczkarni, jednak nie wolno było ich ze sobą nosić w obozie. Co mogłam zrobić z dodatkową porcją żywności, którą chciałam zachować na czarną godzinę? Chowałam kromkę chleba czy kawałek wędliny w lichej bieliźnie i gdy doskwierał głód, szczególnie zimą, przy pracy na zewnątrz, posilałam się. Dawkowałam te dodatkowe porcje bardzo rozsądnie, aby starczyło na jak najdłużej. Do kolejnej paczki. Muszę tu jednak zaznaczyć, że przesyłki, które do nas docierały, były przetrzebione przez Niemców. Dostawaliśmy najczęściej suchy chleb oraz ser, ze starości twardy jak kamień. To, co najlepsze, zabierali oprawcy. Czasami w pakunku znalazłam słoik tłuszczu, w którym można było zamoczyć kawałek chleba. W trakcie mojego pobytu w obozie dostawałam trzy, może cztery paczki od ojca.



Zdjęcie Wiesławy wykonane w obozie, nadano jej numer 13174. Fot. Archiwum rodzinne

Zimą pracowało się bezproduktywnie. Aby tylko coś zrobić. Przecież całyśmy więc śnieg łopatami z jednej strony na drugą, kopaliśmy rowy. Wczesną wiosną, gdy chłód jeszcze był uciążliwy, przenosiliśmy ziemię zaraz przy torach.

Znaczna część więźniów, którzy przybyli do obozu, umierała w niedługo przyszości. Moja ciocia Jadwiga od razu w pierwszym dniu trafiła na rewir. Nie wiemy, dlaczego ją zabrali. Mogę tylko podejrzewać, że uznano ją za niezdolną do pracy podczas selekcji. Dostała zastrzyk z fenolu w serce. Umierała cicho i bez skrupułów. Miała czterdzieści lat, była panną i do obozu trafiła przypadkowo, bo akurat tego dnia, gdy nas zatrzymali, nocowała u nas. Otrzymała numer 13191. Kto by wtedy pomyślał, że nigdy nie wróci do domu?

## Walka o swoją pozycję

Mnie również zdarzyło się trafić do rewiru. Aż dwa razy poważnie zachorowałam. Raz na tyfus w 1943 roku, podczas epidemii, później na malarię. W szpitalu obozowym warunki pozostawały wiele do życzenia. Panował ogólny bałagan, brud, wszy, brakowało leków i nikt nie troszczył się o człowieka. Pamiętam, że jedna z kobiet przyniosła mi nowy, ażurowy sweter na rewir, był naprawdę śliczny. Mogłam go założyć, aby było mi ciepło, albo wymienić na inny towar. Po godzinie musiałam się go jednak pozbyć, bo w każdej dziurce legła się wesz! Były ich setki. To było niewyobrażalne, nie do opisanía. Wszystko aż ruszało się od wielkiej ilości wszy wokół nas. Po traficie sobie to wyobrazić?

Chorzy dostawali równie mało jedzenia i wody, co zdrowi. Doskwierała im gorączka, chciało się pić, więc niektóre z kobiet, gdy przychodziła zima, lizały oblodzone okna, aby zwilżyć usta. Chorzy nie mieli zapewnionej żadnej należytej opieki. Czasami te zdrowsze więźniarki pomagały słabszym. Przebywanie na rewirze niosło ze sobą dodatkowy niepokój – był nim blok 25, do którego esesmani mogli skierować, a z którego nie było już wyjścia. Stamtąd droga wiodła tylko w jedną stronę.

Kiedy pewnego razu przebywałam na rewirze, uratowała mnie lekarka z Polski. Cierpiałam na świerzb, rany pokrywały moje ręce i nogi. Prawie całe ciało było jedną raną. Nie mieli na to żadnego konkretnego lekarstwa. Tamtego dnia do pomieszczenia, w którym leżałyśmy, przyszedł lekarz obozowy i kazał chorym kobietom zejść z łóżek. Selekcja. Chociaż leżałam na najwyższej kondygnacji, udało mi się tego dokonać. A mówię „dokonać”, gdyż dla tak obolałej i chorej był to nie lada wyczyn. Stałam obok przy-

Miałam wówczas na sobie długą koszulę nocną, która przysłoniła moje rany. Gdyby lekarz je zobaczył, od razu skierowałby mnie do krematorium. Kiedy jednak zwrócił na mnie uwagę i zaczął mi się przyglądać, doktor Kościuszko, która lekarka z Polski, oznajmiła, że jutro idę już do pracy. Że jestem zdrowa. Wtedy machnął ręką i dał mi spokój. Nie wiem, co zamierzał, ale nie bez powodu zainteresował się mną.

Idź, w takim stanie, w jakim jesteś, idź, dziecko – powiedziała po prostu lekarka Kościuszko, wskakując mi w dłoń maść, która miała ukoić rany. W ten sposób mnie ocalała.

Kiedy więzień wychodził z rewiru, musiał wrócić na blok lub do komandy roboczego i znów walczyć o pozycję. Tak, pomiędzy więźniami także trzeba było walczyć o swoje. Pilnować misek, bo je kradziono, pilnować jedzenia i miejsca na koi. Kiedy wracało się ze szpitala obozowego, często stało się miejsce na przyczy było już zajęte, zwłazcza jeśli nie mieściło się na najniższej koi. I mnie to spotkało, gdy przebywałam w szpitalu.

## Wesź to twoja śmierć

Pamiętam dzień, w którym blokowe zebrały nas na wielkie odwieszenie. Tego dnia było bardzo mroźnie i wietrznie. Był 6 grudnia 1942 roku. Człowiek niepotrzebnie dał się ponieść jakimś wspomnieniom z domu. Dobre wspomnienia tutaj? Wprowadzały tylko w większą rozpacz. Nie dawały nadziei. Miałam czasami wrażenie, że nie mogę myśleć o domu, o rodzinie. Świadomość, że nie wyjdę stąd prawdopodobnie nigdy, skończyła jak martwe kobiety pod barakiem, pozwoliła mi wypracować w sobie niezłucę – wobec samej siebie. Po co myśleć o świętym Mikołaju? To nie ma sensu. Jednak wspomnienia, obrazy z pamięci wdierały się wbrew mojej woli. Jak ten.

Mikołajki w kasynie oficerskim, gdzie dla rodzin oficerów organizowano spotkania. Święty ubrany w czerwona szatę trzymał w ręce laskę. W drugiej worek z prezentami i słodyczami. A my, jak to dzieci, cieszyliśmy się, bawiliśmy się. Życie było takie beztróskie. W domu też czekały niespodzianki. Paczki z prezentami zazwyczaj przepelnione były słodkościami, lalkami i książkami. Pamiętam jak dziś książkę *Trzy Miki z Ameryki* oraz *Bajdy ciotki Adelajdy*. To były takie radosne chwile!

W obozie nie mogłam się rozczulać. Jednakże „mikołajkowa” perspektywa odwieszenia była swego rodzaju prezentem od losu. Ulga, jaką poczuję po dezynfekcji, nie będzie trwała długo. Warto jednak przemęczyć się



Pracownicy magazynu Kanada odpowiedzialne za segregowanie rzeczy po zamordowanych Żydach. Fot. Album Lili Jacob, nr neg. 24457-192=209

w kolejce, przez kilka dni w ziąbie dla kilku chwil wytchnienia od świądu i nieustającego gryzienia insektów.

Dłaczego procedura odwshzenia sama w sobie była męką? Już tłumaczę. Najpierw ustawiają nas piątkami przed barakiem kąpielowym w obozie męskim. Ma to miejsce z samego rana. Na ten dzień zaplanowano, że wszystkie kobiety z jednego baraku zostaną odwshzone. Jesteśmy ubrane tylko w pasiaki i kaftany. Marzniemy. Czekamy godzinami. Część kobiet jest już w środku, kolejne grupy, w tym moja, mają dopiero wejść. Jest tak zimno, że wszystko mi jedno, co czeka mnie w baraku. Po tak długim czasie stania na mrozie chyba wszyscy pragną po prostu już być wewnątrz. Gdy pierwsza grupa kobiet wychodzi, widzę je z oddali. Stoją skulone, widać, że jest im zimniej niż nam teraz. Wyjście przed barak w środku zimy, zaraz po kąpiele, w wielu przypadkach kończyło się zapaleniem płuc. Ta z kobiet, która była silniejsza, przetrwała odwshzenie. Słabsze niestety umierały.

Nieważne, że i ja zaraz będę znów marznąć. Przede mną kilka chwil w cieple.

Wchodzimy więc do sauny, którą jest wilgotny od pary korytarz. Na betonowej podłodze rozciągają się rowki ściekowe. Po drodze napotykam sierżantki i więźniów, którzy pomagają przy dezynfekcji. Oddajemy im nasze ciuchy, a esesmani patrzą nam na ręce. Czy aby nic tam nie skrywamy? Kawalek książki, jakies zdjęcie czy może krzyżyk. Jeśli coś wypatrzą, od razu wydzierają z rąk właściciela i z uśmiechem na gębach wrzucają do bidonów.

Pamiętam, że kiedyś w prezencie od Żydówki otrzymałam kawałek chleba. Żydówki często pracowały w Kanadzie, gdzie można było znaleźć wszystko – od jedzenia i butów po ciuchy i zabawki. W chlebie znalazłam piękny pierścionek ze złota z brylantem. Ludzie, nie wiedząc, co ich czeka, chowali swoje cenne rzeczy, gdzie się dało. Nie wiedzieli wtedy, że one tu nie mają żadnej wartości. W Auschwitz nie można kupić życia. A biżuteria i tak nie wróci do właścicieli. Zostanie zagrabiona, wysłana do Niemiec.

Pierścionek oddałam blokowej. Wolałam nie ryzykować. Wszystko i tak należało do Niemców. Nic nie było nasze. Jeśli chcieliby, to i tak odebraliby mi zdobycz siłą, a ja przyplaciłabym to życiem.

W barakach po dezynfekcji te, które ukryły swoje „skarby” z trudem zdobyte w obozie lub przywiezione z domu, a jeszcze niezwezione przez kapo, nie znajdują już nic. Gdy my stoimy przed barakiem kąpielowym, zatrudnieni do tej pracy więźniowie z czarnymi winklami<sup>53</sup> na zlecenie SS aktywnie przeszukują koje, koce i sienniki. W każdej szczelinie doszukują się potencjalnej kryjówki. I wiele znajdują. Przed barakiem później nie jedna, nie dwie koleżanki dostrzegły swoje pamiątki rodzinne, dodatkową odzież, w którą ubierały się na noc. Nie mogły po nie wrócić. Szczęście miały tylko te, które znalazły wcześniej ruchomą cegłówkę lub deseczkę. Nierzucające się w oczy miejsce, w którym ukryły i ocalały swoje rzeczy.

W saunie pracownicy kazali nam się rozebrać, a mężczyźni, Polacy, podnosili nawet wzroku, gdy to robili, nie zaśmiali się.

Następnie zostaliśmy wprowadzone do „łaźni”, gdzie z rozżarzonych kamieni buchał gorąc. Skrajny upał, który chwila uniemożliwiał swobodne oddychanie. Pracownicy wylewali na beton wodę i do góry unosiła się para. Towarzyszył temu szum i gwar. Mimo wszystko cieszyłam się tą chwilą. Było mi ciepło.

<sup>53</sup> Winkiel, z niem. *Winkel* – ką, także trójkąt. W polskiej gwarze obozowej trójkąt malowany farbą lub naszywany na odzieży więźnia, na wysokości piersi, który swą barwą klasyfikował go do odpowiedniej grupy osadzonych.

Stamtąd trafiliśmy pod zimny prysznic. Woda była tak lodowata, że ciepłe z łaźni zostało tylko wspomnienie. Przeszywający ból przerywał całą myśl. Każda z nas zdawała sobie jednak sprawę, że bardzo długo nie będziemy miały okazji znów się wykąpać. Stałymi więc pod strumieniem wody aby zmyć z siebie resztki wszy i brudu. Następnie mężczyźni dezynfekowali ogolone miejsca śmierzdzącą mazią.

Dostaliśmy jeden ręcznik, którym pewnie wycierały się wszystkie kobiety wychodzące wcześniej spod prysznicza. Cały był brudny i cuchnący. Wolałam go nie używać. Ubrania nałożyłam na mokre ciało.

Zaraz potem zostaliśmy wypędzone na dwór. Za nami czekała już kolejna grupa. Nastąpił jednak wieczór i nie wszystkie kobiety zdążyły tego dnia przejść odwoszenie. Ich stanie na ziąbie na nic się zdało.

Esesmani twierdzili, że odzież, którą otrzymaliśmy, również jest odwoszona. Zakładaliśmy ją na siebie i rozpoczynaliśmy kilkogodzinny „zabieg” w wyciąganie zagazowanych insektów z pasiaków. Wszy ukryte pod szwami i w każdym zagięciu materiału, choć oszołomione, były ciągle żywe. Jeśli poczułyby ciepło, od razu ocknęłyby się i od nowa zaczęłyby wgrzyzać się w wychudzone ciało. Dlatego właśnie wielkie odwoszenie było błogosławieństwem i przekleństwem jednocześnie. Kilka chwil ciepła poprzedzało i kończyło wyziębienie, a samo odwoszenie wystarczało na dwa, może trzy dni, po czym insekty znów legły się w brudzie baraków i naszych ciał.

Gdy po pracy wracaliśmy do obozowych „mieszkań”, czekało nas zawsze jeszcze jedno zadanie. Mimo nocy i zmęczenia wyciągaliśmy i zabijaliśmy wszy z koców. Choć szorstkie i brudne, w jakimś stopniu chroniły przed mrozem. Gdybyśmy odkryły się nimi bez oczyszczenia z insektów, rano byłibyśmy pogryzione.

Odwoszenie kobiecego obozu miało trwać jeden dzień, a trwało prawie do Wigilii. Wszy rzeczywiście było mniej. Jednak więcej kobiet umierało. Były nękane czerwonką i innymi chorobami, a dobijało je zapalenie płuc i przeziębienia, które łąpały po wyjściu z sauny.

## Niemożliwe, a jednak

Z tego miejsca nie dało się uciec. Tak mówili wszyscy dookoła. Człowiek, przyglądając się rygorowi, mnogoci zakazów i nakazów kierowanych w stronę więźniów, utwierdzał się w przekonaniu, że ucieczka z obozu graniczy z cudem. Skłamałabym jednak, gdybym nie przyznała, że podczas mojego pobytu w Oświęcimiu miały miejsce udane ucieczki. Pamiętam tę pierwszą

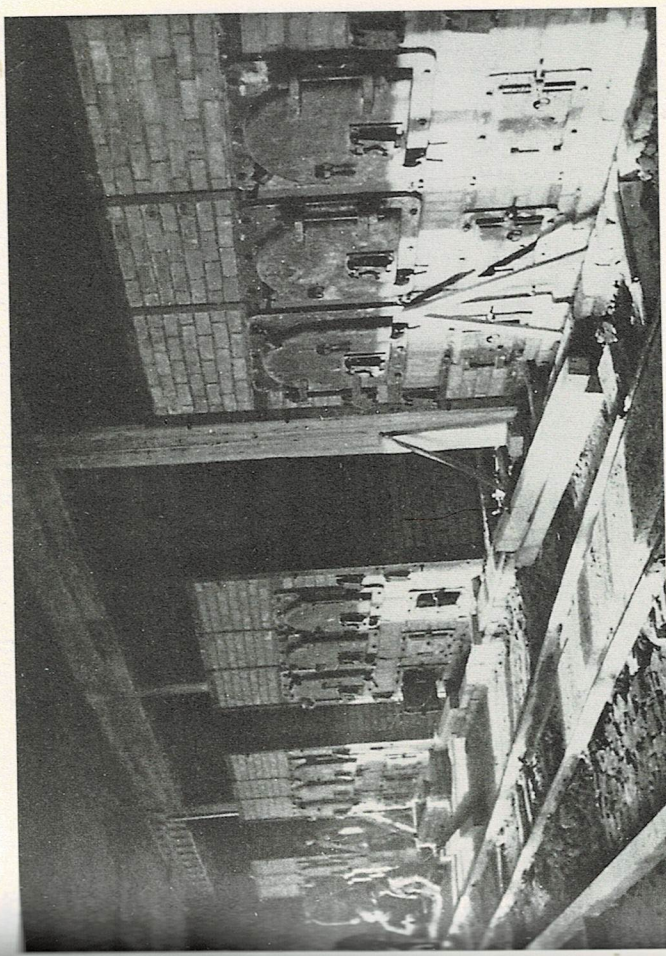
rozpędliwą kobietę, której esesmani nie zdolali znaleźć. Nazywała się Maria Bieda.

Cały lager aż huczał od okrzyków:

– *Block sieben! Block sieben!* – krzyczeli kapo i więźniowie. Wszyscy już wiedzieli, że stało się coś ważnego. Bez powodu nikt nie wzywałby w trakcie dnia bloku na liczenie.

Blokowe przy pomocy kapo ustawiły nas piątkami. Nie minęło dużo czasu, a znów wywołano nas na liczenie. I kolejny raz. Zziębnięte modlił się ktoś, aby wreszcie cała sytuacja się wyjaśniła. Utkwił mi w głowie dźwięk gwizdka oznajmającego koniec dodatkowych apeli. Zbliżała się północ, a czwartej trzeba było wstać na poranny apel i pójść do pracy, a liczenie więźniów wciąż trwało. Wreszcie nakazano nam ustawić się alfabetycznie i odczytywano kolejno nazwiska więźniarek. Wtedy dopiero się okazało, że brakuje jednej kobiety.

– *Wo ist Maria Bieda?* – krzyczał męski głos. To pytanie padło wiele razy, ale nikt nie odważył się udzielić odpowiedzi. Wszystko stało się jasne.

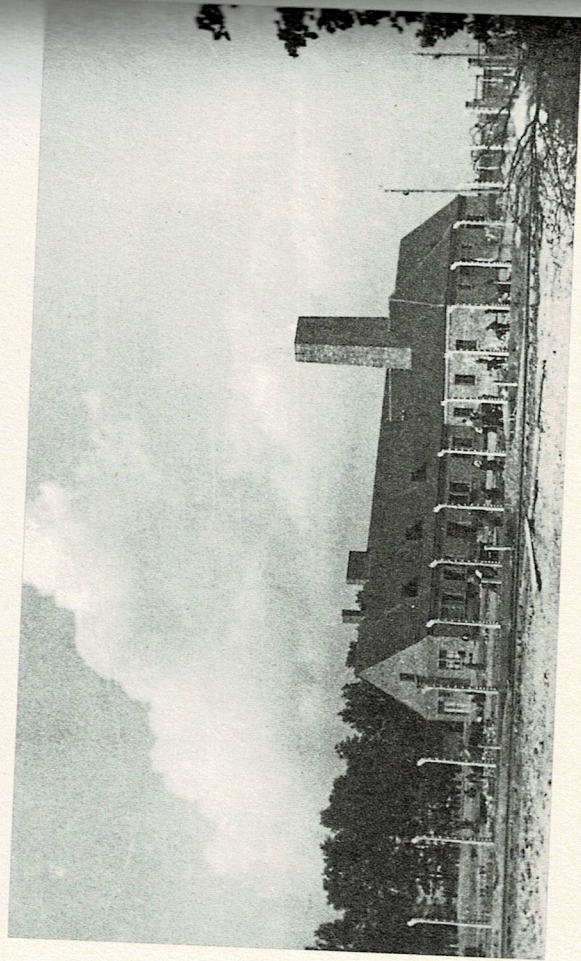


Hala pieców krematorium II na krótko przed zakończeniem budowy w czerwcu 1943 roku. Fotografia wykonana przez esesmana. Fot. Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau

że dotrze do domu, może nawet ktoś tam na nią czeka. Przystanie się będzie stały przez długą chwilę na zimnie dla przyswojenia informacji, że kolejne próby ucieczki będą mocno tępione. Ta sytuacja ukazała esesmanom, a także więźniom, jaki nieład panował w obozowych dokumentach ewidencyjnych. Po Marii Biedzie udało się uciec jeszcze kilku kolejnym osobom. Niektóre z nich niestety wróciły do obozu, schwytane, martwe. Po paru takich sytuacjach zaczęto tatuować numery na ciele, co Niemcom ułatwiało ewidencjonowanie i kontrolowanie więźniów.

Mam jeszcze jedno wspomnienie dotyczące próby ucieczki z obozu. To historia kończy się jednak szybko, niż się zaczyna. Któregoś dnia razem z Seweryną Szmaglewską kopałam rowy poza obozem. Kiedy nastąpiła przerwa, obierałyśmy się z wszy, które gryzły całe ciało. Nagle naszą uwagę przykuły krzyki esesmana.

Pewna młoda dziewczyna nieopatrznie pochwaliła się innej więźniarce, że chce uciekać z obozu. Tamta musiała donieść Niemcowi, który tego dnia nas pilnował. Kazał iść niedoszłej uciekinierce wzdłuż torów kolejowych, którymi pociągi jechały do Katowic. Zakpił z niej, jakby chciał powiedzieć: „idź, daję ci wolność”. Szła odwrócona do niego plecami. Niemiec strzelał,



Widok krematorium III w Birkenau od strony południowej. Zdjęcie z albumu SS.  
Fot. Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau

zawsze obok niej, nie raniąc i nie zabijając. Raz z jednej strony, innym razem z drugiej, bliżej nogi. A ona za każdym razem, gdy padał strzał, kurzyła ramiona i drżała z przerażenia. Wreszcie więźniarka zmierzająca ku „wolności” potknęła się i przewróciła. Wtedy esesman już nie chybił. Strzełił prosto w głowę. Pozostałe więźniarki postanowiły odnaleźć donosicielkę. Była wśród nas taka, która perfekcyjnie знаła język niemiecki i stroniła od wszystkich. Uznałyśmy, że to wtyczka, która ma za zadanie donosić na nas władzom. W baraku zrobiliśmy jej „kocówkę”. Narzuciłyśmy na nią koc i uderzałyśmy, gdzie popadło, ile sił. Mimo to nie chciała się przyznać. Byłyśmy jednak pewne, że to ona.

## Cierpliwy Kwaśny

Gdy wychodziliśmy na Aussen, towarzyszyła nam muzyka. Piękne dźwięki wydobywały się z instrumentów orkiestry obozowej przy bramie. Muzycy byli utalentowani. W święta grali nawet koledy.

Moją pierwszą pracą w obozie była robota przy żniwach. Szefem komanda był Sauer, to znaczy kwaśny. Rozkazał mi wiązać snopki. Nigdy wcześniej tego nie robiłam i wychodziło mi to bardzo nieudolnie. Można wręcz powiedzieć, że robiłam to źle. Sauer miał w zwyczaju bić więźniarki drewnianymi pałkami. Mnie jednak cierpliwie, może dziesięć, może więcej razy, tłumaczył, jak pracować, choć kompletnie tego nie pojmowałam. Nie uderzył mnie. Byłam zdziwiona, bo z innymi więźniarkami rozprawiał się okrutnie.

Inny esesman, Kalesan, przyjeżdżał w pole na koniu na kontrolę. Kiedy był zły, rzucał kijem, gdzie popadło, i nie zwracał uwagi, czy ktoś oberwie w plecy, czy w głowę. Gdy tylko zauważyliśmy, że się zbliża, uciekałyśmy jak najdalej, aby nie dostać tym przekłętym kijem! Potrafił uśmiechać się od ucha do ucha i bić z całych sił. Był sadystą!

Mnie też raz się oberwało podczas robót. Esesman Czujjan – choć my mówiliśmy na niego między sobą „szuja” – kazał nam przerzucić ziemię z jednego kopca na drugi. W trakcie pracy zmienił jednak zdanie. Przez pomyłkę zrzuciłam część w złym miejscu, a Czujjan kopnął mnie mocno. Nie mogłam chodzić przez dwa tygodnie. Od tamtej pory zawsze od niego uciekałam.

Praca, która o wiele bardziej mi się podobała, polegała na rozwożeniu gnoju. Była ona szczególnie przyjemna, gdy rozpoczęły się zimne miesiące, jak listopad czy grudzień. Gnój parował, dzięki czemu było mi ciepło.

do się po trupach leżących pod nogami. Tu jedna kobieta, tam na taczce drugą. Z czasem, i mówię to z wielkim bólem, człowiek zaczął przechodzić stok zwłok zupełnie obojętnie. Każdy z nas zdążył się już na nie napatrzeć. To okropne, ale w końcu się przyzwyczailiśmy do tego widoku. Stosy trupów poukładanych jak drewno, nagie ciała powyginałe w nieruchomym geście. Dzieci leżały przed barakami do rana. Dopiero później zbierano je i wywożono do pieca.

## Budowanie pod karabinem

Z wielką trwogą wspominam lipiec i sierpień 1944 roku, kiedy do obozu zaczęto przywozić transporty Żydów z Węgier i Rumunii. Widziałam, jak ludzi, całe rodziny, prosto z wagonów prowadzono w stronę krematorium. Później rzucał się w oczy dym unoszący się z kominów. Do krematorium przywożono także więźniów z Auschwitz, czyli z obozu macierzystego. Kiedy odbywały się masowe palenia, nas zamykano w blokach i nie pozwalano wychodzić. Okna, których nie było wiele w barakach, zaryglowane były drewnianymi deskami. Ale to nie wystarczało, by stłumić krzyki rozpaczliwych przerażenia, które do dziś wywołują gęsią skórkę na moim ciele. Krążą po głowie jak demony.

Niemcy, trzymając nas na muszce, kazali więźniom nosić cegły pod krematoria. Mężczyźni pracowali przy ich budowie. Wiedzieliśmy, co robimy – budowaliśmy sami dla siebie i innych miejsce, w którym mieli nas unicestwić.

Któregoś dnia do naszego baruku wbiegła wściekła auzjerka Mandel<sup>54</sup>. Była piękną kobietą, miała cudowne blond włosy. Zaraz za nią wpadła druga, paskudna Drechsel<sup>55</sup> z wystającymi zębami. Obie były wściekłe, bo

<sup>54</sup> Maria Mandl lub Mandel – ur. 10 stycznia 1912 r. Była nadzorczynią kobiecej służby pomocniczej SS w nazistowskich obozach koncentracyjnych. W Birkenau pełniła obowiązki kierowniczką obozu dla kobiet. W czasie służby w Auschwitz-Birkenau własnoręcznie podpisywała rozkazy, które posłały na śmierć w komorach gazowych ok. 500 tys. kobiet i dzieci różnych narodowości. Jej władza nad więźniarkami i podwładnymi była absolutna. Mówiono na nią „Bestia”. Została uznana za zbrodniarkę wojenną. Stracona 24 stycznia 1948 r. w Krakowie.

<sup>55</sup> Elsa Margot Drechsel (także Drexler, Dreschler, Drexel, Drechsler) – ur. 1908 r. w Neugersdorf, zm. 1945 r. w Budziszynie. W Auschwitz pełniła funkcję *Aufseherin*. Przez więźniów była określana jako wyjątkowo brutalna. Zabijała ze szczególnym okrucieństwem tysiące niewinnych ludzi. Brała udział w selekcjach kobiet i dzieci do komór gazowych. W 1945 r. została rozpoznana na szosie przez więźniarki KL Auschwitz-Birkenau, co doprowadziło do wykonania na niej egzekucji.

Jak już mówiłam, warunki życia w obozie były okropne. Szezeptałem doskwierał głód, który powodował opuchnięcie ciała. Podczas pracy w polu kiedy nikt nie widział, zjadało się jakąś marchew, buraka czy ziemniaka. Gdyby szef komanda albo jego pomocnicy zauważyli, że podjadamy warzywa, nastanowienia rozprawiłby się z nami. Ale kto by nie zaryzykował? Byłam tak chuda i niedożywiona, że w pewnym momencie ważyłam tylko czterdzieści trzy kilogramy...

Niemców w obozie cechowała wrogość, byli okrutni i wyrafinowani. Zabijali bez skrępowań. Ale czasami zdarzały się zaskakujące sytuacje. Tak przykładowo, podczas upalnego lata, po pracy jeden esesman pozwolił nam wejść do rzeki i się wykąpać.

– Szybko, szybko – krzyczał. Bał się, że ktoś to zobaczy i wyciągnie konsekwencje nie tylko wobec nas, ale również wobec niego. Z pewnością nie był to przejaw sympatii dla nas. Może czasami Niemcy sami mieli dość wszechobecnego smrodu i brudu?

Podczas całego pobytu w obozie i podobozach, poza jedną sytuacją, gdy kobieta pomogła mi na rewirze, nie spotkało mnie nic dobrego. Pamiętam jednak pewną auzjerkę, Niemkę, która pracowała w obozowej kuchni. To była poczciwa kobieta. Gotowała dla esesmanów, którzy oczywiście jedli znacznie lepiej niż więźniowie. Pewnego razu wybrała mnie i moje dwie koleżanki do pracy w kuchni. Przez kilka godzin dziennie wykonywałyśmy proste czynności, jak obieranie ziemniaków, a w zamian dostawałyśmy kubek kaszy. Przypominam sobie, że kobieta chodziła w pelerynie, a pod nią trzymała chleb, którym niekiedy nas częstowała. Upominała nas tylko, aby nikomu nie zdradzić, że nam pomaga. Poniosłaby wtedy konsekwencje i nam również by się dostało.

Spotkałyśmy ją przed ewakuacją obozu Auschwitz-Birkenau. Była ubrana w esesmański mundur i powiedziała: „Wy to jesteście szczęśliwe, a ja mną nie wiadomo, co będzie”. Chciałyśmy się za nią wstawić. Miała na imię Hedi i pochodziła z Wrocławia. Nie wiem, co się z nią stało.

## Bociany

Kiedy w nocy szłam do latryny, do rowu, w którym się załatwialiśmy, prosiłam mnie światło reflektora. Na wieżyczkach, które nazywałyśmy „bocianami”, siedzieli strażnicy uzbrojeni w karabiny. Obserwowali, doszukiwali się najmniejszego ruchu w obozie. Do rowu szło się w błocie, szczególnie jesienią, kiedy deszcze nieustająco zamieniały tę przekłętą ziemię w bagna.



nadzieja, że Polska się nie poddaje. Im my stawaliśmy się silniejsi, tym Niemcy byli słabsi. Każdy cios w stronę naszych oprawców był motywacją do przetrwania obozowych warunków. Może uda się stąd wydostać?

W sierpniu tego roku ustawiono nas pod Blokiem Śmierci – blokiem z Wywoływano kolejne numery. Żadna z nas nie wiedziała, czy czeka ją pieszy transport. A może jakiś eksperyment medyczny?

Wybrano mnie do transportu. Wraz z częścią kobiet przewieziono mnie do Ebingen w Lotaryngii, ale zbliżający się front zmusił żołnierzy do przepędzenia nas dalej, do Saarbrücken. We wrześniu 1944 roku byłam zatrzaskana w Ravensbrück. Po dwóch tygodniach trafiłam do filii Auschwitz, obozu Berlin-Köpenick. Pracowałam w firmie Aktion Elektrische Gesellschaft. W pewnym momencie Niemcy nas stamtąd wyprowadzili, ale sami nie wiedzieli, dokąd się udać. Z jednej strony czekały na nich wojska amerykańskie, a z drugiej Rosjanie. Teraz to oni się bali. Nie da się ukryć, że mnie to cieszyło. W końcu oswobodzenie przyszło około szesnastej 2 maja 1945 roku.

Tuż przed wyzwoleniem razem z czterema koleżankami spotkałyśmy esesmana, którego kojarzyłyśmy z obozu. Nazywał się Sobota. Stał razem z swoją żoną przy szosie, którą szłyśmy. Obok wózka, w którym spało dziecko. W pobliżu nich kręcił się nieco starszy syn Niemca. Wszędzie było niebezpiecznie. Słysząc było strzały, niemieckie okrzyki. Razem z Sobotą i jego rodziną schowałyśmy się za wagonem stojącego w pobliżu pociągu towarowego. Esesman mógł nas rozstrzelać. Miał przy sobie broń. Jednak nie zrobił tego. Wiedział, że teraz to on może być w niebezpieczeństwie. Idzie wolność! Nasza wolność, a ich zguba. Jedna z koleżanek spytała Soboty, czy może sprawdzić, co się dzieje za wagonami. Zgodził się. Wrócił z wieścią, że zbliżają się amerykańskie czołgi.

Abyśmy mogły bezpiecznie dostać się na drugą stronę pociągu, na terenie gdzie znajdowały się wojska amerykańskie, żołnierze polecieli każdej z osobna wejść do dużego wózka, w którym spało niemieckie dziecko, i kazali esesmanowi nas przewozić. I tak się stało.

– Dziewuchy, jesteście wolne! – powiedział jeden z amerykańskich żołnierzy. Niemca pojмали. Nie pozwolili mu nawet pożegnać się z rodziną. Żoną z dziećmi puścili wolno.

Później musiałyśmy pójść do szosy, skąd amerykańskie transporty miały zabrać nas dalej. Idąc przez pole i las, wciąż musiałyśmy padać na ziemię, bo Niemcy jeszcze ostatkiem swoich sił strzelali do nas. A może już na oślep? Na szczęście udało nam się dojść do drogi, a tam już tylko Amerykanie i donośne okrzyki radości. Wolności. W strefie amerykańskiej

Ludwigslust<sup>56</sup> spędziłam dwa tygodnie. W kilka dziewczyn zamieszkałyśmy w domku myśliwskim przy pałacu księcia Meklemburgii z pięknym, rozległym ogrodem. Amerykanie przynosili nam kakao, chleb, jajka, a nawet mięso z sarny. Miałyśmy kuchnię, mogłyśmy gotować posiłki.

## Dobre musiało przyjść

W tym czasie zabrano mnie i kilka moich koleżanek do strefy angielskiej w Lubece, gdzie przewieźli nas amerykańscy żołnierze. W Lubece czekałam na transport do Szwecji. Wtedy otrzymałam list od ojca, kapitana Byczyńskiego:

*Murnau, 14.VI.1945 rok. Moja najukochańsza córeczko. Przed chwilą otrzymałam list od Ciebie. Jestem tak szczęśliwy, że nie mogę wprost opisać. Myśli płaczą się i nie mogę pisać. Łzy radości cisną się do oczu. Spiesz się, aby dać Ci znać, że żyję, jestem zdrow i myślami zawsze z Tobą. Dla Ciebie tylko żyję. Wszystko robię, aby być z Tobą. Na razie wyjazdy z obozu są trudne, ale głowę mam na karku. Zresztą nic nie ma na świecie, aby mnie powstrzymało w obecnej chwili mieć Ciebie. Przecież to 6 lat tęsknoty i wiecznej trwogi o Twoje życie – jesteś całym światem dla mnie<sup>57</sup>.*

Koło Lubeki znajdował się kurort Bad Schwartau<sup>58</sup>, w którym stacjonowali polscy oficerowie. Za namową koleżanki pojechałyśmy tam pewnej niedzieli.

– Czy przebywa tu kapitan Byczyński? Jestem jego córką – zapytałam dyżurującego oficera.

O pomoc w odpowiedzi na moje pytanie mężczyzna poprosił kapitana. Gdy ten przyszedł, wysłuchał mnie, po czym powiedział:

– To ty jesteś ta mała Wiesia?

Okazało się że to kapitan Gaja, kolega taty. Pamiętał mnie jako małą, pięcioletnią dziewczynkę. Mieszkał niedaleko nas. Wysłał list do Monachium, starał się dowiedzieć, gdzie jest mój ojciec i co się z nim dzieje. Gdy dostałam odpowiedź listowną, zrezygnowałam z wyjazdu do Szwecji. Miałam już na kogo czekać.

<sup>56</sup> Ludwigslust – miasto w niemieckim kraju związkowym Meklemburgia-Pomorze Przednie.

<sup>57</sup> List ojca pani Wiesławy Gołabek, architektum rodzinne.

<sup>58</sup> Bad Schwartau – miasto uzdrowiskowe w Niemczech.

zobaczyłam mężczyznę prowadzącego rower. Szedł w amerykańskiej kurcie wojskowej w moją stronę.

Tata zdecydował, że wracamy do kraju. Był patriotą.

Maturę zdawałam w Kaliszu. Do Wrocławia przyjechałam z miłością, do mężem. Urodziłam dwoje dzieci i moje życie potoczyło się szczęśliwie. Byłam pielęgniarką, a później sekretarką w instytucji zdrowia.

Pamiętam jedną sytuację z pierwszych dni pracy w przychodni we Wrocławiu. Jednemu z pacjentów przekazałam omyłkowo błędną informację. Wtedy jakiś mężczyzna krzyknął do mnie:

– Panią to powinni do Oświęcimia wysłać, Niemcy nauczyliby państwa porządku.

– Nie muszą, byłam w obozie – odpowiedziałam, podwijając biały rękaw fartucha i pokazując przedramię z numerem obozowym. Później ten mężczyzna przyniósł mi kwiaty i bombonierkę.

## Dymy nad Birkenau

*Udając, że roztrząsa łopatą piasek po zboczu rowu, zbliża się do drugiego odcinka pracy chuda Wiesia, dziewczyna siedemnastoletnia. [...] Idzie śmiejąc nie w swych olbrzymich drewniakach, w których szmaty chroniące od zimna zajmują więcej miejsca aniżeli stopy. Piszczelowate nogi stąpają niezbyt pewnie. Ogolona głowa sprawia, że wielkie oczy wydają się za duże. Nie przestając manipulować łopatą, mówi z uśmiechem, nie podnosząc oczu, jakby się zwracała do górki piasku: – Masz nóż? Może byśmy coś zjadły.<sup>59</sup>*

Tak o mnie napisała w swojej książce *Dymy nad Birkenau* Seweryna Wspólnie przeżyliśmy obozowe piekło.

Dziś człowiek nie może wyobrazić sobie życia bez internetu, telefonu i wielu innych udogodnień. A czy wyobrażacie sobie życie bez wody? Bez jedzenia? Lub że największym marzeniem człowieka jest kubek ciepłej herbaty, kromka chleba? Dziwię się, że po tym wszystkim, co zobaczyłam w obozie, a czego nie da się opisać słowami, nie oszalałam. Wiele osób, które przeżyły obóz i wyszły na wolność, postradało zmysły.

Udało mi się przetrwać w Auschwitz, bo miałam silną psychikę. Nie rozkliwiałam się nad sobą, bo to osłabiało, a słaby więzień to trup. Żyłam

<sup>59</sup> S. Szmaglewska, dz. cyt., s. 117–118.



z dnia na dzień. Modliłam się o siłę i to dodawało mi otuchy. Nigdy nie zważyłam w Boga. W końcu to ludzie ludziom zgotowali taki los. *Homo homini lupus est*<sup>60</sup>.

O Auschwitz trzeba mówić, trzeba pisać. Jesteśmy świadkami historii, kiedy my odejdziemy, książki zostaną.

<sup>60</sup> *Homo homini lupus est* (łac.) – człowiek człowiekowi wilkiem.

nr obozowy: 44165

ALINA DĄBROWSKA z domu **Bartoszek**

Urodzona: 23 kwietnia 1923 roku w Białej koło  
Zgierza

Data wywózki do **Auschwitz**: czerwiec 1943 roku

Obozy koncentracyjne: Auschwitz-Birkenau,  
Ravensbrück, Malchow, Buchenwald, Leipzig



*Alina Dąbrowska tuż przed aresztowaniem.*

*Fot. Archiwum rodzinne*

*Wierzę w przeznaczenie.*

## ALINA DĄBROWSKA

### Kobieta, nad którą czuwała Opatrzność

Pomimo wielu cierpień, chorób i głodu los zawsze kierował jej życiem w taki sposób, aby mogła przetrwać. W tych nieludzkich warunkach wielokrotnie okazywało się, że pozornie mało istotne sytuacje, które spotkały ją w życiu, miały głęboki sens. Zdobyte wcześniej, niepotrzebne wówczas umiejętności, ratowały jej życie w obozie. Na duchu podtrzymały ją też listy z domu.



Alina z koleżankami w gimnazjum, 1939 rok. Fot. Archiwum rodzinne

## Były ich tysiące

*Las – i nikt nie widzi, i nigdy nikt się nie dowie, i nigdy nikt światu nie powie o tym. Te, co pracują na budowie dróg, kobiety cienie, choćby nawet przez gęstwinę drzew coś widziały, nie wyjdą stąd. Spoglądają na nie czasami oczy esesmanów zwężone uśmiechem, a usta mówią przez zęby:*

*– So wie so Brzezinka, so wie so Krematorium<sup>61</sup>.*

Przeżyłam w obozie kilka selekcji, nie wiedząc, czy zostaną wybrana do gazu, czy do pracy. To uczucie strachu i niepewności jednocześnie jest nie do opisanía. Jeśli chodzi o selekcję, zapisał mi się w pamięci szczególnie jeden obraz. Tłumy Żydów przechodzących obok nas, niemających pojęcia, co ich czeka. W marcu 1944 roku Niemcy zajęli Węgry. Wtedy zaczęły się trans-

<sup>61</sup> S. Szmaglewska, dz. cyt., s. 129.

Alina w 1933 roku.  
Fot. Archiwum rodzinne



porty węgierskich Żydów do Oświęcimia. Tam esesmani ich palili. Głównie matki z dziećmi i osoby starsze. Nowo przybyli trafiali do krematorium niemal od razu po przyjeździe do obozu. Wcześniej musieli się tylko rozebrać – niczego nieświadomi – wejść do komory gazowej. Potem, często ledwie zamroczeni, byli wrzucani bezpośrednio do dołów lub pieca. Było wśród nich wiele dzieci.

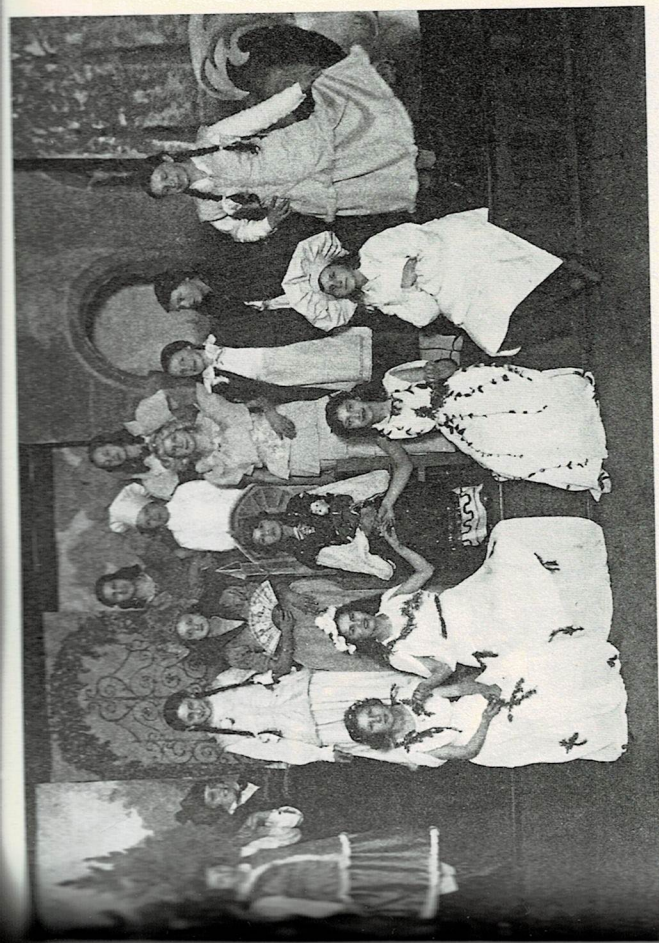
W krematorium było mało miejsca jak na taką ilość więźniów, więc ludzie często musieli czekać na zagazowanie, zanim „wreszcie” trafili do pieca. Póliżywych po męczącym transporcie w wagonach Niemcy trzymali przed wejściem do komory gazowej. Potem ciała zagazowanych ludzi wynosili z komory i spalali w wykopanych dołach<sup>62</sup>.

Stałam nieopodal. Widziałam ogień buchający z dołów. Nie mogłam się pogodzić z tym, co się działo. Tyle śmierci! Transporty z 1944 roku sprawiły, że nie mogłam spać. To byli ludzie, tacy jak my. I byli ich tysiące! Niemcy

<sup>62</sup> Miało to miejsce przy krematorium V.



Alina jako gimnazjalistka. Fot. Archiwum rodzinne



Alina Dąbrowska w roli polskiej więźniaczki, przedstawienie w gimnazjum.  
Fot. Archiwum rodzinne

palili ich dzień i noc. Ze względu na ogromną liczebność mordów dobudowali specjalną bocznicę do tego rodzaju transportów. Makabra trwała do sierpnia. Później Niemcy nadal palili więźniów, choć w mniejszej liczbie.

Zdarzało się, że więźniowie przebywający od jakiegoś czasu w obozie w obozach transportach dostrzegali swoją rodzinę. Słyszało się niejednokrotnie, że matka, widząc córkę wysłaną na śmierć, dobrowolnie szła tam razem z nią.

Nowy transport. Wągony wjechały na rampę, a ja słyszę język polski. Skąd one przyjechały? Mówią, że z Warszawy. Były to pierwsze transporty z Powstania Warszawskiego. W obozie nie wiedzieliśmy w ogóle, że jakieś powstanie miało miejsce.

## Wracalam myślami do domu

Byłam najmłodsza spośród rodzeństwa. Przed wojną mój tata, Konstanty Bartoszek, pracował jako nauczyciel, później był sekretarzem gminnym. Kiedy przeprowadziliśmy się do Pabianic, a miałam wtedy sześć lat, zaczął

## Pierwszy znak z niebios

Kiedy miałam czternaście lat, udzieliłam pierwszych korepetycji. Byłam bardzo dobrą uczennicą szkoły powszechnej. Pamiętam dzień, kiedy szłam na egzamin, po którym miałam dostać promocję do gimnazjum. Spotkałam wtedy daleką kuzynkę mojej mamy. Szła w moją stronę z jakąś dziewczynką, zadawolona, że widzi wreszcie znajomą twarz. Podeszła i wskazując na dziewczynkę, powiedziała:

– Sluchaj, to jest Ela. Nikogo tu nie zna. Będzie chodzić do gimnazjum, zamieszka u mnie. Zaopiekuj się nią, proszę.

Potraktowałam te słowa bardzo poważnie. Na tyle, że kiedy doszło do wybrania klas, podjęłam decyzję, które zawazyły na moim życiu. Ale wtedy jeszcze nie mogłam tego wiedzieć.

Klasy dzielono ze względu na języki obce. Do wyboru był niemiecki i francuski. Tak bardzo marzyłam o nauce francuskiego! Już słuchając audycji radiowych, w których spikerzy posługiwali się tym językiem, wiedziałam, że go Kocham. Niemiecki słyszało się na co dzień: w sklepie, na ulicy. Nie było więc żadną atrakcją uczenie się go. Każda z uczennic liczyła na to, że nie trafi do klasy niemieckojęzycznej. Odbyło się losowanie. I los uśmiechnął się do mnie. Trafiła mi się klasa z wymarzonym francuskim! Tak bardzo się cieszyłam... Ale tylko do momentu, kiedy Ela wyciągnęła coś ważnego dla mnie, by niemieckim. Wtedy pierwszy raz poświęciłam coś ważnego dla mnie, by pomóc innej osobie. Świadomie. Zamieniłam się z koleżanką na klasę niemieckojęzyczną, aby Eli nie zostawić samej i zaopiekować się nią, tak jak obiecałam kuzynce mamy. I choć wtedy było mi przykro, że nie spełnię swego marzenia, krzepiącą była myśl o bezinteresownej pomocy.

Czuwała nade mną Opatrzność, bo znajomość niemieckiego wiele razy później ułatwiła mi życie. Cały ten zbieg okoliczności był jak znak z niebios. Jeden z wielu, jakie przydarzyły mi się na trudnej wojennej drodze.

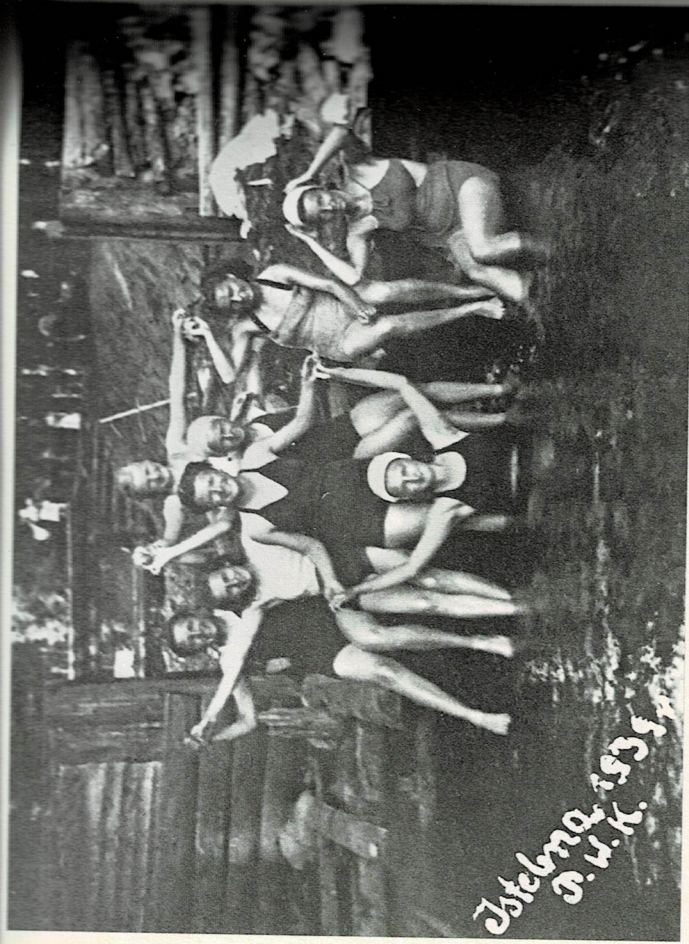
Do „regulanej” szkoły nie chodziłam długo. Zaledwie kilkanaście dni. Kiedy do kraju wkroczyli Niemcy, zabronili nam się uczyć. Wstrzymali wszelkie działania edukacyjne. Nauczycielka niemieckiego starała się jednak zorganizować dla nas legalnie szkołę.

Udało się.

Uczęszczałismy więc na lekcje niemieckiego. Uczylałam się pilnie, wykorzystywałam na to każdy moment.

I tak przydarzyła mi się romantyczna historia.

W tej samej ławce, w której siedziałam na lekcjach rano, po południu zasiadał pewien chłopak. Zaczął do mnie pisać listy i zostawiał je na ławce,



Alina z koleżankami w Istebnej, 1939 rok. Fot. Archiwum rodzinne

pracować w magistracie miasta. Pochodzę więc z rodziny urzędniczej, która angażowała się od zawsze w sprawy patriotyczne.

Mama nazywała się Anna Gertner. To spolszczenie niemieckiego słowa *Gärtner*, ogrodnik. Dziadek (ojciec mamy) mówił, że kiedy nastanie wolna Polska, zmieni swoje nazwisko na Ogrodnik, bo nie chce być kojarzony z Niemcami. Moje siostry studiowały przed wojną. Jadzia na polonistyce w Warszawie, druga – Hesia – rolnictwo w Poznaniu. Gdy wybuchła wojna, musiały wrócić do domu.

Starałam się myśleć o najbliższych. Ale zamiast wspominać to, co dobre, na myśl przychodziły mi wspomnienia przygnębiające mnie jeszcze bardziej. Jak dzień, od którego dla mnie zaczęła się wojna.

Ósmego września 1939 roku Niemcy byli już w Pabianicach. W naszym domu szukali noclegu, kwatery. Dom zajęli dla siebie, a w zamian, całej mojej rodzinie dali mały pokoik. Każdego dnia czekałam wieczorów spędzanych razem z rodzicami i rodzeństwem. Były bardzo miłe pomimo wojennej zawieruchy. Staraliśmy się kochać, szanować, żyć – choć w czasach wojny było to trudne.

się nazywasz? Wkrótce zaczęliśmy prowadzić korespondencję, która z czasem wywoływała u mnie mocniejsze bicie serca. Czekalam na jego kolejne listy. Czasami pisał romantycznie i miło, innym razem rozbawiał mnie dowcipami. Zachwycałam się karteczkami od kolegi, którego nigdy nie widziałam, i jego pięknym, starannym pismem. Pamiętam, że miał piękny charakter pisma. Zrodziła się między nami sympatia i wreszcie spotkał się z prawdą. Zaczęliśmy ze sobą chodzić – tak się kiedyś mówiło. Były to piękne chwile. Chłopiec nazywał się Żeliszaw Jordan Brzozowski.

Szkole zlikwidowano po około trzech miesiącach. Kiedy Niemcy pojawili się w kraju wprowadzili nową zasadę: każde dziecko, które ukończyło trzynaste lat, musiało iść do pracy. Zaczęłam więc pracować jako sekretarka u niejakiego Oscara Schmalta. Otworzył firmę Viehagentur i zajął pierwszy piętro budynku, w którym mieszkałam. Zatrudnił mnie, bo znałam nie

W pracy poznałam później pewnego Niemca z Bawarii, który nauczył mnie sprawnego pisania na maszynie (do dziś jeszcze potrafisz pisać szybko i umiejętnie od tego, czy jest dzień, czy noc). To było wówczas przydatną rzeczą dla siebie z przeciwnościami losu.

Praca u Schmalta była męcząca, bo spędzałam w niej prawie cały dzień. Zaczynałam o szóstej rano, kończyłam o dwudziestej pierwszej. Na szczęście w tej samej firmie pracował Żeliś. Na przerwach spotykaliśmy się, prowadziliśmy interesujące rozmowy.

Potem rozpoczęłam pracę w Lohmann Werke, u przedstawiciela niemieckiej firmy z Bielefeldu, który przejął zawodową szkołę techniczną w Pabianicach. Zatrudniona była tam też moja siostra, a brat Zenek pracował na nocną zmianę. Pomimo zmiany miejsca zatrudnienia ciągle utrzymywałam kontakt z moim Żeliszem. Wojna kreowała nasze losy. My jednak chcieliśmy żyć normalnie wbrew wszystkiemu. W trakcie przerw obiadowych razem wychodziliśmy na spacer. Staraliśmy się śmiać, patrzeć sobie w oczy. Chcieliśmy być szczęśliwi.

## Tajna maszynistka

W międzyczasie w Pabianicach zorganizowano Szare Szeregi, do których dołączyłam. Okazało się, że moja praca może się im przydać. Działając w konspiracji, przygotowywałam teksty dla młodzieży, dotyczące księgowości

innych dziedzin zatrudnienia, z których można było czerpać wiedzę zawodową. Celem było tajne nauczanie zawodu. Edukacja była już wtedy dla nas zakazana. Nie wolno było uczyć dzieci, dorosli także mieli całkowity zakaz. Kto podejmował się nauczania, był wysyłany do więzienia. Uczenie kogós stanowiło ryzyko. Po co Niemcom mądrzy i wykształceni ludzie?

Nie bałam się. W pracy siedziałam obok córki szefa urzędu pracy. Nigdy nie zwróciła uwagi na to, co robię. Zresztą nikomu nie wydawałam się podejrzana. Z nikim nie utrzymywałam zbyt głębokich kontaktów, bo byłam zajęta pracą. Nie opowiadałam o tym, co robię. Miałam świadomość, czym mogłoby się skończyć. Ponadto Szare Szeregi zabraniały dzielenia się informacjami. W biurze wszyscy mówili o mnie: „Ta panna Bartoszek to taka pracowita. Po pracy zostaje, żeby pisać”.

W rzeczywistości wyglądało to nieco inaczej. W godzinach pracy sporo robiłam dla konspiracji. Po godzinach zaś odrabiałam zaległości w oficjalnej pracy. Po zakończeniu wynosiłam tajne papiery zawinięte w sweter.

## Znak drugi

Pabianice zostały ogłoszone częścią Niemiec. Nie był to protektorat, jak Warszawa, tylko część Rzeszy. Nie wolno było posiadać radia, trzeba było oddać wszystkie psy. Wprowadzono godzinę policyjną. Obowiązywały przepisy prawa jak w Niemczech.

13 maja 1942 roku. Gdy obudziłam się tego ranka, doznałam czegoś dziwnego. Pierwszy raz poczułam, że dzieje się coś złego. Miałam jednak nadzieję, że to wrażenie spowodowane jest ogólną sytuacją w kraju, która siłą rzeczy wywoływała negatywne emocje. Wychodząc do pracy, jak nigdy powiedziałam do brata, który wrócił z nocnej zmiany:

– Zeniu, pożegnajmy się, bo może już się nie zobaczymy.

Oboje potraktowaliśmy moje słowa jako żart, ale i przestrogę, aby na siebie uważać. Myśleliśmy, że przecież nie może stać się najgorsze. A jednak. „My się nie zobaczymy” – te słowa dźwięczały mi przez cały dzień w głowie. Powodowały, że serce biło nieco szybciej.

Wyszłam do pracy jak co dzień. Miałam świadomość, że w firmie rozpoczęły się aresztowania. Jeszcze w czasie przerwy obiadowej zobaczyłam się z Żeliszem. Sudeck, dyrektor naczelny, po przerwie niespodziewanie przyszedł do mnie do pokoju i powiedział:

– *Fräulein* Bartoszek, *bitte*.

roszłam za nim do gabinetu, gdzie już czekali gestapowcy. Jeden z nich przywitał mnie złowrogimi krzykami. Wymachiwał dokumentami i pytał czy je poznaję.

– Widziała pani kiedyś te papiery? Pisała je? – wydzierał się.  
– Tak, ja je przepisywałam – odpowiedziałam spokojnie. Na tym polegała praca, na przepisywaniu. Otrzymywałam cały dokument z którego dla poszczególnych robotników obsługujących maszyny robiłam instrukcje po niemiecku. Nie znałam branżowych nazw i słownictwa, więc nie do końca rozumiałam, o czym piszę. Te dokumenty jednak poznałam. Były ściśle tajne. Zawierały informacje o częściach czołgów oraz samolotów. Ten konkretny dokument otrzymał ode mnie jeden z inżynierów, który był w konspiracji. Była wyspa, ktoś mnie wydał. Konspiratorzy nie zdążyli mnie uprzedzić.

Starałam się jednak wybronić z zaistniałej sytuacji. Wówczas nie było zamków w szafach, nie było też szaf pancernych. Każdy w biurze miał do nich dostęp.

Udawałam najwnętrzną dziewczynę, która nie wie, co robi, a ostatecznie robi to, co jej każą. Wyparłam się więc wszystkiego, nie wydając przy tym niczego. Bardzo pomogła mi znajomość języka niemieckiego. Znów w duchu podziękowałam Bogu, że zesała mi kuzynkę mamy z Elą. Mogłam sama się wytłumaczyć Niemcom, powiedzieć to, co chciałam, bez pomocy tłumacza. Oskarżyli mnie o to, że przekazałam tajne dokumenty w niepowołane ręce. Zaprzeczyłam.

– Przepisałam, co mi kazano, i schowałam do szuflady, do której nie mam kluczyka, więc każdy mógł zabrać papiery – powiedziałam. Niemiec sprawdził moje stanowisko pracy i stwierdził, że mówię prawdę. Rzeczywiście kluczyka nie było.

Kiedy gestapowiec oznajmił, że mnie zatrzymują, zdziwiłam się. Przecież byłam tylko maszynistką. Nie zdawałam sobie w ogóle sprawy z tego, co może nastąpić. Zaczęłam gorączkowo myśleć o tym, co powinienam zrobić. Od tej pory nie mogłam już się swobodnie poruszać, bo byłam prowadzona przez Niemca, a dodatkowo pilnowała mnie niemiecka sekretarka.

W tłumie ludzi z pracy dostrzegłam siostrę i starałam się jej powiedzieć, o co chodzi. Tak bardzo płakała, że nie była w stanie zrozumieć, co do niej mówię. Obok stał kolega. Zdążyłam do niego krzyknąć:

– Rysiek, biegnij do moich rodziców. Powiedz, żeby szybko tu przyszli. Mieszkaliśmy na drugim końcu ulicy. Rodzice zdążyli przybiec, aby się ze mną zobaczyć i pożegnać, zanim zostanie przewieziona do więzienia. Kiedy mama zorientowała się, co się dzieje, zaczęła płakać. Ściągnęła kurtkę

chciała mi ją oddać, żebym nie zmarzła. To był jednak 13 maja, nie spodziewałam się już chłodu, więc poprosiłam, aby ją zatrzymała.

Razem ze mną został aresztowany mój kolega Jan Frąckiewicz. Niemiec, który nas prowadził do samochodu, pozwolił mi porozmawiać z rodziną. A w chaosie, który zapanował wokół, Janowi udało się uciec.

Kiedy odjeżdżałam samochodem Gestapo, widziałam, jak mama i ojciec stoją na ulicy, patrzą w moją stronę i szlochają. Martwiłam się szczególnie o mamę, bo wiedziałam, że będzie to bardzo przeżywać. Tego dnia obchodziła swoje pięćdziesiąte urodziny. Wieczorem mieliśmy przygotować dla niej przyjęcie.

Zabrano mnie do więzienia przy ulicy Gdańskiej 13 w Łodzi, gdzie trafiłam do celi numer 13.

„Nie zobaczmy się więcej” – te słowa przypomniały mi się, kiedy stałam w zimnej celi. Żałowałam, że nie wzięłam od mamy kurtki, którą przyniosła. Pierwszej nocy w celi spałam na podłodze. Ktoś podzielił się ze mną paltem, którym się przykryłam, i zasnąłam. Nie miałam żadnych rzeczy na zmianę. Aresztowali mnie tak, jak stałam.

Bardzo chciałam spotkać się z rodziną, ale nie miałam z nimi żadnego kontaktu. Oni zaś długo nie wiedzieli, gdzie przebywam. Szukałi mnie. Poradziłam się innych więźniarek, co począć. Jak dać im znać, gdzie jestem i co się ze mną dzieje. Nie pomogły mi w tym zakresie, za to kazały mi wszyść w gumkę od majtek gryps z materiału włókienniczego, na którym powinienam zapisać ołówkiem kopiowym najistotniejsze informacje – przede wszystkim, że nikogo nie wydałam i rodzina jest bezpieczna.

Na szczęście rodzinie udało się zlokalizować miejsce, w którym się znajdowałam. Później, kiedy w każdy piątek więźniowie mogli dostawać paczki, i ja doczekałam się od mamy czystych ubrań i bielizny.

Na Gdańskiej pracowałam krótko jako szwaczka. Stanowisko pracy było na otwartej przestrzeni na podwórku. Szwaczki miały pewne przywileje, dostawały nieco więcej jedzenia. Kiedy zapytano mnie, czy potrafię przyszyć guziki, bo szwaczki w więzieniu to głównie robiły, chwaliłam się, że umiem, chociaż nie miałam pojęcia, jak zrobić to dobrze.

Na podwórku więzienia, gdzie pracowałam, znajdowała się otwarta brama. Pewnego dnia zażartowałam, że łatwo byłoby przez nią uciec... Po tej deklaracji nie wypuszczono mnie więcej do pracy poza areszt. Ktoś musiał donieść. Oczywiście ucieczka nie byłaby taka prosta, bo dookoła wszędzie porostawiani byli strażnicy. Nim dobiegłabym do bramy, zdążyliby mnie pewnie postrzelić w nogę, aby uniemożliwić dalszą ucieczkę, lub zabić na miejscu.



Pewnego dnia strażniczka zauważyła u mnie nóż, który właśnie posiadałam, aby pokroić chleb. Uznała, że to łamanie przepisów. Za karę wiodłam mnie do ciasnego karceru. Było to pomieszczenie tak małe, że nie mogłam się nawet położyć. Więzienie, w którym przebywałam, było przeznaczone dla walczących o Polskę. Siedząc w karcerze, rozmyślałam nad tym, ilu wcześniej ludzi zostało tu uwięzionych, ilu bojowników. Przebywanie w takiej celi, choć za brzmi to paradoksalnie, było dla mnie swego rodzaju zaszczytem. Stawałam się częścią historii. Tu carat przetrzymywał w 1900 roku Józefa Piłsudskiego.

Razem ze mną w celi siedziała pewna artystka, która pięknie malowała. Pamiętam, że na skrawkach papieru namalowała karty i nauczyła mnie grać w brydża. Innym razem z tych samych kart powróżyła mi i mojej rodzinie. Kompletnie się na tym nie znałam i nie wiedziałam, na ile mogę jej wierzyć. Według niej układ kart zwiastował śmierć kobiety. Gdy zobaczyła moje przesądzenie, nagle zmieniła zdanie. Powiedziała, że to tylko choroba. Jednak karty miały rację.

Pewnego dnia podczas codziennego, półgodzinnego spaceru po dziedzińcu podeszła do mnie znajoma, którą dopiero przywieziono do więzienia. Usłyszałam od niej, że dwa tygodnie temu odbył się pogrzeb mojej mamy.

– Kłamiesz! – krzyknęłam.

Nie chciałam w to uwierzyć. Myśl o śmierci mamy była dla mnie nie do zniesienia. Przypominałam sobie moment, gdy widziałam ją po raz ostatni, przed firmą. Tak bardzo płakała i cierpiała. O nic się tak nie modliłam do Boga, jak o to, żeby mama to wszystko przetrwała. Byłam bardzo rozczulona.

Nikt z rodziny nie napisał mi o śmierci, bo nie chciała, abym się zalała. Potem dowiedziałam się, że mama miała zaawansowaną gruźlicę i umierała w cierpieniach. Podobno kiedy majaczyła w gorączce, wołała: „Otwórzcie drzwi, otwórzcie, bo moje dzieci idą”.

Czasami mawiała, że to dobrze, że ma tyle dzieci, bo będzie miał kto iść za jej trumną. Nikt nie szedł. Tylko tata. Brat i ja byliśmy w więzieniu, siostry musiały uciekać przed aresztowaniem. Śmierć mamy dużo zmieniła w moim nastawieniu do życia. Zobojeźniałam na wszystko.

Nastał rok 1943. Sytuacja nieco się uspokoiła. Można było podслушать czasami, jak Niemcy mówili, że idą na wschód, do Rosji. Zaczęły docierać do nas informacje o obozie w Oświęcimiu. Do więzienia w Łodzi przywieźli moją znajomą, która – jak twierdziła – była w obozie, uciekła, ale niestety została złapana.

Kiedy mówiła o Auschwitz, opowiadała rzeczy tak nierealne, że nikt jej nie wierzył. Mówiła o wszach, głodzie, ciężkiej pracy i o tym, że jeśli ktoś nie miał siły pracować, był wysyłany na zagazowanie.

Przez trzynaście miesięcy przebywałam w więzieniu w Łodzi, a w czerwcu 1943 roku rozpoczęły się przygotowania do transportu do Oświęcimia. Niezależnie trzynaście podążała za mną, a może ja za nią. Chciałam ufać, że to znak. Znak, który zwiastuje dobre zakończenie mojej i rodzinnej sytuacji. Na tę chwilę nic jednak na to nie wskazywało. Nie było łatwo myśleć pozytywnie. W najgorszych chwilach człowiek szybko może stracić wiarę w Boga i człowieczeństwo. Jednak ja, tak jak uczyła mnie mama, wierzyłam w dobro. Ono w końcu musiało nadejść.

## Jest, świeci się Auschwitz

Przyjechałyśmy. Jest. Świeci się Auschwitz. Złowrogą nocą oświetlony bladymi lampami wystającymi ponad drutami. Z każdym krokiem dostrzegaliśmy więcej. Ludzi w pasiakach, esesmanów, psy. Z wagonu wysiadło nas około osiemdziesięciu kobiet. Wszystkie z łódzkiego więzienia. Każda z nas miała nieduży tobołek ze swoimi rzeczami.

Jeszcze tego samego dnia usłyszałam słowo „selekcja”, ale jego straszliwe, obozowe znaczenie poznałam znacznie później.

Kazano nam się rozebrać, ogolono głowy. Śmiesznie wyglądałyśmy bez włosów. Żydowska więźniarka zρέcznie wytatuowała na mojej ręce numer 44165. Dostałyśmy jakieś buty, koszule, w które wprasowane były wszy. Obrzydliwe!

Dookoła ciemno, świecą się tylko te blade światła.

Najgorsze wrażenie wywarło na mnie wejście do baraku. Nie wierzyłam w to, co widziałam. Tak musi wyglądać piekło! Wszędzie stały koje w trzech kondygnacjach, na każdej z nich leżały kobiety. Ale na tamtą chwilę nie byłam pewna, czy to na pewno kobiety. Kilkaś smutnych, wątych postaci w brudnych koszulach, bez włosów, krzyczących. Coś straszego. Jako nowa, czyli *Zugang*, dostałam miejsce na ziemi. To najgorsze. Było nas kilka obok siebie, a do przykrycia miałyśmy jeden koc, nie wiadomo było, czy lepiej się nim przykrywać, czy nie... Leżąc na ceglach, płakałam. Zrozumiałam, że to koniec. Przebywanie w tym baraku było najgorszym doświadczeniem od momentu przybycia do Auschwitz-Birkenau. Nie sam obóz, tylko ten barak, spanie na ziemi, tłum kobiet.

Naszą blokową na bloku 7 była Stenia, kobieta bardzo postulszna Niemcom i bardzo okrutna wobec więźniarek.

pracowałam na roli przy żniwach i zbiorach rzepaku. Język niemiecki tutaj nie był mi zupełnie potrzebny. Robiłam swoje i nie musiałam z nikim rozmawiać. Trwało to do października 1943 roku.

Pewnego dnia w baraku, w którym mieszkałam, ulokowano transport serbek. Było ich około osiemdziesięciu. Do obozu trafiły za pomoc partyzantom.

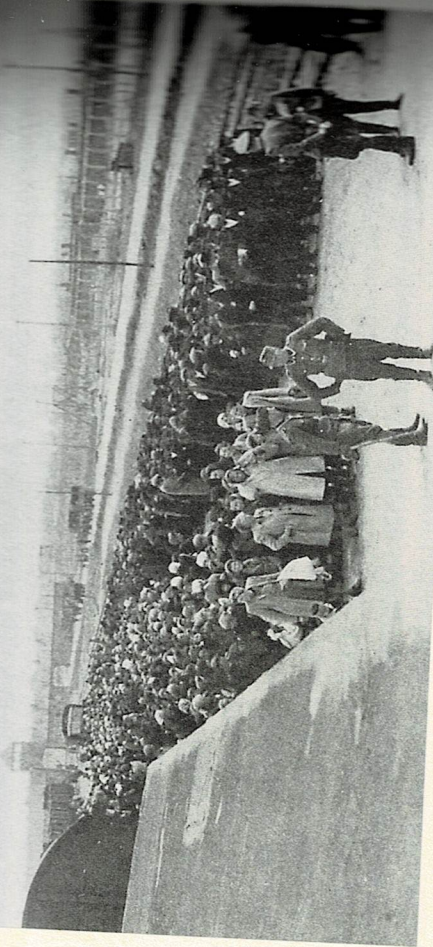
Kochałam poznawać to, co nowe, ciekawiło mnie wiele rzeczy i lubiłam usłyszeć się języków. Natychmiast zainteresowałam się serbskim. Szybko nauczyłam się kilku słówek i pomagałam dziewczynom pisać listy po niemiecku, tłumacząc również te, które dostały od rodzin. Listy w obozie można było pisać tylko w języku niemieckim, a ich treść ograniczała się do stwierdzeń: „nie jestem głodna, nie jestem chora, wszystko w porządku”. Prawdy nie mogliśmy powiedzieć, korespondencja była cenzurowana przez esesmanów. Miałyśmy jednak pewien sposób na przekazywanie ukrytych wiadomości. Pomędzy wersami wspominałyśmy fakty znane tylko rodzinie, między innymi imiona przyjaciół, czego przykładem może być list od mojej siostry.

Sporo ryzykowałyśmy. Gdyby Niemcy zorientowali się, że próbujemy przemyścić zakazane treści, przypłacyłybyśmy to życiem. Pamiętam, jak raz pomogłam młodej dziewczynie „zakodować” przy użyciu imion wiadomość, którą przelała do swojego chłopa. Co ciekawe, on wszystko zrozumiał i odpisał, postępując się tym samym „kodem”. Niemcy się nie polapali.

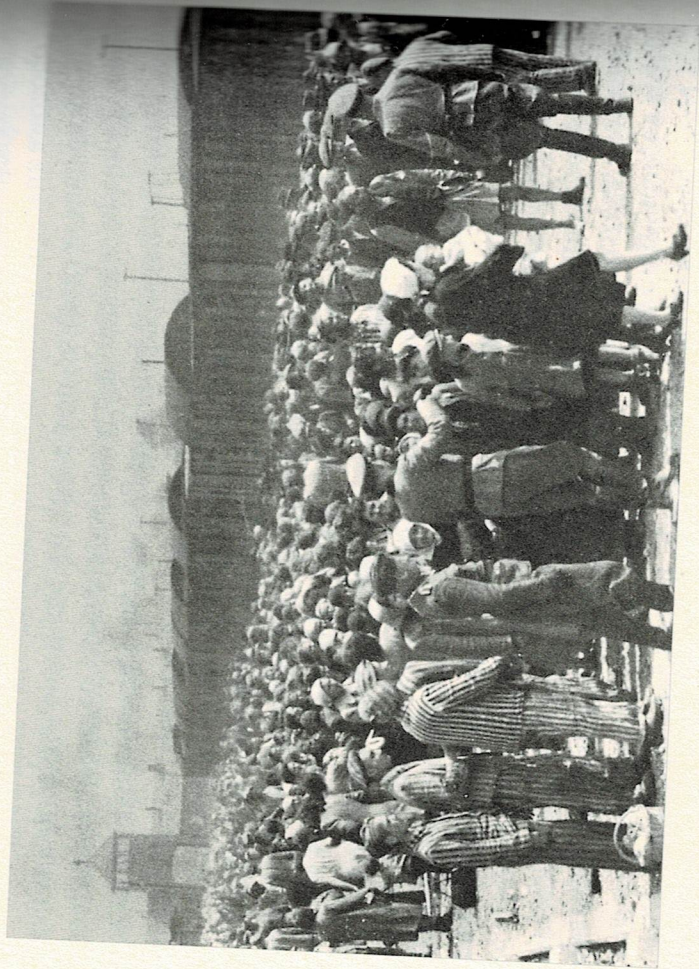
Kiedy razem chodziliśmy w pole do pracy, moja przystojna z językiem serbskim bardzo się przydała. Nikt poza mną nie potrafił się porozumieć z nowymi więźniarkami. Mogłam więc częściej odpoczywać w pracy, bo kiedy ktoś zapytał, dlaczego nie pracuję, mówiłam, że tłumaczę nowym Serbkom, co mają robić.

Pewnego dnia ja również otrzymałam list od rodziny. Dowiedziałam się z niego, że Zenia, mojego brata, gdzieś wywieźli, ale nikt nie wie, dokąd i czy w ogóle żyje. Pomyślałam, że spróbuję znaleźć wśród mężczyzn w obozie jakiegoś znajomego i zapytam o brata. W szeregu mężczyzn idących do pracy za drutami dostrzegłam znajomego ojca.

- Jestem córką Bartosza - powiedziałam.
- Kostka? - spytał mężczyzna. Nie pomyliłam się, to był pan Pański.
- Czy jest tu gdzieś Zenek, mój brat?
- Zenek? Nie, Zenek zginął w więzieniu - odpowiedział.



Początek selekcji Żydów. Podział na mężczyzn i kobiety na rampie w Brzezince, 1944 rok. Fot. Album Lili Jacob, nr neg. 24457-23=30



Dalsza selekcja Żydów na rampie w Brzezince. Fot. Album Lili Jacob, nr neg. 24457-38=41

patrzeć na te okrucieństwa w obozie. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety były w KL Auschwitz-Birkenau eksploatowani ponad siły. Po otrzymaniu wiadomości o śmierci brata zobjętniałam jeszcze bardziej. Nie były mi w głowie ucieczki, nie myślałam o przyszłości. Nie miałam zamiaru walczyć ponownie siły o przetrwanie. Postanowiłam wykorzystywać każdy dany mi dzień. Jeśli trzeba było zrobić coś nowego, zgłaszałam się. Kazali gdzieś pójść, szłałam – byłam zawsze pierwsza chętna. W ten sposób nie myślałam o śmierci. Poddawałam się losowi, nie licząc przy tym na ulgi czy łagodność. Co mi pozostało?

Krzepiące były tylko listy. Pisał tata, czasami coś przysłała koleżanka z Pabianic. Tylko dzięki nim tliło się w moim sercu ciepło i odradzała się chęć życia.

Nasza kochana Perelko!

Wielkie dzięki za Twój list, ten pierwszy z 12.7.43, otrzymałam go 26.7. Bardzo się z niego ucieszyliśmy. Jestem zdrowy, nadal pracuję i mieszkam, gdzie mieszkałem wcześniej. Posilki dostaję u Zygmunta. Pieniądże i paczki Ci przesyłę. Twój brat nie znajduje się już w Litzmannstadt, nie otrzymałem żadnej wiadomości od niego. (...) Mam listy pisać, jak przepisy mi każą. Wszyscy są zdrowi i cieszymy się, że napisałaś, że jesteś zdrowa. Serdecznie pozdrowienia i całuję Cię serdecznie. Twój Tato.

List od ojca Aliny Dąbrowskiej z 27 lipca 1943 r., archiwum rodzinne<sup>63</sup>

Moja kochana Alinko!

Jestem zdrowa, jak wszyscy tutaj. Nie dostaję listów od Ciebie, bo nie mamy poczty. Wysyłam Ci paczki. Pisz listy na adres odbiorcy, jak możesz. Myślę zawsze o Tobie i proszę Boga, aby Kasia mogła szybko przybyć do Eli. Całuję i pozdrawiam serdecznie moją kochaną siostrzyczkę i Elę też – Hesia.

List od siostry Henryki pisany kodem. Kasia odnosiło się do Aliny Dąbrowskiej (na drugie miała Katarzyna), Ela – to siostra Henryka (imię zapożyczono od jej znajomej Eli, hrabianki Popiel). Paczki, o których mowa, wysyłał pracownik na prośbę hrabianki. W przesyłkach były warzywa i owoce.

4 września 1944 r., archiwum rodzinne

<sup>63</sup> Cytowane listy do Aliny Dąbrowskiej zostały napisane po niemiecku. Tłum. Agnieszka Ruman.

Unsern geliebten Perle!  
Beides dank für den Brief den ersten, am 12.7.43 geschriebenen ich am 26.7. erhalten. Wir haben uns darüber sehr gefreut. Ich bin gesund, arbeitet wieder und meine nie früher. Essem bekomme ich bei Zygmun. Geld für Dich schicken ich meg. Hast mich. Hast über dich ist nicht mehr im Litzmannstadt und ich habe keine Nachricht von ihm. Deine Freundin me schreiben an Dich. (Was meint Du von Tante Lena? Hast ich die Briefe genau schreiben nie die bringe laudst? Alle sind gesund und freuen sich sehr, dass Du geschrieben hast und gesund bist. Herzliche Grüsse von allen ich liebe Dich. Niemand, Dein Tato.

List od ojca, który zwraca się do córki, tak jak mówił do niej w domu, czyli „Moja Perelko”, 27 lipca 1943 roku. Fot. Archiwum rodzinne

4 IX 44  
Meine liebe Alinka  
Ich bin gesund, so wie alle hier. Ich bekomme deine Briefe von Dir wie wir deine Post haben. Ich würde Dir Pakete schreiben nach Litzmannstadt wenn Du darfst. Ich denke immer von Dir, und bitte Gott dass Kasia schnell zum Eli kommt.  
Ich liebe und grüsse herzlich meine liebe Schwesterchen und Eli auch. Hesia

głód w obozie był naturalną sprawą. Każdego dnia umierały dziesiątki, jak nie setki ludzi wycieńczonych głodem. Zagłodzonych ludzi nazywano muzulmanami. Dostrzec można było ich wszędzie, w błocie na obozowym placu, leżących na pryzkach, kucających na rogu budynku. Wszyscy tak bardzo do siebie podobni. Jeszcze żywi, choć już martwi. Ostatnim etapem muzulmanstwa była oczywiście śmierć. Ten widok mnie przerażał.

## Nie myślałam o śmierci

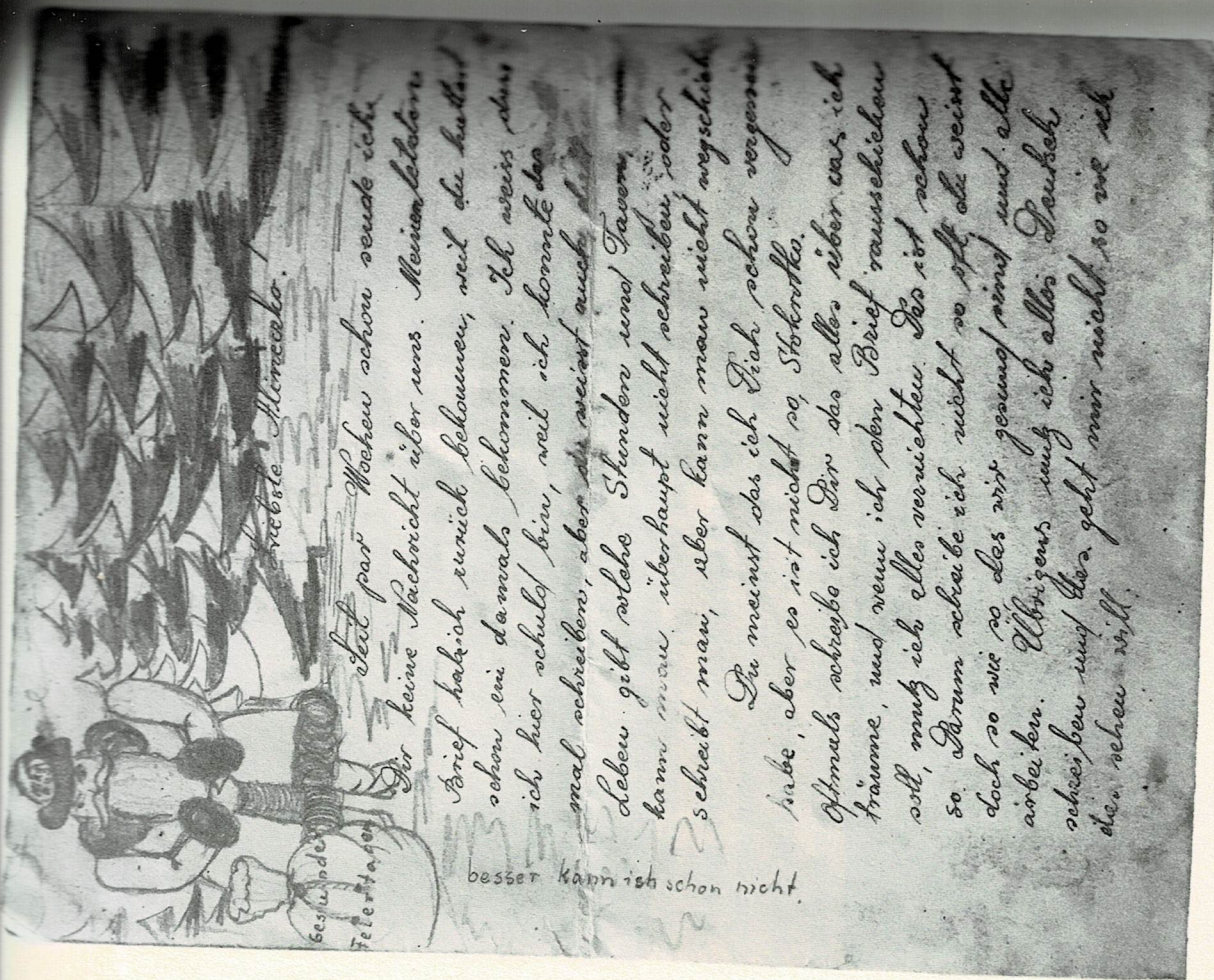
Kiedy wydawało się, że moja sytuacja w obozie, choć ciężka, jest ustabilizowana, nagle zachorowałam na tyfus. Podejrzewałam, że powodem choroby była szczepionka, którą podano mi z polecenia doktora Mengele. Tak. To była część eksperymentu. Badania były prowadzone na potrzeby nie tylko obozu, dziś już wiemy, że polecenie wyszło z Berlina. Niemcy szukali leku na tyfus dla swoich żołnierzy, a na kim, jak nie na nas, mieli robić eksperymenty?

Leżałam na rewirze wśród innych kobiet. Byłam tak chora, że niewiele pamiętałam z przebytej choroby. Wszystkiego dowiedziałam się z opowiadań. Utkwiło mi w pamięci jedynie okrutne pragnienie. Ziółka do picia podawało tylko rano i wieczorem. Kiedy w obozowym szpitalu pielęgniarka przyniosła rano miskę wody, w której myła po kolei każdą z nas (w tej samej wodzie), pobiegłam do niej szybko i zrobiłam kilka łyków. To była jedyna możliwość, by chwilowo ugasić palenie w gardle.

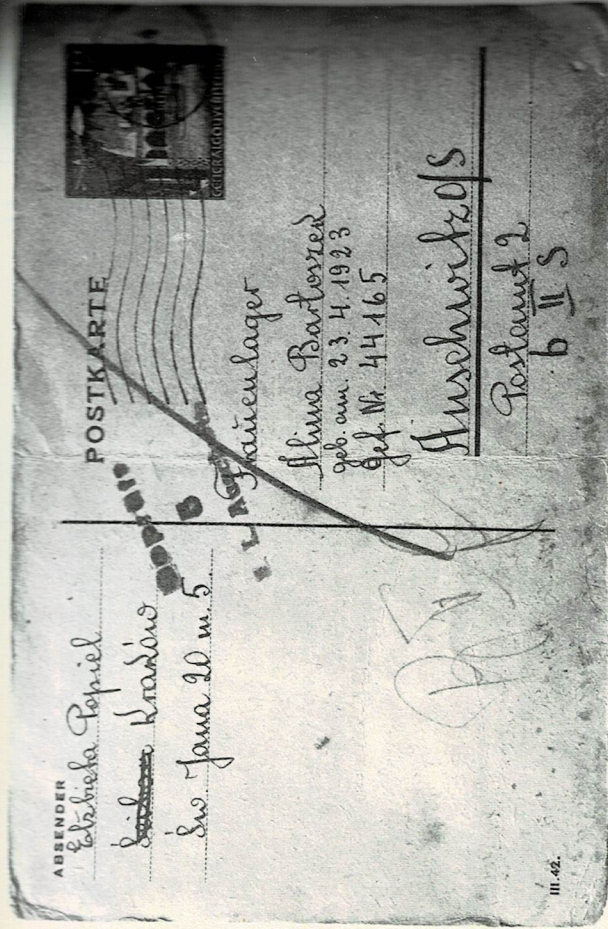
W gorączce śniła mi się mama. Przyjechała dorożką z beczką kwaśnej kapusty. Wstałam z łóżka i otworzyłam jej bramę, pod którą stała. Wydawało mi się, że widzę ją naprawdę. Nagle poczułam powiew chłodnego powietrza i usłyszałam kobiecy głos: „Co ty robisz?! Wracaj!”. To była pielęgniarka. Śniąc o mamie, wstałam i naprawdę otworzyłam jej bramę (a tak naprawdę drzwi baru szpitalnego). Bardzo za nią tęskniłam.

Minęło wiele czasu, nim doszłam do siebie po tyfusie. Podleczona, ale słaba, musiałam wrócić do pracy. Po powrocie na blok szczęście się do mnie uśmiechnęło. Któregoś dnia przyszedł Niemiec i zapytał, czy któraś z nas zna niemiecki i potrafi pisać na maszynie. Zgłosiłam się.

<sup>64</sup> Muzulman – zniekształcona forma słowa muzulmanin (niem. *Muselmann*), używana powszechnie w Auschwitz i w innych niemieckich obozach koncentracyjnych. W żargonie obozowym słowo to oznaczało więźnia skrajnie wycieńczonego z powodu głodu.



List wystany do obozu do pani Aliny. Fot. Archiwum rodzinne



Pocztówka, na której widać napis „Frauenlager”, czyli obóz kobiety, i pieczętkę z obrotu świadcząca o tym, że list przeszedł formalnie. Fot. Archiwum rodzinne

Byłyśmy trzy. Zabrali nas do nowej pracy, do budynku przy bramie głównej obozu. Najważniejsze było to, że pracę wykonywałyśmy pod dachem. W ten sposób uchroniłyśmy się przed robotami na *Aussen* w najzimniejszych miesiącach, od stycznia do marca. Gdybym zaraz po chorobie została wysłana do pracy na zewnątrz, kto wie, czy miałabym szansę przeżyć. Znów wspominałam małą Elę, dzięki której podjęłam decyzję o przejściu do klasy niemieckojęzycznej. Za jej sprawą mogłam podjąć się tego zajęcia i przetrwać kilka kolejnych miesięcy.

Jako maszynistki dostawałyśmy ciepłą herbatę i kawę. Byłyśmy odpowiedzialne za tworzenie wykazów Żydów straconych w obozie. Oczywiście nikt nigdy głośno nie mówił, że zostali zgładzeni, zamordowani. Według wykazów umierali na różne choroby. Przeważnie na zapalenie płuc.

Następnie zostałam protegowana przez koleżanki, które pracowały w szwalni, i wkrótce również do niej trafiłam. Moim zadaniem było łatanie dziur w kocach.

– Która z was tak to zszyła!? – krzyknął ktoś po kilku dniach, odkąd rozpocząłam pracę, wskazując na koc załatany skrawkami brudnego materiału, odstającymi i obszarpanymi dookoła.

– Ja – zgłosiłam się.

– Do poprawy! – usłyszałam.

Nikt mi nie powiedział, że brzegi skrawków trzeba zawiązać przed przyściem.

Lubiłam pracować w szwalni, bo poznałam tam ciekawe osoby. Jedną z kobiet pięknie wieczorami opowiadała przeczytane przed wojną książki: *Bojop* czy *Ogniem i mieczem*. Tą osobą była Seweryna Szmagłewska. Słuchałam jej z wielkim zaciekawieniem.

Kolejną pracę również dostałam dzięki znajomościom w obozie. Mąż koleżanki był pucybutem u szefostwa. On protegował do pracy swoją żonę, a ona protegowała mnie, ponieważ się lubiliśmy. Była to praca w *Effektenkammer*<sup>65</sup>. Był to magazyn rzeczy odbieranych więźniom obozu. Przedmiotem te pakowałyśmy do worków, opisując numerem więźnia. Początkowo rzeczy po zmarłych więźniach odsyłano rodzinie, później zaprzestano tych wysyłek. *Effektenkammer* znajdowała się na aryjskim bloku, zaraz obok krematorium. Po drugiej stronie mieściła się Kanada, gdzie Żydówki sortowały rzeczy po wymordowanych Żydach. Buty do butów, ubrania do ubrań, rzeczy do golenia razem i tak wszystko kolejno.

W *Effektenkammer* poznałam wspaniałą kobietę, Krystynę Żywulską. Była poetką i pisała w obozie wiersze. Uczyla się ich na pamięć, niektóre pamiętałam do dziś.

W aryjskim bloku organizowałyśmy niekiedy przedstawienia literackie. To było bardzo interesujące i pozwalało zapominać o tym, czego doświadczaliśmy w dzień. Nie brakowało tu przecież śmierci, cierpienia, łez. Ileż można było na to patrzeć? W bloku aryjskim pełniłam funkcję sztabowej. Do moich obowiązków należało przynoszenie śniadań i kolacji oraz sprzątanie na terenie bloku. Poznałam tam pewną Żydówkę z Francji, *madame* Cassis, która miała dwie córki. Pracowały w Kanadzie. Jedną z nich była nauczycielką francuskiego. Zaprzyjaźniłyśmy się. To ona nauczyła mnie podstaw języka francuskiego. Zaczęłam spełniać jedno ze swoich marzeń. Najczęściej rozmawiałymy po pracy.

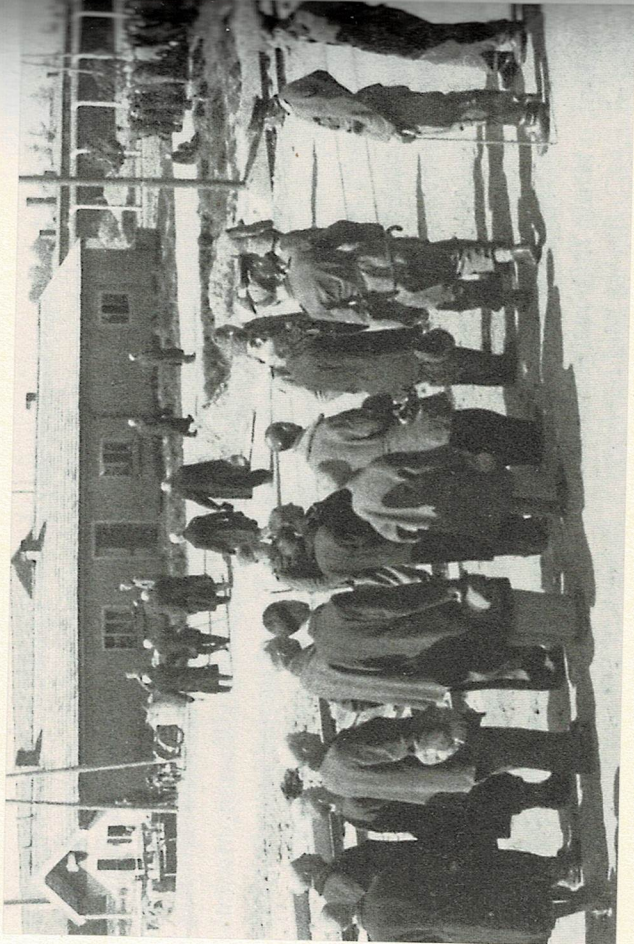
W Kanadzie było mnóstwo książek, których nikt już nie potrzebował. Literatura ta była napisana w różnych językach, ponieważ zabierano ją więźniom przywiezionym z różnych stron świata. Pamiętam, że przeczytałam wtedy filozoficzną książkę Fryderyka Nietzschego, napisaną w języku niemieckim, o tytule *Tako rzecze Zaratustra*.

<sup>65</sup> *Effektenkammer* – magazyn mienia więźniarskiego.

Do dyspozycji oficerów i więźniów w obozie męskim był burdel, tak zwany Puff. Prostyutek szukano oczywiście wśród więźniarek. Pamiętam, że zgłosiła się jedna, która była dziewczyną. Oficer nie dopuścił jej do tego zajęcia. Dziewczyna sądziła, że jako prostytutce będzie jej łatwiej przeżyć oboz, bo nie będzie musiała ciężko pracować w polu. Warto przy okazji wspomnieć, że każdy więzień posiadał swój winkiel, czyli trójkąt z numerem. Prostytutki miały naszyte na ubraniu trójkąty w kolorze czarnym, więźniowie polityczni, za którego byłam uznana również ja – czerwone z literą „P” (lub inną w zależności od kraju). Złodziejkom przydzielano trójkąty zielone, a tymi, które przybywały do obozu z uwagi na wyznanie religijne – fioletowe.

## Krematorium płonie

Niespodziewanie slychać krzyki, szum. Spoglądam za okno, a tam esesmani biegną z psami, gonią więźniów do bloków i kierują się w stronę krematoriów. Budynki, w których uśmiercano Żydów, wyglądały całkiem zwyczajnie.



Dalsza selekcja więźniów. Fot. Album Lili Jacob, nr neg. 24457-25=51

nie. W oknach nie było krat. Ludzie wchodzący do środka naprawdę mogli myśleć, że w pomieszczeniach odbędzie się kąpiel!

A teraz to wszystko stało w ogniu. Krematorium III widzę w płomieniach! Podpalili je Żydzi. Kilku z nich pozostało w środku. Z wnętrza budynku dochodziły słowa hebrajskiej pieśni<sup>66</sup>.

Skąd wiedziałam, że za podpaleniem stali Żydzi? Po pierwsze, widziałam ich biegających dookoła krematorium, chowali się w zakamarkach, za murami. Niemcy do nich strzelali, wyciągali ich z prowizorycznych kryjówek i bili. Panowały totalny chaos, gwar i przemoc. Po drugie, tego samego dnia wieczorem, jadąc z wózkiem po koloację dla więźniarek do miejsca oddalonego o trzy kilometry, widziałam Żydów leżących na ziemi z twarzami w dół. Ręce trzymali na głowach. Potem Niemcy rozstrzelali co dziesiątego.

Kiedy miesiąc później Niemcy przenieśli kobiety do obozu macierzystego, wiedziałam, jak cztery Żydówki zostały powieszzone za dostarczenie prochu do wysadzenia krematoriów. Niemcy stali przed nimi i donośnym głosem, aby wszyscy zgromadzeni usłyszeli, odczytali po niemiecku: „Tak zginie każdy, kto podniesie rękę na państwo i naród niemiecki!”

Tego typu egzekucje były robione na pokaz i każdy musiał na nie patrzeć. Miały być przestrogą dla więźniów, unaoczniały, co może ich spotkać za złamanie obozowego prawa.

## Nie do wiary

W tym czasie niemił bezustannie odbywały się transporty do innych obozów. Dwa tygodnie po powstaniu Żydów w krematorium i mnie czekała wywózka.

<sup>66</sup> 7 października 1944 r. w obozie Auschwitz doszło do buntu *Sonderkommando*. Wydarzenia z jesieni 1944 roku to największe w historii obozu powstanie więźniów. Pod koniec lata, gdy malała liczba transportów do Auschwitz z Żydami skazanymi na zagładę, nazisci postanowili sukcesywnie likwidować więźniów *Sonderkommando*. We wrześniu zabili ok. 200 osób. Pozostali zdawali sobie sprawę z zagrożenia. Zaplanowali bunt. Plan więźniów zakładał wyśadenie krematoriów, podpalenie baraków, przecięcie drutów i masową ucieczkę. Dysponowali prymitywnymi granatami, do wykonania których użyli materiału wybuchowego zdobytego od więźniarek pracujących przy demontażu starych samolotów. Niemcy szybko wpadli na ich trop, co spowodowało represje i liczne ofiary. Zginęło 451 więźniów. Pozostałych przy życiu hitlerowcy umieścili w krematorium III. Po stłumieniu buntu Niemcy wszczęli dochodzenie, skąd więźniowie mieli proch. Ustalili, że dostarczyły go cztery żydowskie dziewczęta zatrudnione w fabryce. Roza Robota, Ala Gertner, Regina Safirsztain i Estera Wajcblum zostały powieszzone w styczniu 1945 r., na 21 dni przed wyzwoleniem obozu.

Grupę dwudziestu kobiet, w tym mnie, przygotowano do transportu. Każda z nas stała z miską oraz niewielkim tobołkiem swoich rzeczy. Poszedł do nas jeden z głównych szefów obozu i dopytywał, dokąd się wybieramy. Poinformowałyśmy, że wysyłają nas do innego obozu. Zapytał, gdzie pracowałyśmy. Odpowiedziałyśmy zgodnie z prawdą, że w *Effektenkammer*. Okazało się, że Niemiec nie lubił szefowej naszego komanda i postanowił zrobić jej na złość. Wbrew jej woli nie pozwolił nam opuścić Auschwitz. Skierował nas do pracy w głównym, męskim lagrze. Ta praca była najlepszą jaką mogła się przytrafić w obozie. Znalazłyśmy się w budynku reprezentacyjnym, czyli tym, który pokazywano delegacjom z zagranicy. Trudno było uwierzyć w panujące tam warunki: zmieniano nam pościel, pozwalano się wykąpać, nawet miałyśmy łazienkę! Zajmowałyśmy się sortowaniem ubrań, które po przyjeździe do Auschwitz zostały odebrane więźniom razem z innymi osobistymi rzeczami.

## Banda z Oświęcimia

18 stycznia 1945 roku rozpoczął się Marsz Śmierci do Wodzisławia. Pamiętam, że było bardzo zimno. Dzięki temu, że pracowałam przy ciuchach, zdołałam dla siebie płaszcz, więc byłam ubrana ciepło. Ci, którzy nie mieli niczego poza obozowym pasiakiem, po drodze zamarziali. Podczas marszu niektórym więźniom udało się uciec. W tej grupie była między innymi Zygwulka.

Szliśmy dzień i noc. Dotarliśmy w końcu do pociągu, który zawiózł nas do Ravensbrück. Przejeżdżaliśmy przez zbombardowany Wrocław. W Ravensbrück byłam trzy tygodnie. Nazywali tu nas „bandą z Oświęcimia”. Nie mieliśmy obóz nie był przygotowany na napływ takiej liczby więźniów. Tysiące osób. Nie było gdzie spać, więc razem z koleżanką zrobiliśmy sobie postanie na deskach, które znalazłyśmy. Chodziliśmy z tymi deskami cały dzień, aby nikt nam ich nie ukradł, bo nie byłoby się na czym położyć. Niemcy dawali nam niewiele do jedzenia (najczęściej chleb), więc zakradałyśmy się do kotła. Na obiad dostawaliśmy gorącą zupę, to było bardzo ważne, bo była zima. Miska ciepłego, rzadkiego płynu może i na krótko, ale ogrzewała. Kiedy więźniarki niosły kotły, podbiegałyśmy i napelniałyśmy miskę zupą. Za takie zachowanie byłyśmy bite kijami, ale cóż, trzeba było sobie jakoś radzić.

Kolejnym obozem, do którego trafiłyśmy, był Malchow. Obóz tylko dla kobiet. Tam głównym zajęciem była praca w tartaku, gdzie ścinałyśmy drzewa i na własnych barkach przynosiliśmy je w wyznaczone miejsce. To w tym

obozie pojawiała się we mnie pierwsza iskra nadziei na odzyskanie wolności. Znalazłam kawałek niemieckiej gazety, w której pisano o konferencji w Jaltie. Ta wiadomość mnie ucieszyła. Oznaczało to, że koniec Niemiec jest bliżej. Następnie trafiłam do Buchenwaldu, pierwszego w historii niemieckiego obozu koncentracyjnego. Najpierw skazywano tu komunistów, później nazistów. Buchenwald miał kilkanaście podobozów. Dalej skierowano nas do Lipska.

## Dokąd teraz?

W Lipsku sprzątałam kwatery dla wojska. Około 11 kwietnia 1945 roku rozpoczął się mój drugi Marsz Śmierci. Jedną koleżankę, odbierając przydział posiłków, dostała na naszą czwórkę kostkę margaryny, bez chleba. Wydziałła więc co dzień po jednej łyżce każdej z nas. Ufałyśmy jej. Byłam wtedy bardzo głodna.

Któregoś popołudnia nastąpiła chwila odpoczynku. Znalazłyśmy się na łące. Kobiety siedziały pod drzewami, leżały w wysuszonej po zimie trawie. Nagle usłyszałyśmy hałas. Nadleciały samoloty. Rozpoczęło się ostrzeliwanie. W naszą stronę z góry padały strzały, wtedy postanowiłam do koleżanek. – Jeśli mam umrzeć, to na wolności – powiedziałam do koleżanek. Chciałam przed śmiercią jeszcze raz poczuć smak życia. Nie miałam nic do stracenia.

Zaczęłyśmy się wspólnie zastanawiać, co zrobić. Uznałyśmy, że najlepiej będzie, jeśli podejść do jednego ze strażników, który wydawał się mieć ludzkie podejście do więźniów, i szczerze mu powiem, że chcemy uciekać, bo tu nas czeka pewna śmierć. Nie mamy co jeść, nie wiadomo, dokąd idziemy. Tak też zrobiłam. Strażnik odparł, że jest Austriakiem i gdyby miał cywilne ubranie, sam by uciekł.

Było nas w grupach tysiące. Wiele kobiet padało z wycieńczenia lub głodu. Kiedy więc ukazał się naszym oczom kopiec kartofli, postanowiłyśmy skorzystać z okazji. Ukrainki pobiegły w jego stronę, aby zjeść surowe ziemniaki. Dzięki temu powstało zamieszanie, które wykorzystaliśmy z moimi towarzyszkami marszu. Za Ukrainkami pobiegli esesmani.

– Idziemy! – krzyknęła koleżanka. Ruszyliśmy więc przed siebie. Całe szczęście, że byłyśmy ubrane po cywilnemu. Nie rzucaliśmy się w oczy, ale mimo to nie pozostaliśmy niezauważone. Widząc próbę ucieczki, jeden z Niemców wycelował w nas karabin. Na co Austriak, z którym rozmawiałam, powiedział do niego: „*Lass sie gehen*”, czyli „Zostaw, niech idą”.

Czy pozwolono nam odejść ze względów humanitarnych? Sądzę, że przede wszystkim stało się tak dlatego, że strzelanina wywołałaby jeszcze większy chaos, z którym strażnicy by sobie nie poradzili. Uciekłoby jeszcze więcej osób. Strażnicy z pewnością sądzili też, że znajdą nas po drodze albo że nie, słabe i głodne, wkrótce się wykończymy.

Tak czy inaczej, udało nam się oddalić od grupy więźniów.

## Samotna chata

Powrót do domu trwał długo, a drogi były zawile. Jedną noc przespaliśmy w lesie. Potem dotarliśmy do samotnej, oddalonej od drogi chaty. Mieszkańcy tego domostwa nie wiedzieli nawet, że gdzieś w oddali idą więźniowie. Samotna chata była własnością kobiety, matki dwójki dzieci. Dzięki temu, że miałyśmy cywilne ubrania, nikt nie domyślił się, że uciekłyśmy z obozu. Mówiliśmy, że ledwo uszliśmy z życiem podczas bombardowania fabryki i że się zgubiłyśmy. Niemka pozwoliła nam spać w stodole. Było nam dane spędzić tam dwa tygodnie. Kobieta nam gotowała, a nawet dostała na nas kartki żywnościowe.

Wreszcie nadeszły wojska rosyjskie. Żołnierze dali nam jedzenie, nocleg i zobowiązali się, że pomogą nam przedostać się na drugą stronę Łaby. Udało się! Trafiliśmy wreszcie na polskiego oficera. Za pracę w szpitalu, którą nam zaferował, miałyśmy otrzymać od niego pomoc. Pamiętam, że brałam udział w operacji mężczyzny. On był ranny, a ja podczas zabiegu trzymałam mu nogi. A raczej trzymałam się jego, aby nie zemdleć.

Kiedy w nocy z 8 na 9 maja 1945 roku ogłoszono koniec wojny, wszyscy więźniowie, ranni i zdrowi, wyszli przed budynek, w którym przebywaliśmy, i wystrzelili z broni. Zrobiło się głośno, panował jeden wielki huk. Wolność! Później razem z rannymi żołnierze zabrali nas do Poznania, gdzie udaliśmy się do PUR-u<sup>67</sup>. Dwa dni po zakończeniu wojny, czyli 11 maja 1945

<sup>67</sup> PUR – Państwowy Urząd Repatriacyjny. Został powołany na mocy dekretu PKWN z 7 października 1944 r. Jego zadaniem była początkowo organizacja „repatriacji” (jak ówczesnie nazywano repatriację, czyli przymusowe wysiedlenie ludności z rodzinnych stron) ludności na pojałtańskim terytorium Polski. W wyniku reorganizacji dokonywanych w ciągu 1945 r. rola PUR uległa zmianie, gdyż dekret z 7 maja 1945 r. rozszerzył zakres działania urzędu o migrację wewnątrz terytorium państwa, nakazując jego kierownictwu organizowanie „powrotu wysiedlonych przez niemieckiego okupanta do poprzednich miejsc zamieszkania” oraz „przesiedlenia na tereny odzyskane ludności z innych okręgów państwa polskiego”, jednocześnie podporządkowując go Ministerstwu Administracji Publicznej.

roku, byłam już w Pabianicach. Udałam się tam, gdzie przed aresztowaniem mieszkałam z rodziną. Dozorczyni poinformowała mnie, że w mieszkaniu już przebywa ktoś inny. Zaprosiła mnie, abym u niej przenocowała, a rano przyprowadziła tatę i moją siostrę Henrykę.

Cieszyłam się z powrotu do domu. Brakowało mi jednak mamy. Później dowiedziałam się także, że mój Żelisław zginął w Dachau. Chciał uciec z obozu, ale niestety nie przeżył.

## Powrót do życia

Jeszcze przed wrześniem 1939 roku spodziewaliśmy się, że wojna przyjdzie wcześniej czy później. Nikt jednak nie przewidział, jak bardzo będzie to bezwzględny, okrutny dla nas czas.

Pierwszego września 1939 roku zegnaliśmy żołnierzy idących na wojnę. Dookoła panował entuzjazm. Nikt nie myślał o przegranej. Wszyscy krzyčili: „Przywieźcie nam głowę Hitlera!”.

Mój brat Zenon znalazł się za frontem i aby przeżyć, razem z kolegą schowali się w kartoflisku. Po dotarciu do domu w 1939 roku widział, jak rosyjskie wojska wchodzą na teren naszego kraju. Był przekonany, że trzeba walczyć z okupantem, podejmował wiele działań konspiracyjnych na terenie Pabianic. Utrzymywał kontakt z harcerzami, a zbiórki nastawione były na walkę przeciwko Niemcom. Wstąpił do Szarych Szeregów. Później i mnie zaproponował zaangażowanie się w podobne działania. Mama zauważyła, że jesteśmy z bratem blisko, że łączą nas jakieś tajemnice.

– Tylko żeby Zenek nie namówił cię do jakiejś akcji! – powiedziała do mnie któregoś dnia. Wtedy już dawno byłam po przysiędze w Szarych Szeregach. Mama zresztą również na własną rękę, po kryjomu, pomagała wielu ludziom, chowała ich na strychu i dokarmiła.

– Powiem wam po wojnie, co ja robiłam! – mawiała do nas często, zadawolona z siebie.

Życie po obozie było dla mnie trudne. Nie umiałam się dostosować do normalnego życia. Pomogły mi wtedy spotkania z przyjaciółmi. Osobami, których wojna – tak jak mnie – nie oszczędziła. Nasze rozmowy pozwoliły mi oswoić się z przeszłością.

W lutym 1946 roku byłam już po maturze. Wkrótce zostałam studentką akademickich nauk politycznych w Warszawie. 17 lutego 1947 roku zostałam zatrudniona w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i to była praca



mojego życia. Tam poznałam swojego męża. Tej pracy zawdzięczam wszystko: dom, dzieci, podroże.

W Ministerstwie Spraw Zagranicznych zajmowałam stanowisko w dziale traktatowym w Departamencie Umów Międzynarodowych. Często wyjeżdżałam w delegacje służbowe, jeździłam po całym świecie. Prywatnie także zawsze chciałam wyjeżdżać, zwiedzać.

Wiele lat spędziłam z mężem w Chinach. Pragnęłam pojechać do Paryżu oraz do Lourdes i udało mi się. Podczas ślubu księżnej Diany przebywałam w Londynie i widziałam ceremonię zaślubin. Byłam świadkiem kanonu zacji Jana Pawła II i siostry Faustyny.

Bardzo znamienne i symboliczny okazał się wyjazd do Genewy w 1972 roku. Wtedy na poziomie ministerstw Polski i Niemiec została podpisana umowa dotycząca ofiar pseudomedycznych eksperymentów. A ja, będąc byłą więźniarką Auschwitz, na której te eksperymenty także zostały przeprowadzone, podawałam przedstawicielom państw dokumenty do podpisania.

Cieszę się z tego, co przydarzyło mi się pięknego. Spełniłam wiele swoich planów. Dziś znam kilka języków: angielski, niemiecki, francuski, rosyjski, węgierski oraz łacinę.

W moim życiu wiele było symboliki. Opatrzność nade mną czuwała. Byłam i nadal jestem ciekawa świata i wydarzeń. Jestem przywiązana do rodziny, wrażliwa na sprawy społeczne i zawsze gotowa do pomocy. Przeżyłam interesujące życie.

## Auschwitz to piekło

Kiedyś zastanawiałam się, jakie dźwięki kojarzą mi się z Auschwitz. Pierwszy z nich to krzyk Cyganów, którzy wygnani z baraku wiedzieli, że idą do gazu. I my też o tym wiedzieliśmy. Drugi dźwięk to hałas, jaki usłyszałam, wchodząc do baraku zaraz po przyjeździe do obozu. Strasznie głośne rozmowy kobiet, jakby każda jedna chciała przekrzyczeć pozostałe. Ten chóralny wrzask zapamiętałam do końca życia. Kolejne dźwięki zapamiętane z obozu to muzyka grana przez orkiestrę obozową, którą dyrygowała Alma Rosé.

Przez pięćdziesiąt lat po ucieczce z Marszu Śmierci nie odważyłam się pojechać ponownie do Auschwitz. Unikałam rozmów na ten temat. Poczatkowo udawałam, że nie poznaję osób związanych z obozem, które spotykałam na ulicy. Zawsze miałam przed oczami płonące krematoria i ludzi idących do gazu. To był obraz, który mnie długo nie opuszczał. Nie chciałam mieć żadnych wspomnień związanych z tym miejscem, za wszelką cenę

broniliam się przed nimi. Przez wiele lat zakładałam tylko długie bluzki, aby zakryć numer obozowy wytatuowany na mojej ręce. To wszystko tkwiło we mnie.

Przeżyłam eksperymenty doktora Mengele prowadzone w Oświęcimiu. Widziałam stopy trupów. Żydów prowadzonych na pewną, brutalną śmierć, mordowane dzieci. Nie sposób o tym nie myśleć. Ci, którzy mówią, że czas leczy rany, nie mają racji.

Od kilku lat jednak mocno udzielałam się w sprawach Auschwitz. Jeździłam po Niemczech i Polsce, uczestnicząc w spotkaniach z młodzieżą. Mówię o moich wspomnieniach na spotkaniach w szkołach. Udzielałam też wywiadu do BBC i do naszej telewizji. Za swoją działalność otrzymałam Medal „Pro Patria”<sup>68</sup>. To ważne, aby mówić o Auschwitz, ja to robię, bo zdaję sobie sprawę z tego, że po doświadczeniu tak strasznej historii świat nadal ma tendencję do niszczenia życia ludzkiego.

Uważam, że obóz był moim przeznaczeniem. Poznałam w nim tak wiele ludzkiego okrucieństwa. To jest historia.

<sup>68</sup> Medal „Pro Patria” – polskie resortowe odznaczenie cywilne, przyznawane przez kierownika Urzędu do Spraw Komendantów i Osób Represjonowanych. Uchonorowane nim mogą być osoby i instytucje „za szczególne zasługi w kulturowaniu pamięci o walce o niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej”.

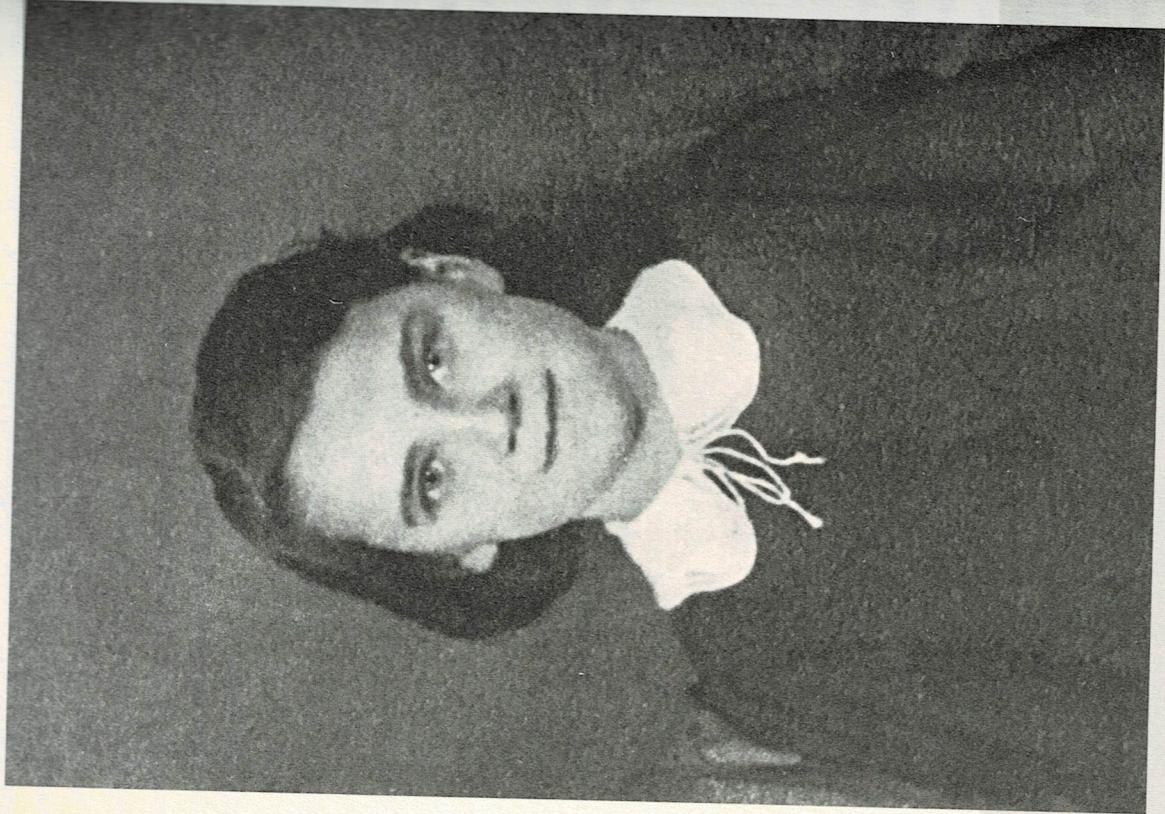
Nr obozowy: 8737

WALENTYNA NIKODEM z domu Ignaszewska

Urodzona: 14 lutego 1922 roku

Data wywózki do Auschwitz: 26 lipca 1942 roku

Obozy koncentracyjne: Auschwitz-Birkenau,  
Flossenbürg



Walentyna Nikodem (fragment zdjęcia), 1940 rok.

Fot. Archiwum rodzinne

*Drechsel to była esesmanka, która potrafiła złapać kobietę i ją dusić. W najlepszym wypadku.*

## WALENTYNA NIKODEM

### To ona złapała Drechsel

W obozie przebywała prawie trzy lata. W Auschwitz zginęła jej mama. Była świadkiem bestialskich poczynań esesmanek. To ona pod koniec wojny spotkała jedną z najokrutniejszych morderczyń i doprowadziła do jej powieszenia.

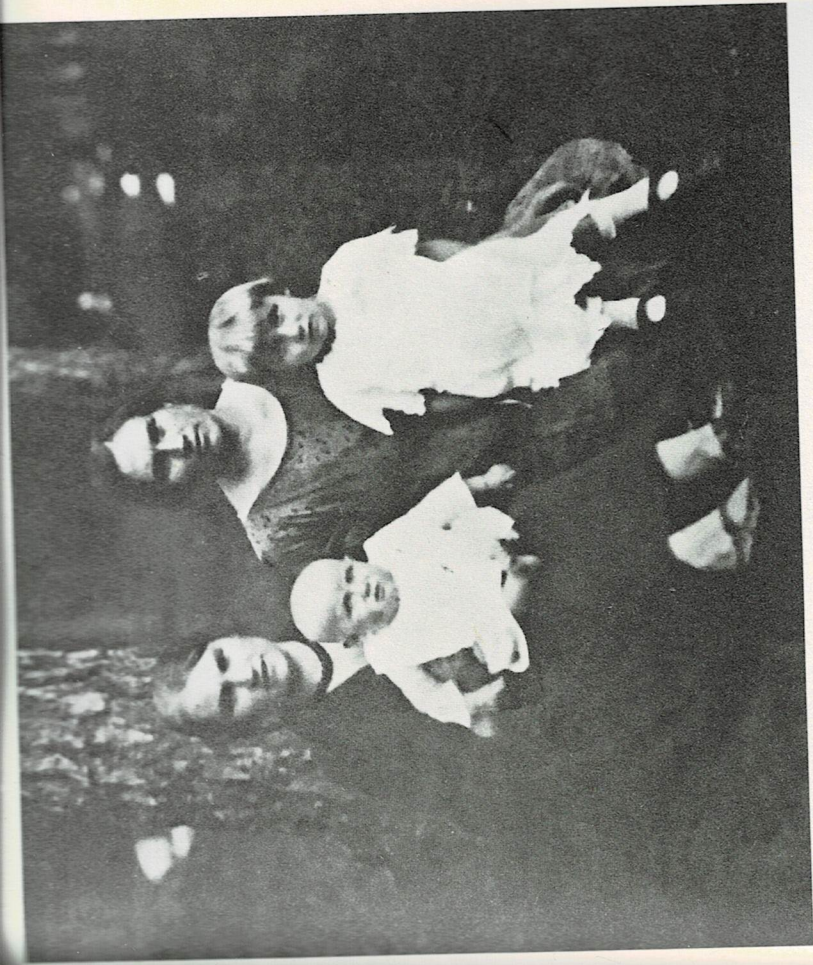


Walentyna z braćmi, Kazimierzem (8 lat) i Jerzym (3 lata), Łódź, 1928 rok.  
Fot. Archiwum rodzinne

## Choinka

To był 6 grudnia 1942 roku. Potworny dzień. Nie mogę go zapomnieć.

O czwartej nad ranem orszak nagich kobiet, wychudzonych tak bardzo, że widoczne były wszystkie kości na ich zgarbionych ciałach, wprowadzono przed obóz. Szły pod wiatr wątle i słabe, podkurczając dłonie pod pachami, jakby chciały się okryć choć trochę i ogrzać własnymi rękami. Twarze miały wykrzywione w nieustającym bólu. Zbliżała się zima. Wiatr zaciął w ich



4-letnia Walentyna siedzi na kolanach cioci Józefy (siostry mamy), obok mama Walentyny z małym Jurkiem. Fot. Archiwum rodzinne

ciała deszczem na przemian ze śniegiem. Patrzyłam na nie w milczeniu, dła-  
wiąc w sobie niepokój i płacz. Byłam jedną z nich.

Tymczasem esesmani szykowali nasze ciuchy i koje do odwzienia. Wszy-  
wacie były utrapieniem więźniów. Grube jak ziarna ryżu insekty rozprze-  
strzeniały się wszędzie: w ubraniach, w krótko obciętych włosach i starych  
kocach, którymi się okrywałyśmy. Nie sposób było się ich ustrzec. Rozwija-  
ły się tam, gdzie panował brud, a ten w obozie był dosłownie wszędzie.

Godziny mijały powoli. Stałyśmy nieruchomo w zimnie do czwartej po  
południu. Nie wszystkie dotrzywałyśmy do ponownego otwarcia bram. Część  
kobiet, te słabsze lub chore, upadła na ziemię i ich nagość zdążył już oprószyć  
śnieg. Zastygły tak na zawsze.

Gdy brama obozu Brzezinki została otwarta, wyruszył w naszą stronę  
kordon esesmanek. Każda z nich miała w ręku pałkę do bicia. Zaraz przy

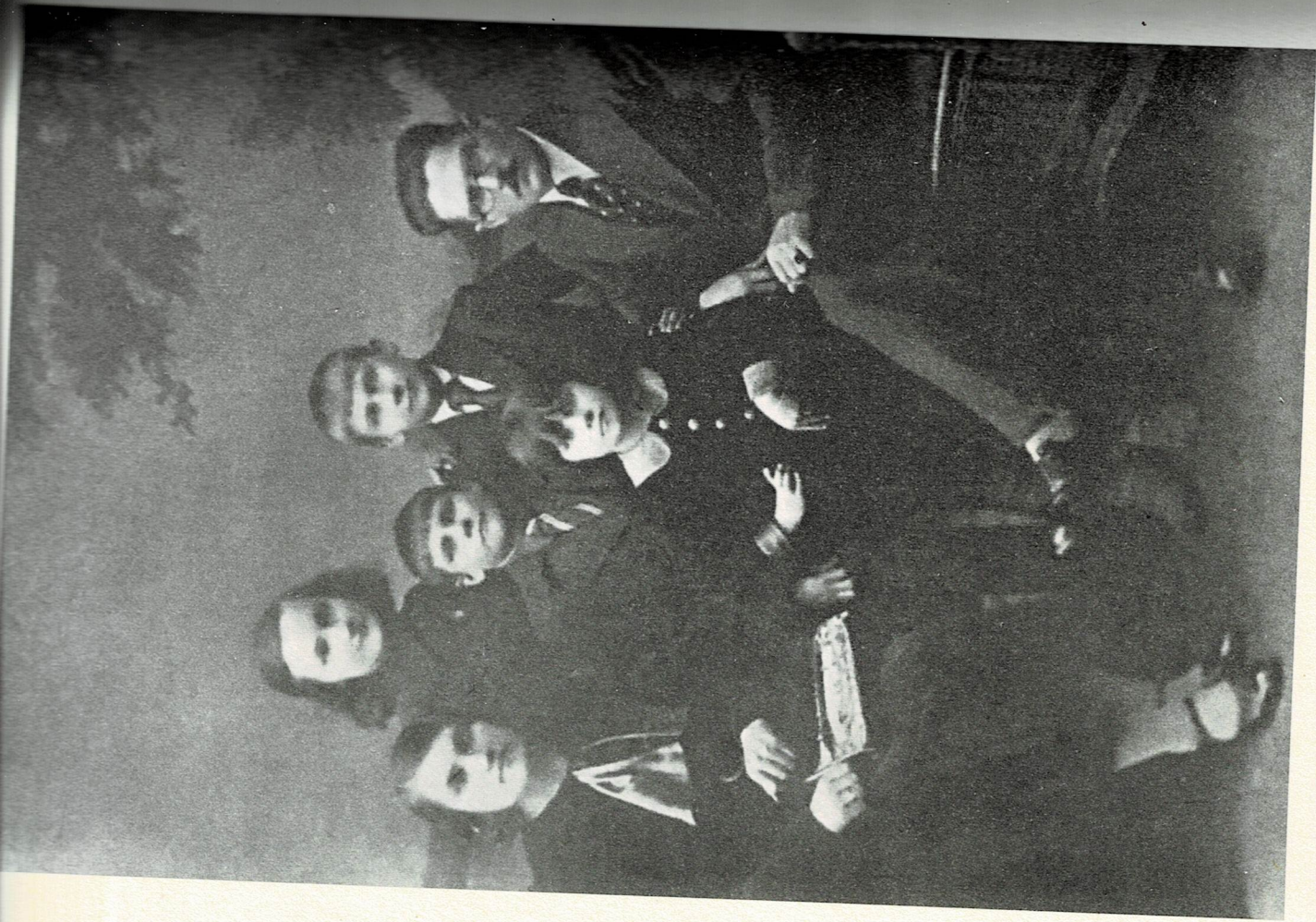
Walentyńska w wieku  
13 lat. Fot. Archiwum  
rodzinne



nich jechał już samochód gotowy do pozierania trupów osób, które padły podczas tego apelu i nadzwyczajnego odwołania. Wiedzieliśmy, co zaraz może nas spotkać.

Biegiem! Gnałyśmy przed siebie czwórkami lub piątkami w stronę bram, by minąć z dala wściekłe esesmanki. Bez skrępułów były drewnianymi pałkami umęczone i tak kobiety. Waliły, gdzie popadło. Po brzuchu, głowie i po nogach cienkich jak patyczki. Jeśli zabiły, to trudno. Takich jak my było tu pod dostatkiem.

Byłam słaba. Dopiero co chorowałam na tyfus. Koleżanka podpierała mnie swoim ramieniem i ciągnęła najszybciej, jak umiała, aby tylko zdążyć przejść przez bramę, nim ktoś zwróci na nas uwagę. Pewnym krokiem w stronę więźniarek szła Drechsel. Ideowa hitlerówka! Najgorsza i najokrutniejsza ze wszystkich esesmanek, jakie spotkałam w obozie. W dłoniach trzymała laskę, którą każdą upatrzoną kobietę łapała za szyję i z impetem zaciągała brutalnie do rowu przy drutach. Nikt nie wiedział, jakim kryterium się kierowała. Czy ktoś biegał za wolno, a może wyglądał gorzej od wszystkich pozostałych? Z rowu taką ofiarę razem z trupami samochodu zabierał do zagazowania.



Cała rodzina państwa Ignaszewskich, Łódź, 1937 rok. Fot. Archiwum rodzinne

Aniela i Ignacy  
Ignaszewscy, rodzina  
Walentyńcy.  
Fot. Archiwum  
rodzinne



Drechsel potrafiła schwytać kobietę i ją dusić. W najlepszym wypadku, Zdarzało się bowiem, że przewracała ofiarę i na jej szyję stawiała wojskowym buciorem, zabijając od razu. Gdy wchodziła na apel, nagle i nasze blokowe stawały się groźne! Bały się jej, więc chciały pokazać, że potrafią być surowe na jej wzór. Ona jednak sama lubiła doszukiwać się szczegółów, aby tylko móc się przyczepić i tłuc więźniarkę. Czasami na śmierć. Liczyłam, że kiedyś spotka ją sprawiedliwa kara za to, jaka jest okrutna. I za to, że krzywdzi dla zabawy. Mnie raz tylko potraktowała w nieprzyzwyczajony sposób, ale nie uderzyła. Bardzo spodobała się jej sukienka, którą nosiłam, więc rozkazała mi ją natychmiast ściągnąć i oddać. Musiałam wtedy postarać się o inne

fachmany dla siebie. Chyba tak samo, jak pragnęłam się stamtąd wydostać i wrócić do domu, chciałam, aby Drechsel została ukarana, by spotkała ją sprawiedliwość...

Był 6 grudnia 1942 roku. Mikołajki.

W obozie nie wracaliśmy do nas wspomnienia domu czy radosne chwile z rodziną, prezenty, jakimi obdarowywaliśmy się w przeszłości. Tu dla każdej z nas liczył się kawałek chleba i kubek wody. Zależało nam na tym, by szybciej zerwać się z pracy, o ile się dało, żeby spotkać znajomą twarz, przyjaciela, rodzinę.

W pierwsze Boże Narodzenie w Brzezince na placu ustawiono wysoką choinkę. Wypędzili nas pod nią, a my patrzyliśmy na stopy trupów mężczyzn ułożonych pod drzewkiem. Prawdopodobnie dopiero co ich rozstrzelali. Potworność!

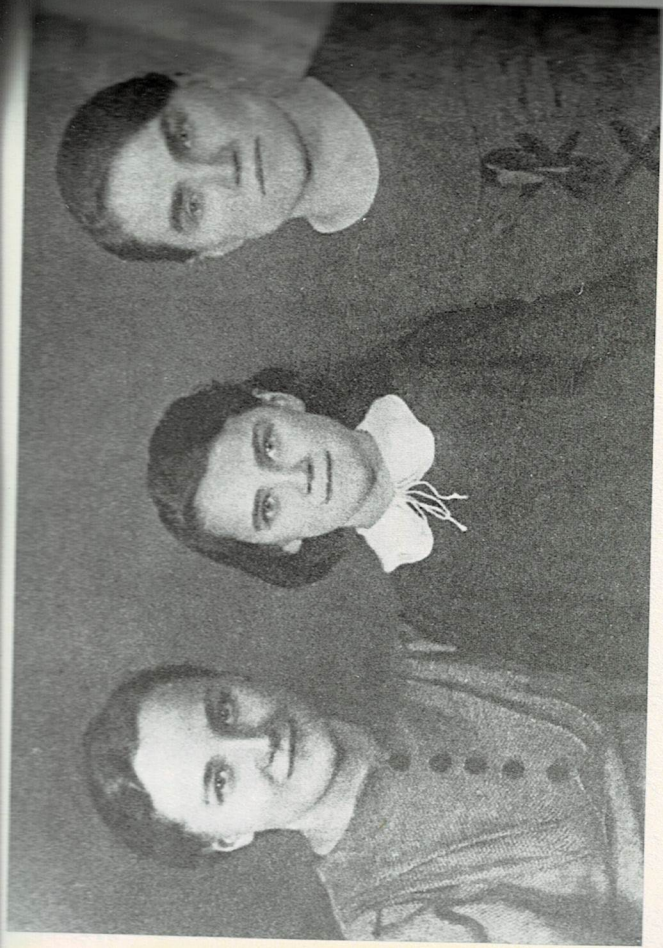
Podczas pobytu w obozie w Boże Narodzenie nikt nie myślał o szczególnych chwilach, jakie kiedyś spędzał w domu. Każdy pragnął tylko po ciężkiej pracy zasnąć, zapomnieć, gdzie się znajduje i co widział tego dnia.

## Na Gdańskiej

Przed wywózką mieszkałam w Łodzi. Gdy rozpoczęła się wojna i miasto zasiedlili Niemcy, poczułam się zagrożona. W końcu nasz największy wróg poszukiwał także mojego taty! Ojciec był peowiakiem<sup>69</sup> i nie krył swoich poglądów. Potrafił publicznie krytykować Hitlera, przeświadczony o tym, że dla ojczyzny warto podejmować ryzyko mówienia prawdy głośno. Ponadto w 1939 roku stworzył oddział Polskiej Organizacji Wolnościowej, gdzie był komendantem i posługiwał się pseudonimem „Strug”. Zrzeszała ona między innymi peowiaków. My z mamą również ślubowałyśmy przynależność.

Dookoła nas mieszkali Niemcy, którzy przybywając do Łodzi, szukali miejsca zamieszkania. Sąsiedzi byli Niemcami i gospodyni mieszkająca obok pochodziła z Niemiec. Jak się później okazało, otrzymali oni listę peowiaków, na której znajdował się mój tata. W jego schwytniu pomagał kolega z pracy ojca, z którym ten nie utrzymywał kontaktów ze względu na różnice poglądowe.

<sup>69</sup> Peowiak – członek POW, czyli Polskiej Organizacji Wojskowej (zwanej też Polską Organizacją Wolnościową), utworzonej z inicjatywy Józefa Piłsudskiego w 1914 r. w Warszawie. Była ona tajną organizacją stworzoną w celu walki z zaborcą rosyjskim. Do lipca 1917 r. dowodził nią J. Piłsudski, a później E. Śmigły-Rydz.



Walentyna Nikodem oraz Zofia i Aniela Ignaszewskie po 3 miesiącach pobytu w więzieniu, 1940 rok. Fot. Archiwum rodzinne

Niemcy starali się nakryć w domu tatę, ale bezskutecznie. Razem z moim bratem ojciec poszedł walczyć o Warszawę. Wiedzieliśmy, że w domu również grozi mu niebezpieczeństwo. Oprawcy najczęściej przychodzili wieczorem lub w nocy. Mama mówiła wtedy, że ojciec poszedł na wojnę i nigdy nie wrócił. To oczywiście nie było prawdą. Tata wrócił po kapitulacji Warszawy, ale wtedy od razu poinformowaliśmy go, że jest poszukiwany i że musi znaleźć kryjówkę z dala od nas. Niemcy wciąż wchodzili do naszego mieszkania, rozglądali się w poszukiwaniu ubrań taty, jego mydła do golenia, bezskutecznie.

Wreszcie, o ile mnie pamięć nie myli, 20 maja 1940 roku przyszli gestapowcy i zabrali mnie, mamę oraz starszego z braci, Kazimierza, który miał zesznaście lat. Ja miałam wtedy lat osemnaście. Reszta rodzeństwa bawiła się na podwórku i dzięki temu pozostała na wolności.

Brata wywieziono do Niemiec na roboty, a mnie z mamą skierowano do więzienia. Niemcy oznajmili nam, że będą nas trzymać, dopóki nie znajdzie jca. Pewnie myśleli, że w ten sposób tata się podda lub my go o to będziemy prosić.

Wówczas nie było jeszcze więzienia kobiecego na Gdańskiej 13<sup>70</sup>. Zabrali nas więc na Sztetlinga. Do fabryki. Warunki były okropne. Wtedy nie mogłam wiedzieć, że niedługo będę przebywać w jeszcze gorszych.

Mały pokoik mieścił piętnaście kobiet. Drewnianą podłogę musiałyśmy każdego dnia wymyć, a później na nieprzeschniętej, obskurnej siedzieć lub kłaść się spać. Od brudu, jaki tam panował, na moim ciele pojawiły się zmiany skórne, wskutek czego zabrali mnie do szpitala – psychiatrycznego. Tam też znajdował się oddział wenerycznych chorób skórnych. Był to wielki szpital, przy którym znajdował się równie ogromny park.

Lekarze starali się wyleczyć moje dolegliwości. Na początku przy łóżku przez cały czas siedział gestapowiec i pilnował, abym nie uciekła.

Później pani Gajda, która była sanitariuszką w szpitalu, powiedziała mi, że go wyręczy. Dzięki temu, że mnie pilnowała, mogłam wychodzić do parku przy szpitalu. Sama to zaproponowała.

Pewnego dnia podszedł do mnie mężczyzna, którego wcześniej nie znałam i już nigdy później nie zobaczyłam. Powiedział, abym poszła do domków personelu, które znajdowały się na terenie parku. Tak zrobiłam. Na miejscu spotkałam dwóch mężczyzn, którzy zapewnili, że są z POW. Powiedzieli mi, gdzie znajduje się tata, i przekazali, że bardzo się o mnie martwi. Pytali, co dzieje się ze mną i z mamą.

W szpitalu spędziłam miesiąc. Później ponownie przewieziono mnie do więzienia, ale już na Gdańską, gdzie zostały przeniesione kobiety. Trafiłam do celi numer sześć. Zastanawiałam się, co z mamą! Na szczęście okazało się, że przebywa blisko, w ósmej celi, i mogłyśmy się widywać na spacerunku. Wiedzieliśmy, że specjalnie nas rozdzielili, abyśmy nie miały ze sobą kontaktu i nie przekazywały sobie ewentualnych wiadomości na temat ojca. Powtarzali w kółko, że nie wyjdziemy z więzienia. Wciąż wypytywali nas, gdzie jest tata.

Na Gdańskiej spędziłyśmy trzy miesiące, po czym Niemcy nagle „zmieniły zdanie” i nas zwolnili. Nie chciałam wierzyć w ich nagłą dobroć lub poddanie się. Sądziłam, mama zresztą podobnie, że wypuścili nas jako przynętę, by wreszcie dorwać ojca. Byli przekonani, że tata będzie nas chciał odwiedzić, sprawdzić, czy wszystko w porządku. Musiałyśmy uważać. Tymczasem brat

<sup>70</sup> Budynek oddany do użytku 9 października 1885 r. Przez wiele lat był więzieniem: początkowo carskim dla więźniów oskarżonych o przestępstwa państwowe, w czasie I wojny światowej podlegał niemieckim władzom okupacyjnym. W dwudziestoleciu międzywojennym było to więzienie karno-sledcze, w którym przetrzymywano więźniów związanych z ruchem lewicowym; podczas okupacji hitlerowskiej – więzienie policyjne dla kobiet.

ciągle przebywał na robotach. Moje rodzeństwo zostało na czas naszej nieobecności przygarnięte przez rodzinę.

Do kwietnia 1941 roku nic się nie zmieniło. Gestapowcy przychodzili i nękali nas pytaniami o ojca. Widzieli, że z ich pułapki nici.

Nadszedł maj, a ja miałam brać ślub z narzeczonym. Damazy mieszkał w Katowicach, bo tam łatwiej było zdobyć broń. Należał do założonego przez tatę oddziału Polskiej Organizacji Wolnościowej i na Śląsku tworzył jej komórkę. Zanim się pokochaliśmy, przyjeżdżał do nas, informował, co się dzieje. Tak się poznaliśmy.

21 kwietnia 1941 roku, tuż przed ślubem, do naszego mieszkania wpadło Gestapo. Pojmali mnie, mamę i narzeczonego. To wszystko działo się tak szybko! Gdy wprowadzili nas na ulicę, spostrzegłam, że dookoła stoi pełno gestapowskich samochodów, cała ulica była nimi obstawiona. Na pewno myśleli, że złapią ojca. Wsadzili nas do auta i ruszyli w stronę głównej ulicy.

Samochód, którym jechaliśmy, miał przyciemnione szyby, więc nikt nie mógł nas zauważyć. Nagle dostrzegłam łączniczkę Henrykę Sztekmiller idącą w stronę naszego mieszkania. Zamarłam. Nie mogłam dać po sobie poznać, że widzę kogoś znajomego, bo naraziłabym tę osobę na niebezpieczeństwo. Spojrzałam tylko na narzeczonego i mamę. Na szczęście dziewczyna zorientowała się, że coś jest nie tak. Zbyt dużo zielonych mundurów i aut. Zawróciła. Niestety po dwóch miesiącach złapali również ją. Wcześniej tak że jej matkę. Nasz ojciec również w ich domu miał kryjówkę.

Gestapowcy wciągnęli nas pytaniami o miejsce pobytu ojca. Mama jednak utrzymywała, że samotnie wychowuje dzieci i prowadzi dom. A mój narzeczony przyjechał do mnie, ponieważ pobieramy się za kilka dni.

Damazy urodził się w Niemczech. Jego matka była pokojową na zamku Wartburg. Podczas dwóch poprzednich ciąży, gdy nadchodził dzień rozwiązania, wracała do Polski, aby tylko w dokumentach nie widniał zapis, że dziecko zostało urodzone w Niemczech. Ale tym razem się nie udało. Damazy przyszedł na świat w Turynii i taki zapis zobaczyli 21 kwietnia gestapowcy.

– Jesteś Niemcem? – zapytali. Narzeczony zaprzeczył. Opowiedział o matce pracującej na zamku, oni jednak podłożyli mu do podpisania Reichslistę<sup>71</sup>, mówiącą między innymi o przyznaniu się do narodowości niemieckiej.

<sup>71</sup> Tzw. Reichslista to jedna z kategorii Volkslisty, czyli niemieckiej listy narodowościowej wprowadzonej 2 września 1940 r. na podstawie reskryptu Heinricha Himmlera jako komisarza Rzeszy do spraw wzmocnienia niemieckiego. Reichslista dotyczyła osób narodowości niemieckiej, aktywnej politycznie, działającej na rzecz III Rzeszy w okresie międzywojennym.

ckiej. Grozili, że jeżeli nie podpisze, trafi z nami do obozu. Wiedzieli, że jest inwalidą wojennym. Był raniony przez Rosjan na Wołyniu, przez co miał sztywną prawą rękę i nie mógł pracować. Dla osób niezdolnych do wykonywania pracy obóz oznaczał śmierć. Ale wtedy tego jeszcze nie wiedzieliśmy.

## „Kaczuszka”

Damazy się nie zgodził. Niczego nie podpisał. Został wysłany na Radogoszcz, czyli „Rozszerzone Więzienie Policyjne” utworzone w fabryce włókienniczej w Łodzi. Później trafiło tam również dwóch jego braci. A my z mamą ponownie wyładowałyśmy na Gdańskiej. Co teraz się stanie? Czy uda nam się po raz drugi ująć z życiem z tego miejsca?

W więzieniu strażniczkami były Niemki. Była wśród nich Kauffmanowa, względnie porządna kobieta. Nie była surowa. Jej mąż pracował w Radogoszczu. Przeszła do nas pewnego dnia i powiedziała, że mój narzeczony tam ciągle przebywa i pyta o nas. Najzabawniejsza natomiast była oddziałowa, na którą wołałyśmy „Kaczuszka”. Kiedy strażniczki rozmawiały między sobą o tym, co gotowały w domu na obiad, ona zawsze mówiła, że przyrządzała kaczkę.

Pewnego razu Kauffmanowa zawałała mamę i pod pretekstem wyjścia do kancelarii zabrała ją ze sobą. Tak naprawdę chciała ją ostrzec przed obóz, do którego zamierzali nas wywieźć. Oświadcim. Czym był? Nie miałyśmy pojęcia. Powszechnie wiadomo było, że to obóz pracy, gdzie dają miejsce do spania i posiłki. A każdy więzień odbywa tam swoją „karę”, pracując na rzecz III Rzeszy.

– Nie będziemy wreszcie w tym Gestapo! – Ja i mama rozmawialiśmy zadowolone. Nieświadome. Zresztą informacja strażniczki niczego nie mogła zmienić. Nasz los był przesądzony.

Dziś nie umiem sobie przypomnieć, kto nam powiedział, że Zosia i Jerzyk, moje młodsze rodzeństwo, zostali zabrani do sierocińca na ulicy Kornika w Łodzi. W tym czasie w Polsce, ale też na terenach innych krajów, szerzył się rabunek dzieci. Działo się to w sposób zinstytucjonalizowany w ramach działań germanizacyjnych. Mama, wiedząc, że Zosi i Jerzykowi może grozić przymusowe wywiezienie do Niemiec, w grypsie do cioci prosiła, aby ta zabrała moje rodzeństwo do siebie. Napisła też, że wywożą nas do Oświęcimia.

Ciocia słała nam do więzienia paczki z jedzeniem i dzięki temu miałyśmy możliwość wysyłania grypsów. W puste pakunki, które odsyłałyśmy,

wszystkiemu wiadomości, starając się, aby nikt poza siostrą taty ich nie znalazł.

Na szczęście, jak się później dowiedziałymy, Zosie udało się zabrać do domu. Jerzyk natomiast uciekł z sierocińca i wyjechał do Niemiec, do starszego brata Kazimierza, do pracy. Chociaż było to ryzykowne, wierzyliśmy, że w ten sposób się uratuje.

Ciocia, dowiedziawszy się, że zostaniemy wywiezione do Auschwitz, w liście przekazała tę informację braciom. Ci postanowili do nas przyjechać, aby się pożegnać. Jerzykowi szef nie dał urlopu, więc brat uciekł z Hanoweru przez Berlin i przyjechał do nas. Mama jednak poprosiła go, by wrócić do Niemiec. Obawiała się, że jeśli go złapią, uznają za uciekiniera i zabiją. Starszy brat Kazimierz również nie otrzymał przepustki i razem z Henrykiem Mazurem, kolegą z Polski, z którym pracował w Niemczech, uciekli z zakładu pracy. Niemcy złapali ich jednak i zawieźli do karnego lagru. Dowiedzieliśmy się o tym znacznie później. W smutnych okolicznościach.

Był marzec. Któregoś dnia gestapowcy przyszli po mamę do celi i wywołali ją do kancelarii.

– Oj, pani Ignaszewska, już pani nie ma syna – powiedział jeden z nich.  
– Jak to? – zdziwiła się mama. – Przecież on jest na robotach w Niemczech.

Mama poznała w gestapowcu kolegę swojego taty. Był Polakiem i okazał się zdrajcą. Ojciec pracował z nim w kancelarii notarialnej mecenasa Smołańskiego. Dowiedziałam się tego dopiero po wielu latach.

– Już nie. Nie żyje – odparł mężczyzna, śmiejąc się mamie w twarz.  
Oznajmił, że brat został aresztowany w Berlinie i przeniesiony do karnego obozu Breitenau<sup>72</sup> koło Kassel. Był to ośrodek m.in. dla pracowników, którzy chcieli uciec lub uciekli z Niemiec. Stamtąd brata skierowano do pracy przy karczowaniu lasu. Zaraz na drugi dzień przyniotło go drzewo i choć trafił do szpitala, wkrótce zmarł. Pochowano go w Niemczech, w Kassel.

Na te słowa mama straciła przytomność. Została przeniesiona do celi chorych. Do swojej nie wróciła przez dwa tygodnie. Bardzo się o nią martwiłam. To od pani Kauffmanowej dowiedziałam się, gdzie przebywa mama i że Kazimierz nie żyje. Emocje wywołane śmiercią dziecka spowodowały,

<sup>72</sup> Obóz koncentracyjny w Breitenau założono już w 1933 r. Do czasu jego likwidacji w 1934 r. więziono tam blisko 500 osób. W 1940 r. wznowiono działanie obozu, ale przekształcono go na obóz poprawczy. Był to obóz pracy, w którym uznani za niesubordynowanych robotnicy mieli zostać nauczeni posłuszeństwa. Więźniami byli najczęściej cudzoziemcy.

że mama zaczęła chorować. Nie mogła nawet ze mną porozmawiać, ponieważ nie miałyśmy ze sobą kontaktu.

Do obozu wyjechałyśmy w lipcu, sądząc, że tam będzie spokojniej. Wykonamy swoją pracę, dostaniemy miejsce do spania i jedzenie. Ale tam czekał nas dramat.

## Kożuch i buty ojca

Moje pierwsze przesłuchanie pamiętam doskonale. Jak mogłabym zapomnieć... W pomieszczeniu znajdowało się biurko. Przy nim siedziało dwóch gestapowców. Obok stała szafa, a tuż za nią wisiał kożuch mojego taty. Na podłodze dostrzegłam jego buty. Zrozumiałam, że musiało stać się coś złego. Czy mama o tym wiedziała? Nie mogłam jej powiedzieć, ale jeśli i ona chodziła na przesłuchania, też musiała widzieć rzeczy taty w pokoju przesłuchań.

## „Perełka”

Gdy toczy się wojna, każdy walczy o swój byt i życie. Do zdrań dochodziło często. Niestety. Mnie nie mieściło się w głowie, jak można donieść na Polaka, na swój naród, ale wielu nie miało w tym problemu.

Wśród takich osób był chłopak o pseudonimie „Perełka”. Jeden z członków Polskiej Organizacji Wolnościowej, najbliższy pomocnik taty. Nie poznałam nigdy jego nazwiska. Przez długi czas każdy go chwalił. Mówiło się, że jest uczynnym i dobrym chłopcem i że zawsze można na nim polegać. Pochodził ze wsi pod Łodzią.

Pewnego dnia „Perełka” został delegowany i pojechał z kolegą do pracy rozkręcać tory przy przejściu granicznym w Brzezcinach, gdzie była granica gubernatorstwa. Przez nią niemieckie pociągi wojskowe przejeżdżały na wschód. Peowiacy rozkręcali tory, żeby pociągi się wykolejały. Niestety akurat tego dnia Niemcy zrobili obławę na szmuglerów i handlarzy i pojmali obu chłopaków. Kolegę „Perełki” pobili na śmierć.

Jego samego zaś przesłuchiwali, dopytując o powiązania w organizacji, a przede wszystkim o mojego ojca. Dopiero po wojnie dotarła do mnie wieść, że ten chłopak, uznawany za przyjaciele, osobście pokazał Niemcom kryjówkę taty (były oddalone od siebie o kilka kilometrów). To dzięki „Perełce” gestapowcom udało się podejść do chatki w głębi lasu, w której ukrywał się ojciec, i pojąć go. Tata miał przy sobie broń i maszynę do pisania. Z tego,



co słyszałam, gdy wprowadzili go z chaty, był tak skatowany, że do auta musieli go wrzucać. Na Gestapo, które mieściło się w Łodzi przy alei Anstadta<sup>73</sup> zapewne go dobili.

„Perelka” wojnę przeżył, bo za donosy Niemcy zagwarantowali mu życie

## Tłum stworów

Najgorsze wspomnienie, jakie wiąże się z obozem, to moment mojego przyjazdu do Auschwitz. Z Łodzi do Oświęcimia wieźli nas pociągiem. Bezpośrednio do obozu prowadził nas kordon esesmanów z psami. Zaprowadzili nas do „piątki”, czyli nowo wybudowanego bloku 5 w obozie głównym Auschwitz I. Wewnątrz znajdował się tylko beton, a na ziemi rozsypana była niewielka ilość słomy. Rozkazali nam tam pozostać i nie wyglądać przez okna. „Jeśli ktoś się odważy, będą strzelać”. To był wieczór.

Wtem bramy obozu się otworzyły. Było słychać krzyki i gwar. Nikt z nas nie wiedział, czego możemy się spodziewać, więc mimo zakazu rzuciliśmy się do okien. Naszym oczom ukazał się tłum stworów idących w naszą stronę. Kobiety. Każda z nich miała u pasa sznurkiem przywiązaną czerwoną miskę. Co to jest? Ludzie jacyś czy wariaci?! Rozległ się krzyk, słowa podobne do rechotu. Były to Żydówki ze Słowacji. Przyjechały przed nami. A to, co zobaczyłam, jak się później okazało, było codziennością obozową. Z pracy na *Aussen* zaczęły wracać komanda. Rzuciły się do kotła z zupą obozową, przepychając się, robiąc przy tym niemożliwy szum, chaos. „Dom wariatów” – pomyślałam. Gdzie ja jestem?

To był 26 lipca 1942 roku. Kolejnego dnia zaprowadzili nas do łaźni, ostrzygli włosy. Do ubrania nie dostałyśmy pasiaków, tylko stare łachmany w szarym kolorze i chusteczki na głowę. Wreszcie wprowadzili nas na łagery męski do obozowego fotografa i wykonali zdjęcia. Kolejnego dnia poszłam już do pracy. Najpierw kopałyśmy doł pod fundamenty jakiegoś budynku. Po półtora roku spędzonym w więzieniu słońca widziałam tyle, co przez pół godziny na spacerunku. Wychodząc do pracy w obozie, narażona na ciągłe promienie, szybko dostałam udaru i trafiłam do obozowego „szpitala”. Stało

<sup>73</sup> Budynek przy al. Anstadta planowano przeznaczyć na Gimnazjum Towarzystwa Żydowskich Szkół Średnich, które miało zostać otwarte 1 września 1939 r. Budynek został jednak zajęty przez Gestapo i wszedł w skład gestapowskiego zespołu obiektów w Litzmannstadt, który obejmował biura, areszt śledczy, mieszkania, garaże i magazyny.

się to w trzecim dniu pracy. Oczywiście nie mogłam liczyć na leczenie. Nałożyli mi tylko na oczy i człoło brudną, mokrą szmatę.

Szybko trzeba było wrócić do roboty.

Później gonili nas do Brzezinki, do budowania baraków. Był to teren podmokły, malaryczny. Mężczyźni przywozili na wozach piach, a my sypaliśmy go pod baraki na terenie nowo budowanego lagru A. Na odcinku B już mieszkali mężczyźni. Trwało to do 16 sierpnia 1942 roku. Później przeniesiono nas z macierzystego obozu Auschwitz I do Brzezinki.

Niedługo po tym, jak znaleźliśmy się w Brzezince, esesmani rozkazali nam rozebrać się do naga i tak popędzili na męski lager B. Szło nas tak wiele... W wieku od mniej więcej piętnastu do osiemdziesięciu lat. Ja miałam wtedy lat dwadzieścia. Na męskim lagrze fryzjerzy mieli ogolić wszelkie nasze owłosienie. Widok tyłu nagich kobiet odartych z ubrań, ale przede wszystkim z godności, przerażał mnie.

— Rozpacz, krzyki – to pamiętam najbardziej z lagru męskiego. Jedne kobiety płakały ze strachu, inne – bo nie chciały stracić swoich długich włosów. Kiedy naga stanęłam przed mężczyzną, który miał mnie ogolić, również zaczęłam płakać.

– Nie płacz, dziecko. To oni niech się wstydzą, a nie ty – powiedział do mnie.

Moja pierwsza praca w Brzezince to było kruszenie kamieni pod utwardzenie drogi obozowej. Pewnego dnia podeszła do mnie jedna z *Aufseherin*, bardzo ładna kobieta, i kazała mi pójść ze sobą.

Mama była przerażona, ponieważ plotki głosiły, że to lesbijka. Kobieta jednak zabrała mnie i jeszcze jedną dziewczynę do brotkamery<sup>74</sup> – mata gazynów chleba. To była praca zdecydowanie lepsza i lżejsza od kruszenia kamienia.

Byłyśmy odpowiedzialne za przydział chleba na nasz lager. Najpierw popieczywo jechałyśmy na blok, gdzie rozdzielali je jeńcy wojenni, a potem rozprowadzałyśmy je na naszym bloku.

## Ciepłe pończochy

Niedługo potem zachorowałam na tyfus. Zabrali mnie na rewir. Z tego okresu pamiętam tylko, że na rewirze nie było wolnej pryczy, więc położyłam się przy trupie kobiety, której nie zdążyli wynieść. Było mi już wszystko jedno.

<sup>74</sup> Z niem. *Brotkammer* – magazyn chleba.

## Paczki

Gdy z początkiem 1943 roku kuchnia przejęła nadzór nad podziałem chleba na bloki, straciłam pracę, którą lubiłam. Nie wymagała ona ode mnie siły fizycznej i w porównaniu z pracą w *Aussenkommando* była naprawdę przyjemna. Na szczęście wtedy utworzono w obozie paczkarnię, bo zezwolono na przesyłanie więźniom pakunków, i udało mi się tam „zahaczyć”. Pracowałam razem z Jadzią Binkowską. Była to praca dobra jak na obozowe warunki, pod dachem, no i nie musieliśmy wychodzić na apele. Z czasem przybywało pa-czek i pracy, kiedy więc mogliśmy, staraliśmy się wstawiać za koleżankami, by przeniesiono je do paczkarni. W ostatnim okresie pracy tego działu przesyłek służyło do obozu tyle, że pracowałyśmy w piętnaście dziewczyn.

Większość adresatów już nie żyła. Niemcy zabierali od nas pakunki, których właściciele nie mogli już odebrać, i mówili, że odsyłają je do rodzin. Czy tak robili? Nie sądzę, ale nie wiem, dokąd te paczki trafiały. Niemcy zabierali je od nas na lager męski.

Naszą opiekunką w paczkarni była auzjerka Elisabeth Volkenrath<sup>75</sup>. Ta surowa kobieta wobec nas, swoich podopiecznych, wykazywała mniejszą brutalność. Wszystkie jednak bałyśmy się jej, bo wiedziałyśmy, do czego jest zdolna. Niejednokrotnie byłyśmy świadkami, jak biła i poniżała więźniarki.

Na paczkarni pracowały z nami także Żydówki. Jedną z nich była Elza Frydman. Straciła w krematorium rodziców. Pewnego dnia koleżanka doniosła Elzie, że do obozu przywieźli z Węgier jej siostrę z małym dzieckiem. Zrozpaczona dziewczyna pobiegła do naszej auzjerki z błaganiami, aby uratowała siostrę. Wtedy Volkenrath wsiadła na motor, zabrała ze sobą Elzę i pojechała pod komorę gazową. Żydzi już byli wprowadzeni do zagazowania, a Niemiec praktycznie zamykał drzwi komory.

Auzjerka rozkazała wypuścić siostrę Elzy. Wywołała ją z głębi komory gazowej, ale dziewczyna nie była przecież sama. Razem z nią było dziecko. Volkenrath nie chciała jednak go ratować.

– O nie! Tylko ona! – krzyknęła. Nic dziwnego, że będąc matką, siostra naszej koleżanki nie mogła zostawić swojego dziecka. Na nic były prośby

<sup>75</sup> Elisabeth Volkenrath – ur. 5 września 1919 r. w Schönau (Świerzawa), nadzorczyńni SS w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Uznana za zbrodniarkę wojenną. W grudniu 1942 r. została skierowana na służbę do Birkenau. Brała udział w selekcjach więźniów, biła ich i poniżała. W listopadzie 1944 r. awansowała na stanowisko głównej nadzorczyńni (*Oberaufseherin*) obozu. W tym czasie jej rozkazom podlegało kilkanaście strażniczek oraz kilkudziesięciu kapo. Nadzorowała przynajmniej trzy egzekucje przez powieszenie. Stracona 13 grudnia 1945 r. w Hameln.

gorączkowała i traciłam kontakt z rzeczywistością. Z późniejszych dni choroby przypominam sobie, że jak tylko odzyskiwałam przytomność, to tłukłam wszy, które po mnie laziły.

Jak się potem dowiedziałam, opiekowała się mną pielęgniarka obozowa, Wandzia Falender z Kalisza, z którą przebywałam w jednej celi w więzieniu na ulicy Gdańskiej 13 w Łodzi. Ona trafiła do obozu za sprawy organizacyjne.

Gdy mnie udało się wyjść z rewiru, mama nagle zaczęła słabnąć. Miałam chęć do życia i wolę walki. Wszystkim powtarzała, że stąd wyjdziemy. Jej organizm jednak, wbrew myśłom i woli, był na tyle wycieńczony, że musieli ją zanieść do „szpitala”. Nie mogła już o własnych siłach ustać na apelu, a gdyby podczas któregoś z nich zasnęła, od razu wywieźliby ją do krematorium.

29 listopada padał śnieg z deszczem. Pogoda była okropna. Pamiętam to dokładnie, bo wtedy koleżanka z Kanady przyniosła mi ciepłe pończochy! Bardzo chciałam zanieść je mamie. Chociaż nie wolno było mi jej odwiedzać, pobiegłam na rewir.

– Daj te pończochy mojej mamie – poprosiłam strażniczkę. Ta chętnie by mnie do niej wpuściła, ale nagle zauważyła, że w naszą stronę zbliża się obozowy lekarz.

– Uciekaj! – ostrzegła mnie. Przez kolejne trzy dni nie wybierałam się na rewir, aby nie zaszkodzić mamie lub sobie.

Po trzech dniach przyszła do mnie w odwiedziny Wandzia, która opiekowała się mamą w „szpitalu”.

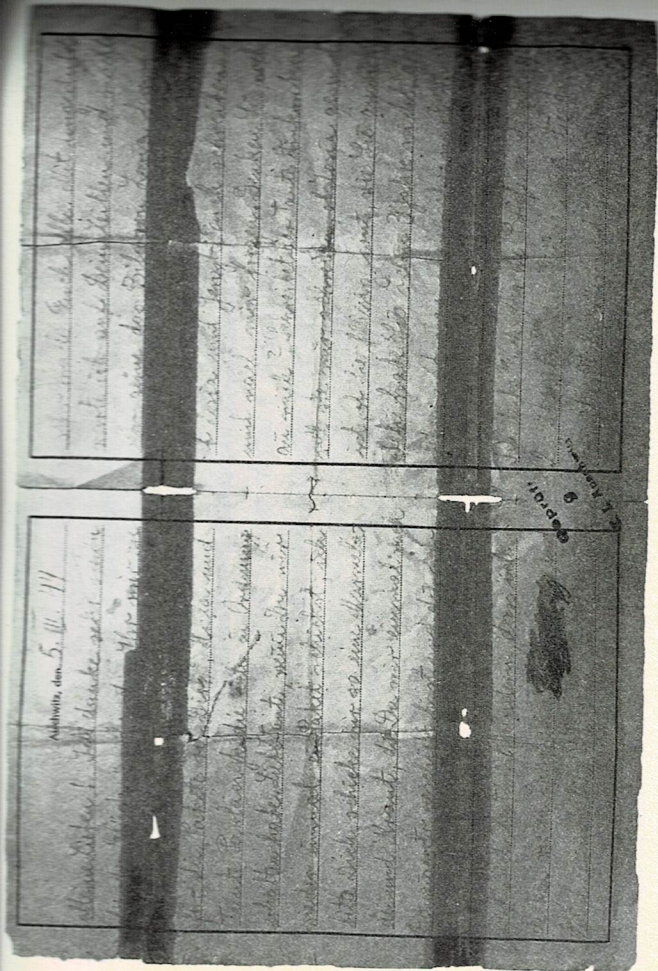
– Przychodzę do ciebie dopiero dzisiaj, bo bałam się wcześniej – powiedziała.

– Co się stało? – dopytywałam.

– Twoja mama od trzech dni już nie żyje.

Nie chciałam w to uwierzyć. Słuchałam opowieści Wandzi o ostatnich chwilach mojej mamy. O tym, jak pielęgniarka zaproponowała, że ugotuje jej ziemniaka, na co mama, choć była bez sił, ucieszyła się. O tym, jak Wandzia wróciła, a mama spała. O tym, jak próbowała ją dobudzić, ale bezskutecznie. Wreszcie – jak zrozumiała, że to sen, z którego mama już się nie obudzi.

Gdy 6 grudnia nastąpiło nieudolne wielkie odwieszenie, dziękowałam Bogu, że mama nie dożyła tego apelu, podczas którego w mękach zmarło tak wiele kobiet.



List napisany przez Walentynę w obozie. Fot. Archiwum rodzinne

samej Elzy, dziewczyna została w komorze. Drzwi pomieszczenia zostały zatrzasknięte i ludzie wewnątrz zostali zagazowani, a później spaleni.

W drugiej połowie 1943 roku Volkenrath otrzymała w Oświęcimiu dom. Chcąc go urządzić, wykorzystywała nasze znajomości z koleżankami z Kanady. Wiedząc o tym, że Żydzi przywożą do obozu cały swój dobytek, wyczerpanie chciała skorzystać z „okazji”. Uznałyśmy jednak, że nie będziemy jej załatwiać niczego za darmo. Ona też musiała robić to w tajemnicy, więc mogłyśmy stawiać warunki. Ustaliliśmy, że część rzeczy z paczek żywnościowych, których więźniarki nie mogły odebrać, bo już nie żyły, będziemy oddawać do bloku dzieci. I udało się! Volkenrath wyprosiła to u naszej nauczycielki Mandel. Było to dla nas wielką radością, tym bardziej że Mandel była nazywana „Bestią” nie bez powodu. Ta kobieta skazywała na śmierć niewinne dzieci, które często były zabijane w bestialski sposób!

Gdy trafiła do nas paczka, której adresem był mężczyzna, odnosiłyśmy ją do głównego obozu. Pewnego razu, kiedy niosłam paczuszkę, spotkałam mojego dawnego sąsiada, teraz pracownika paczkarni w Auschwitz I. Tak nawiązałyśmy „współpracę”. Gdy obóz męski chciał się z nami skontaktować lub przekazać nam jakąś informację, ich dział paczkarni specjalnie

wrzucał nam przesyłkę, którą musiałyśmy odnieść. Był to pretekst, aby się spotkać. Innym sposobem na kontakt z męskim obozem było zepsucie czegoś, na przykład dachu lub koi. Wtedy nasza blokowa była zmuszona, by zawołać mężczyznę z obozu macierzystego do naprawy. Dzięki temu mogłyśmy pozyskiwać informacje lub je przekazywać.

## Ucieczka

W ten sposób dowiedziałyśmy się, że w obozie męskim szykuje się ucieczka kilku mężczyzn. Nie wiedziałyśmy jednak, że nasza koleżanka Aldona pracująca w paczkarni zamierzała zbiec z nimi. Do próby doszło 16 sierpnia 1944 roku. Trwało już Powstanie Warszawskie. Więźniowie podkopalili się na lagrze Meksyk<sup>76</sup>. Wszyscy zostali złapani i powieszani. Na szczęście Aldona w ostatniej chwili zrezygnowała z ucieczki.

Gdy dochodziło do prób ucieczek, wszyscy więźniowie musieli stać na apelu i czekać, aż liczby zaczną się zgadzać. Aż znajdzie się uciekinier – żywy czy martwy.

Pamiętam, że na początku września 1944 roku wybrałam się z koleżanką pod krematorium. Tam znajdowały się rowy, do których wożyliśmy pudła po paczkach. Nagle krematorium wybuchło! Wtedy wybiegłam w naszą stronę więzień żydowski z wielkimi nożycami. Były ogromne. Przeciął nimi druty i krzyknął: „Uciekajcie!”

Przerażone zaczęłyśmy uciekać. Ale na swój lager!

## Prezent urodzinowy

Im więcej transportów z Warszawy docierało do obozu, tym większa panika szczyła się wśród Niemców. Ausjerki bały się, jaki będzie ich los, jeśli dojdzie do wyzwolenia.

Volkenrath zapytała kiedyś:

<sup>76</sup> Meksyk – w gwarze obozowej określenie odcinka BIII, który obejmował obszar rozbudowy obozu Birkenau poza pierwotny teren. W połowie maja zaczęto w nim umieszczać Żydówkę z Węgier. Brakowało tam wówczas kuchni, umywalni i latryn, a w wielu barakach mieszkających nie było pryszniców. Więźniarkom wydano potargane letnie sukienki, niektóre chodziły niemal nago, okryte łachmanami i strzępami koców. Prawdopodobnie z tych powodów wzięła się nazwa odcinka – przedwojenna prasa kształtowała obraz Meksyku jako kraju niespokojnego, ubożego, o zdeorganizowanej administracji.

– Co się ze mną stanie?

– Co się pani przejmuj, przyjedzie pani do mnie do Łodzi i przeczeka – odpowiedziałam. Nie uwierzyła. Wiedziała, że jestem złowrogo nastawiona do Niemców.

– Wala, wiesz co? Wszędzie, ale nie do ciebie – skwitowała.

W obawie, że Oświęcim w każdej chwili może zostać bombardowany, bo zbliża się front, Volkenrath zaproponowała nam potajemnie wyjazd do innego obozu. Zgodziłam się, a razem ze mną osiem innych koleżanek z paczkarni. 26 października 1944 roku ruszyliśmy w wagonach w drogę. Przed wyjazdem otrzymaliśmy ostatni oświecimski posiłek: kawałek chleba i kiełbasy. I choć były to głodowe porcje, dopiero tam, gdzie trafiliśmy z transportu, poznałyśmy, czym jest głód. Wagony przepełnione kobietami, a było nas około pięciuset, zatrzymano w Dreźnie, podobnie Flossenbürga.

Apele trwały od czwartej do szóstej rano. Później szliśmy do roboty, Posilkiem była „zupa leśna”, jak ją nazywałyśmy. A to dlatego, że pływały w niej igły sosnowe i białe robaki. Pośród nas były więźniarki z Rosji i Ukrainy. Gdy my z zupy wybierałyśmy robaki, one je po nas zjadały.

Czteropiętrowe koje były uciążliwe dla schorowanych i osób starszych. Nadal nie miałyśmy możliwości umycia się. Obowiązywała nas tylko praca i powrót na koje, praca i koje. I tak w kółko. Zostałyśmy umieszczone w budynku fabryki Zeiss Ikon. Do roboty chodziliśmy do zakładu, gdzie montowałyśmy części, jak mówiono, do torped podwodnych. Czy to była prawda? Nie wiem.

Z każdym dniem w obozie było mniej esesmanów. Wiedzieliśmy, że coś się stanie. Tylko czy będzie zagrażać także nam? Napięta sytuacja trwała do bombardowania Drezna z 13 na 14 lutego 1945 roku. Pamiętam dobrze, bo w tym dniu powinnyśmy obchodzić urodziny i imieniny jednocześnie.

Podczas bombardowania zagnali nas do piwnicy. Było tam duszno, ponieważ pomieszczenie nie miało żadnej wentylacji. Otworzyliśmy więc kurtki od rur prowadzących wodę. Wody co prawda w nich nie było, ale w ten sposób wpuściliśmy trochę powietrza do piwnicy. Cieszyliśmy się, że cały ten obóz roznieiony zostanie w puch. Lepszego urodzinowego prezentu nie mogłam dostać na tamten moment!

Rano okazało się, że „nasza” fabryka nie ma dachu, więc nie mogliśmy pracować. Przez cały tydzień siedzieliśmy w hali bezproduktywnie. Oczywiście nie narzekaliśmy na to. Po tygodniu jednak fabryka wznowiła działanie. Trwało to do 16 kwietnia 1945 roku.

Z każdym dniem kolejni esesmani uciekali z obozu.

Po 16 kwietnia mężczyźni i chłopcy z psami i karabinami poprowadzili nas przez bombardowane Drezno.

„Mają za naszą Warszawę!” – cieszyłam się w duchu. Nie wiedziałam jednak, dokąd nas prowadzą. Ze zniszczonego miasta przeszliśmy do lasów. Droga dłuższa się, aż wreszcie usłyszeliśmy szum wody – doszliśmy do Łaby. Płynęła w kanionie. Po długiej podróży nie mogliśmy znaleźć miejsca na nocleg. W końcu natrafiliśmy na jakąś stodołę, w której mężczyźni zamknęli nas. Przesiedzieliśmy tam do samego rana. To błąkanie się po lesie trwało kilka dni. Niemcy sami nie wiedzieli, co ze sobą i z nami zrobić, bo zbliżał się front.

Któregoś razu nasze drogi przecięły się z komandem, które prowadziła Drechselowa. Miałam nadzieję, że wreszcie spotka ją sprawiedliwość za to, co uczyniła tylu niewinnym ludziom. Doskonałe wiedzieliśmy, że ta kobieta szybko wpada w złość. Okrutnie wyżywa się na więźniarkach, często je zabijając. Chciałam sprawiedliwości. Najciekawsze jest to, że już po wywołaniu w kartotekach obozowych o Drechselowej nie było żadnej wzmianki. Podejrzewam, że zniszczyła wszystkie dokumenty ze strachu przed karą, jaką powinna ponieść. Przebiegła. Okrutna. Morderczyni.

## Szwabska Szwajcaria

Wreszcie doszliśmy do Pirny. To piękna miejscowość położona w górach, a nazywana szwabską Szwajcarią. Dookoła rozpościerały się tylko lasy. Trzeba przyznać, że górskie widoki były zjawiskowe. Czulałam jednak, że to bezcelowe prowadzenie nas przez przypadkowe miejsca nie spowoduje niczego dobrego. Niektórzy więźniowie podjęli decyzję o ucieczce, a wieści o tym rozeszły się szybko, docierając także do naszej grupy więźniarek. Owszem, słyszałam strzały i ujadające psy, które ruszyły za nimi w pościgu. Mimo to nie mogłam już dłużej beczynnie czekać na śmierć.

– Wreszcie nas tu rozstrzelają! – mówiłam do koleżanek. – Ucieknijmy. Inaczej tu zginiemy. Ratuujmy się!

Szła ze mną Helena Wojciechowska. Gdy ją zabrali do obozu, zostawiła w domu małego synka. Na moją propozycję zareagowała niechętnie. Bała się.

– Chcesz jeszcze kiedyś zobaczyć swoje dziecko? – zapytałam. Wtedy zgodziła się na wspólną ucieczkę.

Nastało popołudnie i powiedziałam tylko: „Wiemy!”. Obie pobiegłyśmy w stronę krzaków, oddalając się od grupy więźniów. Biegliśmy na oślep w trwodze, że za nami pędzi już cały orszak Niemców. Nawet się za siebie nie odwracaliśmy. Po prostu kierowałyśmy się w głąb lasu.

W końcu zwolniliśmy tempa, zatrzymaliśmy się gdzieś pośrodku chaszcy i usłyszaliśmy błogą ciszę. Nic się nie działo. Nikt za nami nie gonił. Była tylko ta cisza.

Usiadłszy zmęczone pod jednym z krzaków.

Z Oświęcimia udało mi się zabrać nic i igłę. Teraz bardzo się przydały. Mogliśmy zaszyć sztrajfę widoczną na plecach. Siedzieliśmy, spokojnie szując, kiedy do naszych uszu dobiegł odgłos nadchodzących kroków. Zamarłyśmy na chwilę. Na szczęście okazało się, że to Wanda Kalinowska, nasza koleżanka z kuchni. Też uciekła, tylko w pojedynkę, i błakając się po okolicy, dotarła do nas. Od tej chwili szliśmy razem. Nasza tułaczka była męcząca i niebezpieczna.

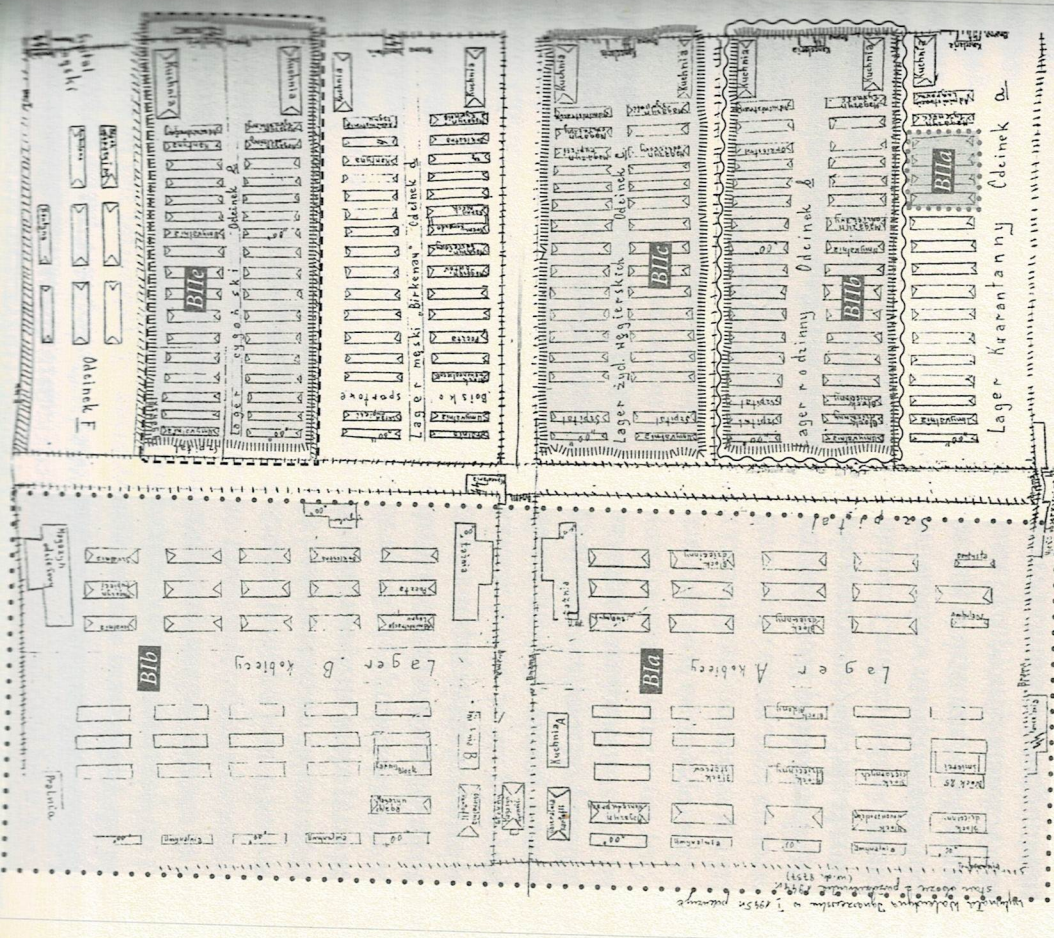
Chcąc oddalić się od kordonów niemieckich z jednej strony, wpadałyśmy na nie z drugiej strony. Byliśmy głodne, bo od dwóch dni Niemcy już nie dawali nic do jedzenia, a w lesie ciężko było znaleźć jakies pożywienie. Uratował nas szczaw, którego najadliśmy się tyle, że dokuczały nam ogromne problemy żołądkowe.

Miałymy świadomość, że gdzieś musimy przemocować, a jedynym miejscem, które udało nam się znaleźć, były doły w głębi lasu. Wlazłyśmy więc do nich, przykryłyśmy się liśćmi i czekałyśmy do rana. Spędziłyśmy tak kilka dni. Kiedy nie padał deszcz, było całkiem znośnie.

Pewnego dnia spotkałam w lesie dwóch jeńców włoskich. Nie mogliśmy się porozumieć, bo nie znaliśmy swoich języków. Zaczęliśmy więc pokazywać na migi, o co nam chodzi. Dowiedziałam się w ten sposób, że Niemcy posadzili kartofle na polu i tam właśnie obozowicze i jeńcy zakradają się nocą po ziemniaki. Mężczyźni obiecali, że pokażą nam to miejsce. Dostaliśmy od nich paczkę zapalek, pojawiła się więc możliwość rozpalenia ognia i ogrzania się. A ponieważ w lesie znalazłam metalową, potłuczoną miskę, mogliśmy gotować szczaw. Po wodę schodziłam, jako najmłodsza z naszej małej grupy, po skarpie do rzeki.

Niestety Włosi nie przyszli w nocy, aby – zgodnie z obietnicą – pokazać nam kartoflisko. Na samym szczawiu długo nie daliśmy rady przeżyć, uznaliśmy więc, że musimy iść do ludzi i zebrać o jedzenie. Helena nie chciała się zgodzić. Zarzekała się, że nigdy o nic nie prosiła. Nie chciała się upokarzać. Znow ją zapytałam, czy chce wrócić do dziecka. Wiem, grałam na jej emocjach, ale tylko to zmuszało ją do działania.

Wanda miała zostać, aby pilnować naszego dołka do spania oraz miski i paleniska. A my wybrałyśmy się do pobliskiej wioski. Drzwi pierwszego domu, do którego podeszliśmy, otworzyła Niemka. Przedstawiłam jej naszą sytuację:



..... Obóz kobiety w Birkenau. W połowie sierpnia 1942 roku na odcinek Bla przeniesiono więźniarki z obozu macierzystego w Auschwitz. W lipcu 1943 roku obóz kobiety poszerzono o odcinek BIIc.  
 Od maja do października 1944 roku sektor BIII (tzw. Meksyk – niewidoczny na tym rysunku) i odcinek BIIc oraz wydzielone baraki na odcinku BIIb i BIIe pełniły funkcję tzw. obozów przejściowych (Durchgangslager) przeznaczonych dla Żydówek z transportów RSHA, określanych jako więźniarki „depozytowe”. Na odcinku BIIb umieszczono również we wrześniu 1944 roku Polki deportowane z Warszawy po wybuchu powstania, a w październiku Żydówki z obozu w Płaszowie.  
 ~~~~~ Familienlager Theresienstadt (BIIb) – od września 1943 roku do lipca 1944 roku więziono tu ok. 9 tys. Żydówek z getta Theresienstadt w Protektoracie Czech i Moraw.  
 - - - - - Tzw. Zigeunerlager (BIIe) – od lutego 1943 roku do sierpnia 1944 roku osadzono tu około 11 tysięcy romskich kobiet i dzieci płci żeńskiej. W listopadzie 1944 roku umieszczono tu więźniarki z odcinka Bla.  
 ••••• Inne miejsca, w których były umieszczone więźniarki:  
 • BIIg (tzw. Kanada – niewidoczny na tym rysunku) – od kwietnia do grudnia 1944 roku w kilku barakach zakwaterowano więźniarki pracujące przy sortowaniu mienia zagrabionego Żydom skazanym na zagładę.

– Pracowałyśmy w fabryce amunicji w Dreźnie, która została zbombardowana. Prosimy o kawałek chleba czy surowego ziemniaka. W zamian oferujemy pomoc przy domu.

Nic to nie dało, Niemka nas wyrzuciła.

Kolejna kobieta okazała się poczciwą osobą. Jej córka, jak sama powie-  
działa, mieszkała w Dreźnie, więc wiedziała o bombardowaniach. Dała nam  
kawałek chleba, kawę i na moją prośbę trochę soli. Pomyślałam, że osole-  
szczaw i wtedy będzie smakował trochę lepiej. Podzieliłyśmy wszystko na  
trzy, aby zanieść też Wandzi. Kobieta, która nam pomogła, niczego od nas  
nie chciała w zamian.

W wiosce spotkałyśmy koleżanki z obozu, które nam powiedziały, że  
tej nocy podczas niemieckiej warty zabito dwóch Włochów.

Któregoś dnia podjęłyśmy wreszcie decyzję, że musimy uciekać dalej.  
Była to trudna sytuacja, ponieważ śpiąc na ziemi, w dole, przemarzłyśmy  
i zmokłyśmy. Moje stawy odmówiły posłuszeństwa. Wandzia i Hela wycią-  
nęły mnie na siłę i chociaż przestraszone, musiałyśmy wyjść na drogę. Nag-  
le usłyszałyśmy jakies głosy. Mówiły po polsku! W kobietach idących w na-  
szą stronę rozpoznałyśmy koleżanki z paczkarni. Nas było trzy, a ich sześć.  
Też uciekły. Przeżyły tylko dlatego, że spotkały dwóch Polaków z Działdowa,  
którzy służyli w *Totenkommando*<sup>77</sup>.

Polacy mieli kontakt z owczarzem Alfredem Gesellem, pracującym  
w miejscowości Thürmsdorfer koło Pirny. Dał im schronienie w swojej sto-  
dole. Później przygarnął również nas. Przyniósł nam kociol, żebyśmy mogły  
sobie gotować, czasami organizował coś do jedzenia (innym razem mężczyź-  
ni zdobywali ziemniaki), ale – co najważniejsze – zabronił nam wychodzić  
i pokazywać się na wsi. Nikt nie mógł wiedzieć o naszej obecności. Tylko  
wieczorem wychodziłyśmy ze stodoły, aby poodychać świeżym powie-  
trzem. W tej wsi domy poukrywane były w lesie – tak wyglądała tamtejsza  
zabudowa. Zaraz za nami znajdowała się góra Königstein. A na niej w za-  
mku<sup>78</sup> przetrzymywani byli jeńcy francuscy i angielscy.

Pewnego dnia przyszła do mnie siostra gospodarza i zapytała, czy któ-  
raś z nas umie szyc. Żadna nie umiała. Kiedyś mama pokazywała mi, jak  
precyzyjnie obsługiwać się igłą i nicią, więc – choć umiałam tylko podsta-  
wowe rzeczy – zgłosiłam się. Kobieta wzięła mnie wtedy do małego pokoiku

<sup>77</sup> *Totenkommando* (niem.) – komando odpowiedzialne za wynoszenie zwłok z baraków.

<sup>78</sup> Rozmówczyni używa słowa „zamek”, w rzeczywistości chodzi o twierdzę Königstein – saską  
górką twierdzę nieopodal miasteczka Königstein w Saksonii, w okręgu administracyjnym  
Drezno.

z oknem i przyniosła maszynę do szycia. Poleciała, abym cerowała jej dzie-  
ciom spódniczki i przyszywała guziki. W zamian za to przynosiła mi obiady.  
Dzięki temu cały dzień spędzałam w pokoju, tylko na noc szłam do stodoły.  
Trwało to do 9 maja 1945 roku, bo wtedy na te tereny wkroczyło Wojsko  
Polskie. Tego dnia siostra gospodarza przyszła do mnie do pokoiku i przy-  
niosła radio. Oznajmiła, że jest nastawione na Londyn i poleciała słuchać.  
Usłyszałam, że na granicy szwajcarskiej złapali Himmlera. Było mi już  
wszystko jedno, zaczęłam więc opowiadać o obozie.

– Czy pani wie, kim ja jestem?

– Domyślałam się, ale bałam się zapytać, bo gdyby mój brat się dowie-  
dział, z obawy przed konsekwencjami pewnie kazałby wam opuścić stodołę.

Po kilku godzinach wojsko było już u nas. Chłopaki z Polski powie-  
dziali, że jesteście wolne! Tłumaczyli, że z opuszczonych domów możemy  
wziąć, co tylko chcemy, ale my bałyśmy się, bo niektórzy Niemcy specjalnie  
zostawiali zatrutą żywność. Zabrałam tylko kawałek materiału, białego  
w czarne lilie, i pomyślałam, że uszyję sobie z niego sukienkę. Straciłam  
przecież wszystko. Żołnierze wyjaśnili, gdzie będzie otwarta kantyna, i ka-  
zali tam zgłaszać się po jedzenie.

Nagle role się odwróciły. My, byłe więźniarki, szłyśmy z jedzeniem,  
a Niemki w kolejce czekały na swój przydział. Patrzyły na nas wielkimi,  
przerażonymi oczami. Zdziwione. Napełniłyśmy w kantynie wiadra mle-  
kiem, śmietaną oraz masłem i zaniósłszy naszym gospodarzom. To byli  
dobrzy ludzie.

## Zespół baletowy

Jeńcy uwolnieni z twierdzy Königstein dowiedzieli się, że w gospodzie są  
Polki. Przyszli i powiedzieli, że będą wracali na Zachód. Zaproponowali  
nam wyjazd z Niemiec. Zgłosiły się trzy kobiety, w tym dwie, które miały  
mężów w wojsku na Zachodzie. Następnego dnia mężczyźni wrócili jednak  
z wieścią, że z Brukseli dostali zakaz zabierania kobiet. Te dwie koleżanki,  
które miały jechać z nimi w stronę domu, zaczęły lamentować. Ale byli jeń-  
cy wpadli na pomysł, że stworzą z nich... zespół baletowy dla wojska. Ubrali  
je w mundury i zabrali ze sobą. O ich losach dowiedziałam się przypadkowo  
po wojnie, gdy spotkałam w Nałęczowie jedną z nich. Obie wróciły do domu  
szczęśliwie.

Ja, Urszula Berezińska i Helena Wojciechowska uznałyśmy, że do kra-  
ju udamy się na własną rękę. Poprosimy o wsparcie tych dwóch Polaków

z Działdowa, którzy już wcześniej nam pomagali. Pomyślałam, że zaprzęgniemy jakiś wóz i ruszymy do Polski. Dodatkowo zabrałyśmy rowery po Niemczech, którzy uciekli.

Przy pierwszej sposobności zatrzymaliśmy jadący wóz i wyrzuciliśmy z niego Szwaba z rodziną. Oni nam wszystko zabrali, to my nie możemy? Ja i Urszula jechałyśmy na rowerze, a na wozie siedzieli mężczyźni i Helena. Pojechaliliśmy drogą na Budziszyn, przed nami szły kolumny uciekających Niemców. W pewnym momencie dostrzegłam w tłumie znajomą twarz.

– Urszula, popatrz, kto tam pcha wózek. To chyba ta zbrodniarka Drechsel! – rzuciłam.

Ubrana po wiejsku, z chustką na głowie, była aufzejka szła z mężczyznaną u boku. Pchali wózek jakby z dzieckiem, głęboki, na dwóch wielkich kołach. Zbliżamy się do nich i jestem przekonana, że to ona.

– Ty, Drechsel! Pamiętasz mnie?

Nic mi nie odpowiedziała, uderzyłam ją kilka razy, a ona nawet się przede mną nie zasłoniła. Co prawda ważyłam tylko około trzydziestu pięciu kilogramów, więc jaką mogłam mieć siłę? Ale wykrzyczałam jej wszystko, co leżało mi na sercu. Że w Oświęcimiu straciłam mamę! Że to był obóz zagłady! I że ona sama jest odpowiedzialna za zamordowanie wielu niewinnych ludzi, w tym dzieci! A do niej jakby nic nie docierało. Zajrzałam do jej wózka, ale nie było w nim żadnego dziecka. Tylko jakieś szmaty i ubrania.

Zastanawiałymy się z Urszulą, co zrobić, bo musiałyśmy odprowadzić ją na jakiś posterunek. Nagle w oddali naszym oczom ukazał się opuszczony dom. Drechsel również go zauważyła i zaczęła biec tam razem z mężczyzną, który jej towarzyszył. Pobiegłyśmy za nimi. Bez zastanowienia weszłam do środka, a mężczyzna skrył się za drzwiami. Pomyślałam tylko, że gdyby mnie nimi uderzył, toby mnie zabił na miejscu. Ale byłam szybsza. Przewróciłam na ziemię Drechsel. Biłam ją z całych sił, a ona nawet nie chciała mi oddać. Złapałam więc za stojące z boku koryto, ale wtedy do domku wbiegli Polacy, którzy jechali z nami na wozie. Krzyczeli, żebyśmy przestała. Towarzysz Drechselowej zdążył uciec, już mnie to nie interesowało. Najważniejsze, żeby ona się nie wywinęła. Wywlekłyśmy ją przed domek i zaprowadziłyśmy ją do Budziszyna. Na miejscu wyszedł do nas rosyjski komendant i trochę po polsku, trochę po rosyjsku i trochę po niemiecku opowiedziałam im, kogo przyprowadziłam. Morderczynię niewinnych ludzi, a nawet dzieci polskich rosyjskich. Kiedy wziął ją na przesłuchanie, wszystkiego się wyparła.

– Wy ją tam dobrze wythuczcie, to się przyzna! – powiedziałam komentowii. Wreszcie się przyznała. Ostatecznie skierowano ją do sądu polowego, na którym również i my zeznawałyśmy.

Kolejnego dnia Drechsel została powieszona. Uznałyśmy jednak, że nie zostaniemy na egzekucji, postanowiłyśmy odejść. Po drodze zatrzymał nas rosyjski patrol, dwóch mężczyzn. Zaciągnęli mnie i Urszulę do stodoły, a wcześniej zamknęli w osobnym pomieszczeniu towarzyszących nam Polaków i Helenę, która oznajmiła, że niby jest żoną jednego z nich. Świecili nam w oczy latarkami, abyśmy nie widziały ich twarzy. Zaczęli się z nami szarpać, krzyczałyśmy, żeby należeli sobie Niemki, a Polki zostawili w spokoju. Jesteśmy przecież byłymi więźniarkami, byłyśmy głodzone i bite. Szarpanina trwała nadal, a jeden z nich wyciągnął nawet rewolwer. My jednak nie dawałyśmy za wygraną, uznałyśmy, że jeśli przeżyłyśmy już tyle, nie damy się zgwałcić i zabić w tej stodole! Mężczyźni, widząc, ile robimy rumoru i jak głośno krzyczymy, zrezygnowali z dalszych planów.

Poszłyśmy ponownie na posterunek, aby donieść na rosyjskich oprawców. Niestety komendant nie mógł ich znaleźć. W zamian za to zlitował się nad nami i dał nam ciepłe kombinezony do ubrania.

Wreszcie nadjechało Wojsko Polskie, które wracało do kraju. Wśród żołnierzy, jak się okazało, znajdował się jeden mężczyzna z Łodzi. Kiedy dowiedział się, że wśród nas jest łodzianka, zawołał nas od razu do samochodu. Tak dojechaliliśmy do Kalisza, gdzie wysiadła Urszula. Stamtąd miała pociąg do Nowego Sącza. W tym miejscu opuścili nas również mężczyźni. Ja z Heleną dojechaliliśmy do Łodzi.

Później pojechałam do Wieruszowa, do cioci, po moją siostrę Zosię. Jednak Zosi już nie było, kiedy się dowiedziała, że wojna się skończyła, ruszyła do domu. Musiałam znów wrócić do Łodzi i dopiero tam odnalazłam siostrę. Do Łodzi z Niemiec wrócił też mój młodszy brat Jerzyk.

Nasze mieszkanie zostało ograbione. Gdy rodzeństwo zostało zabrane do sierocińca, wprowadziła się tam jakaś Niemka. Później sąsiadka z piętra niżej wyrzuciła Niemkę do piwnicy i sama zajęła mieszkanie. Inni sąsiedzi tłumaczyli jej, że to własność Ignaszewskich. Zarzekała się, że jak wrócimy, to nam wszystko zwróci. Niestety, gdy w drzwiach zobaczyła mnie i rodziców, „zmieniła zdanie”. Twierdziła, że mieszkanie było rodziców, a skoro rodzice nie żyją, to go nie odda. Okazało się, że była handlarzką i miała układy z Niemcami. Tak zostaliśmy bez domu.

Miałam przed wojną dobrą koleżankę o nazwisku Beyer. Skontaktowałam się z nią, po czym zbieg różnych okoliczności sprawił, że razem z jej ciotką, ja i Zosia wyjechałyśmy do Słupska (brat został w Łodzi). W Słupsku jednak nie mogłam znaleźć pracy. Pomyślałam, że nic mnie tam nie trzyma i zaprzęgnęłam spróbować życia nad morzem. Tak wyruszyłyśmy do Ustki. Był 1 września 1945 r.

Na początku w Ustce też nie było latwo. Doskwierał nam głód. Dookoła rosły same lasy. A w nich grzyby, żółciutki, na które mówili słoneczka. Jadłyśmy je na śniadanie, obiad i kolację. W obozie nauczyłam się, że można gotować na fuszach po kawie, więc w ten sposób urozmaicałam ich smak. Część grzybów zanosilaam piekarzowi, bo nie miałam pieniędzy, a on litował się i dawał w zamian kawałek chleba. Chyba nie mógł już patrzeć na te grzyby, tyle ich mu przynosiłam. Wkrótce do Ustki dotarł również mój brat.

Przebywaliśmy tam we trójkę do października 1945 roku. Niespodziewanie przyjechał do mnie mój narzeczony. Do tego momentu nie wiedziałam, czy Damazy w ogóle żyje! Obiecał, że zabierze nas do Katowic.

W Katowicach nie było źle. Co prawda od razu wzięliśmy ślub, ale zamieszkailiśmy w pokoju lokatorskim, a później na ulicy Piastowskiej w małym mieszkaniu-garażu. W tej norze musiałam przeżyć pięć lat. Urodziłam tam trójkę dzieci!

Życie miało nam raz lepiej, raz gorzej. Poszłam do pracy, bo z zarobków męża ciężko było się utrzymać. Wreszcie dostałam dobrą posadę w przemysłowym, gdzie byłam referentem do spraw administracji. Udało się nam także dostać lepsze mieszkanie.

I tak minęło dziewięćdziesiąt pięć lat mojego życia. Nie chciałabym, aby wojna się kiedyś powtórzyła. Nie dopuścimy więcej do agresji między nami. W końcu wszyscy jesteście ludźmi i zasługujemy na szacunek.

## Zakończenie

### Na cmentarzu płacze się albo milczy

Kiedy zamykam oczy po ciężkim dniu umysłowej pracy za biurkiem, ogarnia mnie błogie ukojenie. Śpię w ciepłym łóżku, ledwo chwilę temu brałam gorącą kąpiel. Mam dość, jestem wyczerpana. „Tyle spraw, tyle problemów” – myślę często. „Jestem taka zmęczona!” A przecież, gdyby się zastanowić, niczego mi nie brakuje. Mam jedzenie, ciepłe ubranie na zimę. Pracę, samochód. Wszystkie podstawowe, a nawet więcej niż podstawowe rzeczy zapewniłam sobie w życiu. Tak jak większość z nas.

Spróbujmy jednak wyobrazić sobie życie nieco inaczej.

Kiedy zamykam oczy po ciężkim dniu pracy na *Aussen*, ciągle czuję ból w całym ciele. Dziś sama przeniosłam chyba tonę kamieni... Moje chude ręce odmawiały posłuszeństwa, a do pracy nieustannie poganiała kolba kabinu. Oberwałam po głowie, żebrach. Czy oni nie rozumieją, że miska lichej zupy i kawałek chleba ważący około stu dwudziestu gramów to za mało na tak ciężką pracę? Jest mi zimno. To efekt gorączki i przemarznięcia jednocześnie. W końcu jest zima, nad głową wiszą sople lodu, a ja w lekkiej, szarej, obozowej sukience leżę na twardej koi, na deskach. Napiałabym się ciepłej wody... po prostu wody, nawet zimnej. Nie wiem, czy jutro też uda mi się przeżyć. A może to ostatnia moja noc? Ale to nic. Dziś koleżanka z komanda dała mi surowego ziemniaka! Zjadłam go po kryjomu. Dobra dziewczyna. Gdy zasnę, znów przysni mi się dom. I mama czekająca z kubkiem gorącego mleka. Przytuli mnie. Owinię ciepłą pierzyną i zasnę szczęśliwa.



### Wymarsz w pole

Po wschodzie słońca  
ruch pod bramami.  
Nadchodzą władze  
i posty z psami.  
Już się szykują  
„na aussen” Komanda  
zza drutów patrzy  
milczący żandarm...

Codzienna farsa się rozpoczyna:  
jak ładnie wije się dym z komina,  
jak fantastycznie formują się chmury...  
Już: „dziesiątkowe! numerki do góry!”  
i marsz przez jedną i drugą bramę,  
stare i nowe i wciąż te same,  
wysokie, niskie, chude i grube,  
znasz trasę – przez Blockführerstube.  
Buty i trepy, trepy i buty,  
jak uroczyście idą na druty,  
do beznadziejnej, bez sensu pracy,  
Cześci i Węgrzy, Włoszki, Polacy:  
Rowy odkopać, rowy zakopać.  
Uwaga – z nami jest Europa!

Więc naprzód idź  
i wstrzymaj dech,  
więc prosto chodź,  
a nie bądz „freh”.  
Jak chodzisz źle,  
to nogę zmień.  
I minie znowu  
jeszcze dzień,  
I minie znowu  
jeszcze rok.  
Zaciśnij pięść

i równaj krok.  
To nic, że deszcz,  
to nic, że głód,  
pokaż, że lekki  
jest twój chód.  
Że już we krwi  
tę karność masz.  
Odwrócisz się,  
dostaniesz w twarz.  
I nie płacz, nie,  
Ani się skarż,  
odrabiaj ten  
tragiczny marsz.  
Zdław każdą myśl  
I każdą chęć!  
Wszystkie po pięć,  
wszystkie po pięć.  
Muzyka ci  
wybijta takt.  
Uświadam sobie  
zwykły fakt,  
że słyszysz wciąż  
ten głuchy dźwięk.  
To bęben gra.  
Opanuj lęk.  
Kamienna twarz  
jak niemy sfinks,  
maszeruj – links – links,  
links und links!

W Dachau, w Auschwitzu, w Gusen, w Mauthausen  
wszyscy za druty, wszyscy „na aussen”.  
Na wykończenie idzie się w pole,  
z jednej niedoli w drugą niedolę.  
Przez lasy, łąki i krematoria –  
oto jest wasza wielka Victoria.  
Przez śnieg czy błoto, aż po kolana,  
w błocie jest wasza wielka wygrana.  
Waszym marzeniem – przez długie lata

zwozić transporty z całego świata.  
Lecz pamiętajcie, miliony ludzi  
codziennie z jedną myślą się budzi  
i maszerując tutaj w gromadzie,  
wiedzą o innej defiladzie.  
A w duszy im radośnie śpiewa  
wizja przyszłości: lewa, lewa.

Bo przyjdzie wnet  
nasz pierwszy maj,  
wolności maj,  
swobody maj!  
Za krzywdę swą  
miliony wdów  
pójdą w takt pieśni,  
pieśni bez słów.  
Bo za nasz ból,  
udręceń młyn  
przyjść musi czyn  
i tylko czyn.  
Nadejdzie czas,  
że za wasz marsz  
będziemy was  
w szarżach, bez szarż  
bez serca rżnąć,  
bez końca prac,  
muzyka – też wam będzie grać.  
Będziecie wyć,  
że macie dość,  
a my na złość,  
a my na złość!  
Za tyle ofiar,  
tyle krwi  
wy zapłacicie,  
tylko wy!  
Za tyle cierpień,  
tyle różg,  
w serca wam nóż  
i kule w mózg!

Za tyle bólów,  
tyle skarg,  
sztylety w piersi,  
bagnety w kark!  
Za tyle żalów, westchnień, łez  
niech każdy z was zdechnie jak pies!  
I żeby już odetchnął świat,  
zetrzemy po was wszelki ślad!  
Wtedy dopiero się rozśpiewa  
W rytmie wolności: lewa, lewa

Luty 1944<sup>79</sup>

Kiedy więźniowie byli w obozie, kulać się na niewygodnej koi, w sen-  
nych marzeniach często wracali do ciepłego domu. Czasami męczyły ich  
koszmary. Przychodziły jeszcze długo po tym, gdy wojna już się skończyła,  
kazać byłym więźniarkom KL Auschwitz-Birkenau przeżywać piekło jeszcze  
wielokrotnie po wyjściu z obozu. Wszystkie moje rozmówczynie podkreśla-  
ły: „Widziałam to na własne oczy, nigdy nie zapomnę”.

Wiktor E. Frankl, były więzień Auschwitz (numer 119104) i ceniony  
lekarz psychiatra, napisał, że „nienormalna reakcja na nienormalną sytuację  
jest normą”<sup>80</sup>. Nie sposób się z tym nie zgodzić. Czym innym bowiem, jak  
nie normą, jest w obozowych realiach kradzież kawałka chleba, który być  
może przedłuży życie o kolejny dzień? Obóz z całą pewnością nie był nor-  
malną sytuacją.

Normą więc było w nim to, że żyjący więźniowie po pewnym czasie  
obojętnieli nawet na tak makabryczny widok, jak stopy trupów piętrzące się  
pod barakami. Obojętnieli na akty okrucieństwa, obojętnieli na sytuacje, któ-  
re odzierały z godności.

To również wyjaśnia Wiktor E. Frankl, mówiąc o kilku etapach emo-  
cjonalnych więźnia w obozie zagłady. Zdaniem psychiatry drugi etap to  
emocjonalna śmierć, powstająca w człowieku na skutek dostrzeżenia bez-  
względnej brutalności<sup>81</sup>. Gdy codziennie zagłada się w oczy śmierci, patrzy  
na powykrywane z bólu twarze, wychudzone i nagie ciała współwięźniów,  
te obrazy powszednieją. „Włącza się” swego rodzaju mechanizm obronny,

<sup>79</sup> K. Żywulska, *Wymarsz w pole (luty 1944)* [w]: *Na mojej ziemi był Oświęcim*, dz. cyt., s. 328–330.

<sup>80</sup> W.E. Frankl, *Człowiek w poszukiwaniu sensu*, Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa  
2015 r., s. 45.

<sup>81</sup> Tamże, s. 47.

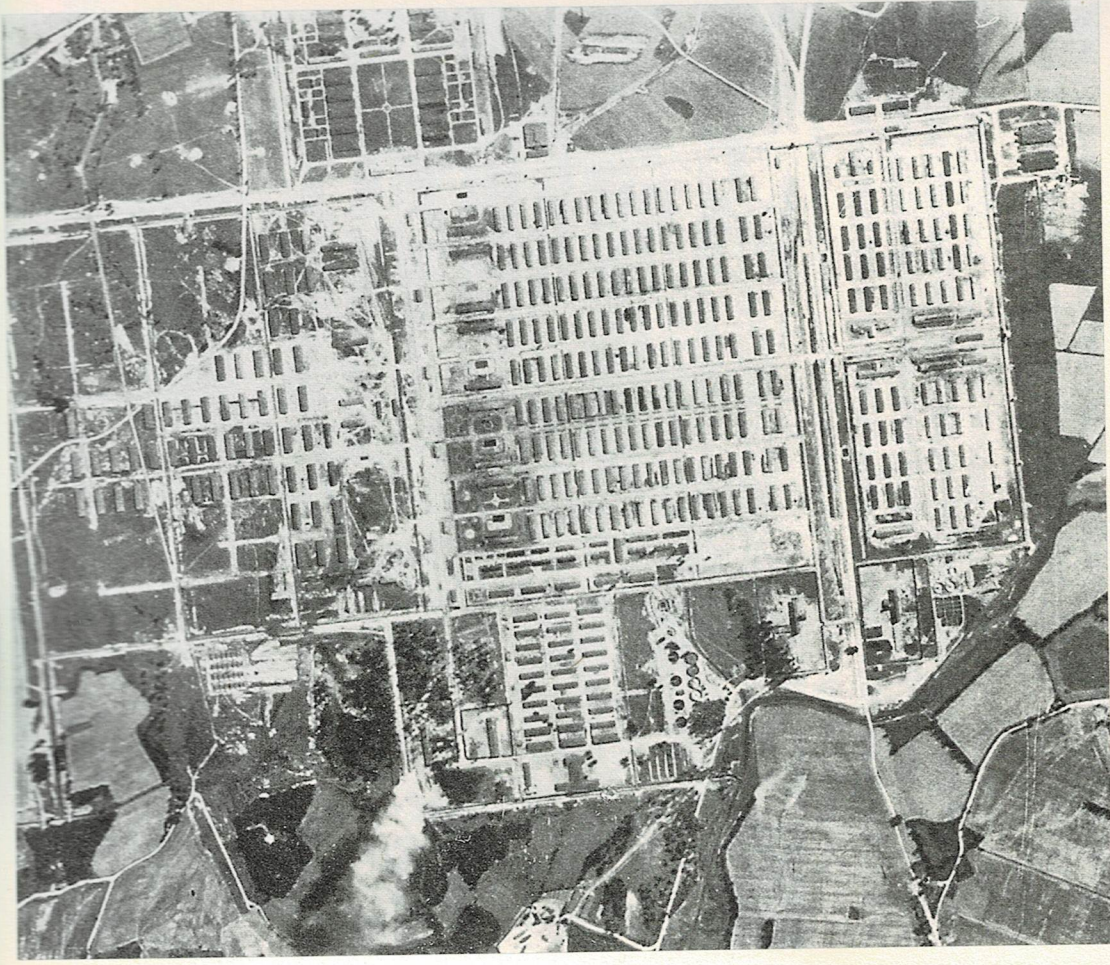
który pozwala człowiekowi przetrwać w nawet najpotworniejszych warunkach.

Emocjonalna śmierć w obozie niestety nie chroni nikogo przed wspomnieniami. Te wracają nieustannie. A z wiekiem coraz częściej, jak zauważają Dziewczęta z Auschwitz. Nawet najwspanialsza przyszłość nie jest w stanie uwolnić od dramatycznej przeszłości.

Tym bardziej fascynujące jest to, że nawet w takim miejscu jak obóz koncentracyjny w wielu osobach współczucie i wrażliwość na drugiego człowieka nie umarły. Każdy dowód miłosierdzia więźnia wobec drugiego więźnia był potwierdzeniem, jak silna jest wola dobra w ludziach. I jak trudno – mimo najszerzej zakrojonych i najbardziej systematycznych działań – ją unicestwić.

„Auschwitz-Birkenau to jest cmentarz. A na cmentarzu albo się płacze, albo się milczy” – powiedziała mi Elżbieta Sobczyńska, jedna z byłych więźniarek KL Auschwitz. Nie zapominajmy o tym, odwiedzając teren dzisiejszego Muzeum w Oświęcimiu. I nie zapomnijmy o Dziewczętach, które przeszły przez obóz. Widziały obrazy, których nie powstydziliby się samo piekło. Te, nieproszone, zapisały się w pamięci ofiar nazistowskich zbrodni na zawsze. I nie znikną, nie przeminą. Tkwić będą w nich do końca. We wspomnieniach. W koszmarach.

I chociaż się powtórzę, myślę, że w tej sytuacji warto powiedzieć to jeszcze raz: wojna niszczy. Nie pozwólmy, by kiedykolwiek zrodziła się na nowo.



*Zdjęcie lotnicze Birkenau wykonane przez aliantów latem 1944 roku.  
Na lewo widoczny słup dymu ze stosów spaleniiskowych obok krematorium V.  
Fot. Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau*